

Card Orson Scott Card

Siódmy Syn

(Tłumaczył : Piotr W. Cholewa)

UWAGI TŁUMACZA

W wiekach XVI-XVIII (a nawet później) istniał w krajach anglojęzycznych zwyczaj nadawania imion, które oznaczały coś, niezależnie od swej funkcji określania konkretnej osoby. W Polsce i krajach słowiańskich działo się podobnie (np. Bogumił czyli Bogu miły), choć z czasem znaczenie imienia zostało zapomniane. Jednak w dobrych, presbiteriańskich czy purytańskich rodzinach, zasada ta obowiązywała jeszcze w czasie zasiedlania Ameryki, choć nie była regułą obowiązującą bez wyjątków (zdarzały się "zwykłe" imiona, jak choćby David, Alvin czy Eleanor). Tłumaczenie imion wydało mi się czynnością niezbyt rozsądną, ponieważ o ile w języku angielskim konwencja ta jest dość naturalna, to po polsku brzmiałoby to dziwacznie (choćby Armor-of-God Weaver stałby się czymś w rodzaju Tkacza-Boskiej-Zbroi, Wastenot Miller byłby Oszczędnym Młynarzem, albo - odwrotnie - Bogumił Kowalski Kowalem Bożej Miłości). Jednak, dla informacji czytelnika, podaję znaczenie imion głównych bohaterów powieści. Dodatkowo, część nazwisk pochodziła od zawodów wykonywanych przez osoby te nazwiska noszące, co jest chyba regułą na całym świecie (np. wspomniany już Kowalski). Podałem również tłumaczenie tych nazwisk, choć są w zasadzie oczywiste.

Armor-of-God - dosł., tarcza boża czy pancerz boży

Calm - spokój

Faith - wiara

Guester - ktoś, kto przyjmuje gości; oberżysta

Makepeace - czyniący pokój

Measure - umiar

Miller - młynarz

Smith - kowal

Vigor - wigor

Wastenot i Wantnot - imiona bliźniaków tworzą razem przysłowie (Waste not, want not), odpowiadające w przybliżeniu polskiemu "oszczędnością i pracą ludzie się bogacą" (dosłownie: "kto nie marnuje, ten nie potrzebuje")

Weaver - tkacz (zapewne przodkowie Armora-of-God Weavera zajmowali się tkactwem).

Piotr W. Cholewa

Podziękowania

Winien jestem podziękowania Carol Breakstone za pomoc w studiach nad ludową magią amerykańskiego pogranicza.

Materiały, jakie odszukała, stały się bogatym źródłem wątków i wiadomości o szczegółach życia okresu osadnictwa na Terytoriach Północno-Zachodnich. Korzystałem również z informacji zawartych w "Przewodniku, po historii Ameryki" Douglassa L. Brownstone'a (A Field Guide to America's History, Facts on File, Inc.) oraz w "Zapomnianych kunsztach" Johna Seymoura (The Forgotten Crafts, Knopf).

Scott Russell Sanders udostępnił mi egzemplarz swego znakomitego cyklu opowiadań "Intrygi pustkowia: Opowieści o zasiedlaniu amerykańskiej ziemi" (Wilderness Plots: Tales About the Settlement of the American Land). Jego dzieło ukazało mi, ile można osiągnąć realistycznym opisem życia na pograniczu i nie pozwalało zboczyć na manowce w realizowanym właśnie projekcie dotyczącym Alvina Stwórcy. Wciąż pozostaję dłużnikiem od dawna nieżyjącego Williama Blake'a (1757-1827). Stworzył wiersze i przysłówia, które doskonale pasowały do ust Bajarza.

Nade wszystko wdzięczny jestem Kristine A. Card za nieocenioną krytykę, zachętę, redakcję, korektę i samodzielne wypełnianie obowiązku przemiany naszych dzieci w mądre, uprzejme i dobrze wychowane istoty ludzkie, chętnie wybaczące ojcu, że sam nie jest najlepszym przykładem tych cnót.

Emily Jan, która zna wszystkie potrzebne czary

Rozdział 1

Krwawa Mary

Mała Peggy bardzo uważała na jajka. Szukała w sianie, dopóki nie natrafiła dłonią na coś obłego i twardego. Nie przejmowała się tym, że kury napaskudziły na skorupki. W końcu, kiedy w zajeździe byli goście z małymi dziećmi, mama nie krzywiła się nawet przy najbrudniejszych pieluszkach. Choćby guano było wilgotne i kleiste, i zlepiało palce, mała Peggy nie zwracała na to uwagi. Rozsuwała tylko słomę, chwytając jajo i wyciągała je z gniazda. Do tego stojąc cały czas na palcach, na chybottliwym stołku. Mama twierdziła, że jest jeszcze za mała, by zbierać jajka, ale Peggy udowodniła jej, że to nieprawda. Co rano sprawdzała każde gniazdo i przynosiła wszystkie jajka, wszyściuteńkie, co do jednego.

Wszystkie, powtarzała sobie w myślach raz za razem. Muszę zajrzeć do każdego gniazda.

Ale wtedy mała Peggy obejrzała się w stronę północno-wschodniego, najciemniejszego kąta szopy, gdzie miała swoje gniazdo Krwawa Mary. Wyglądała jak stwór z nocnego koszmaru samego diabła. Nienawiść płonęła w jej paskudnych oczkach, mówiących: Podejdź tu, malutka, i daj mi dziobnąć. Lubię dziobać palce i dziobać ręce, a jeśli podejdziesz za blisko, dziobnę cię w oko.

U zwierząt płomień serca nie powinien być taki silny, ale u Krwawej Mary był, a w dodatku wydzieliał trujący dym. Nikt inny tego nie widział oprócz Peggy. Krwawa Mary marzyła o śmierci wszystkich ludzi, a szczególnie pewnej małej, pięcioletniej dziewczynki. Drobne ranki na palcach Peggy były tego najlepszym dowodem. A przynajmniej jedna ranka. I nawet jeśli tato jej nie zauważał, mała Peggy dokładnie pamiętała, jak to się stało. Naprawdę nie można mieć do niej pretensji, jeśli czasem zapomni sięgnąć pod skrzydła Krwawej Mary, która czeka jak w zasadzce, by zamordować każdego, kto się zbliży. Przecież nie będą się złościć, jeśli po prostu zapomni tam zajrzeć.

Zapomniałam. Zaglądam do wszystkich gniazd i jeśli opuszczę jedno, to znaczy, że zapomniałam, zapomniałam, zapomniałam.

Każdy zresztą wiedział, że Krwawa Mary to kura wredna i tak złośliwa, że z pewnością znosi popsute jaja.

Zapomniałam.

Wróciła z koszem jaj zanim jeszcze mama rozpałała ogień. Mama była taka zadowolona, że pozwoliła małej Peggy wkładać te jajka, jedno po drugim, do zimnej wody. Potem powiesiła kociołek na haku, tuż nad paleniskiem. Przy gotowaniu jajek nie trzeba czekać, aż płomień przygaśnie. Można to robić z dymem i całą resztą.

- Peg - zawołał tato.

To było imię mamy, ale tato nie powiedział tego maminym głosem. Mówił tonem: Peggy-wpadłaś-na-całego i mała Peggy od razu wiedziała, że ją przyłapał. Odwróciła się więc i wykrzyczała to, co planowała od samego początku.

- Zapomniałam, tatusiu!

Mama spojrzała ze zdziwieniem. Tato jednak wcale nie był zdziwiony. Chował rękę za plecami i mała Peggy wiedziała, że trzyma tam jajo, paskudne jajo Krwawej Mary.

- A o czym zapomniawsz, mała Peggy? - spytał łagodnie.

Peggy zrozumiała, że jest najgłupszą dziewczynką, jaka kiedykolwiek żyła na tym świecie. Zaczęła się usprawiedliwiać, zanim ktokolwiek zdążył ją oskarżyć.

Ale nie miała zamiaru się poddawać, przynajmniej nie bez walki. Nie znosiła, kiedy się na nią gniewali. Chciałaby, żeby pozwolili jej wyjechać i zamieszkać w Anglii.

- Nie wiem, tatku - powiedziała z niewinną miną.

Uznała, że Anglia jest najlepszym miejscem, bo ma Lorda Protektora. Sądząc po spojrzeniu taty, Lord Protektor bardzo by się teraz przydał małej Peggy.

- O czym zapomniawsz? - zapytał tato po raz drugi.

- Powiedz, o co ci chodzi, Horacy, i skończ tę zabawę - wtrąciła mama. - Jeśli postąpiła źle, to trudno.

- Tylko raz zapomniawsz, tatusiu - powiedziała mała Peggy. - Ona jest okropna i mnie nienawidzi.

- Tylko raz - powtórzył tato, wolno i spokojnie.

A potem wyjął rękę z za pleców. Tyle, że trzymał w niej niejedno jajko, ale cały kosz. I ten kosz był pełen słomy - pewnie słomy z gniazda Krwawej Mary - zlepionej mocno w jedną bryłę razem z zaschniętymi, rozbitymi jajami, skorupkami i trzema czy czterema ciałami kurcząt.

- Musiałeś to przynosić przed śniadaniem, Horacy? - spytała mama.

- Sam nie wiem, co mnie bardziej złości - odparł Horacy. - To, co zrobiła, czy jak sobie zaplanowała kłamstwo.

- Nie zaplanowałam i nie kłamałam - krzyknęła mała Peggy. A w każdym razie chciała krzyknąć. Dźwięk, jaki z siebie wydała podejrzenie przypominał płacz, choć nie dalej jak wczoraj postanowiła, że do końca życia nie będzie płakać.

- Widzisz? - powiedziała mama. - Już jej przykro.

- Przykro, bo ją przyłapałam - oznajmił Horacy. - Jesteś dla niej zbyt łagodna, Peg. Mała jest kłamliwa z natury. Nie chcę, by wyrosła na niegodziwą dziewczynę. Wolałbym raczej, żeby umarła jak jej siostrzyczki, niż wyrosła na kogoś niegodziwego.

Peggy widziała, jak pod wpływem wspomnienia rozpala się płomień serca mamy. Oczyma duszy zobaczyła niemowlę ułożone ślicznie w drewnianej skrzynce... A potem następne, tylko już nie tak ślicznie, gdyż była to druga mała Missy. Umarła na ospę i nikt nie mógł jej dotknąć oprócz mamy, samej tak słabej po ospie, że niewiele potrafiła zrobić. Mała Peggy zobaczyła tę scenę i wiedziała, że tato popełnił błąd, mówiąc to, co powiedział; twarz mamy stała się zimna, choć płomień jej serca gorzał jasno.

- To najbardziej niegodziwa rzecz, jaką w życiu słyszałam - oświadczyła mama. Potem wzięła ze stołu kosz nieposłuszeństwa i wyniosła go na dwór.

- Krwawa Mary dziobie mnie w ręce - poskarżyła się mała Peggy.

- Zaraz zobaczysz, co naprawdę boli - zagroził tato. - Za to, że zostawiłaś jajka, dostaniesz jeden raz, bo rzeczywiście ta zwariowana kwoka może przestraszyć dziecko wielkości żaby. Ale za kłamstwo dostaniesz dziesięć razy.

Słyszac to mała Peggy zapłakała głośno. Tato był uczciwy i dokładny we wszystkim, a już szczególnie w dawaniu lania. Teraz zdjął z górnej półki leszczynową witkę. Trzymał ją tam, odkąd mała Peggy wrzuciła starą do ognia i spaliła na popiół.

- Wolę słyszeć od ciebie tysiąc trudnych i gorzkich prawd, córko, niż jedno gładkie i łatwe kłamstwo - oznajmił, pochylił się i wymierzył pierwsze uderzenie. Ciach, ciach, ciach, liczyła każde z nich... sięgały aż do serca, każde, tak były ciężkie od gniewu. A co najgorsze, wiedziała, że to nieuczciwe, bo płomień jego serca huczał z całkiem innej przyczyny. Jak zawsze. Gniew taty na niegodziwość brał się z jego sekretne wspomnienia. Mała Peggy nie rozumiała go dobrze, takie było niewyraźne i poplątane, i tato sam dokładnie nie pamiętał. Wiedziała tylko tyle, że chodziło o jakąś panią i że to nie była mama. Tato myślał o tej pani za każdym razem, gdy coś się nie udawało. Kiedy mała Missy umarła bez żadnego powodu, i kiedy drugie dziecko, też nazwane Missy, umarło na ospę, i kiedy spaliła się stodoła, i zdechła krowa... cokolwiek poszło źle, przypominało mu tę panią. Zaczynał opowiadać, jak bardzo nienawidzi niegodziwości. Leszczynowa witka uderzała wtedy często i mocno.

Wolę słyszeć od ciebie tysiąc gorzkich i trudnych prawd, tak powiedział. Ale mała Peggy wiedziała, że jednej prawdy na pewno nie chciałby usłyszeć, więc trzymała ją dla siebie. Nigdy by jej nie wykrzyczała, choćby nawet miał potem na zawsze połamać leszczynową witkę. Ile razy myślała, żeby powiedzieć o tej pani, wyobrażała sobie tatę martwego. A czegoś takiego miała nadzieję nigdy nie oglądać naprawdę. Poza tym, ta pani, co rozpalala płomień jego serca, nie miała na sobie żadnego ubrania. Mała Peggy była absolutnie pewna, że dostanie solidne lanie, jeśli zacznie opowiadać o ludziach na golasa

Znosiła więc razy i płakała, aż ciekło jej z nosa. Tato wyszedł zaraz, a mama wróciła, by przygotować śniadanie dla kowala, gości i parobków. Nikt nie pocieszał Peggy, jakby wcale jej nie zauważali.

Płakała coraz głośniejsze i bardziej rozpaczliwie, ale to nie pomagało. W końcu chwyciła Buggy'ego z kosza na nici i pomaszzerowała sztywno, by obudzić dziadunia.

Wysłuchał jej opowieści, jak zawsze.

- Znam Krwawą Mary - oznajmił. - Nie raz i nie pięćdziesiąt mówiłem twojemu tacie: ukręć głowę tej kurze i będzie spokój. To obłąkany ptak. Co tydzień dostaje szału i rozbija swoje jajka, nawet te, z których właśnie mają się wykluć kurczaki. Zabija własne dzieci. To szaleństwo, mordować swoich.

- Tata chciał mnie zabić - oświadczyła mała Peggy.

- Jeśli możesz chodzić, to chyba nie było tak źle.

- Nie bardzo mogę.

- To prawda - przyznał dziadunio. - Niewiele brakowało, żebyś została kaleką na całe życie. Ale wiesz co? Widzę przecież, że twoja mama i tato wściekają się głównie na siebie. Dlaczego po prostu nie znikniesz na parę godzin?

- Chciałabym zmienić się w ptaka i odfrunąć.

- Prawie tak samo dobrze jest mieć jakieś tajne miejsce, gdzie nikt nie będzie cię szukał. Masz takie miejsce? Nie, nie mów mi. Wszystko na nic, jeśli powiesz o nim choć jednej osobie. Po prostu idź tam. Jeśli tylko jest bezpieczne, nie gdzieś daleko w lesie, gdzie jakiś Czerwony mógłby zabrać twoje śliczne włosy, i nie za wysoko, bo mogłabyś spaść, i nie za ciasno, bo mogłabyś utknąć.

- Jest duże, nisko i nie w lesie - zapewniła mała Peggy.

- Więc idź tam, Maggie.

Mała Peggy skrzywiła się, jak zwykle, gdy dziadunio tak na nią mówił. Podniosła Buggy'ego i Buggy'ego piskliwym głosikiem zawołała:

- Ona ma na imię Peggy.

- Idź tam, Piggy, jeśli tak wolisz...

Mała Peggy uderzyła Bugym w kolano dziadunia.

- Kiedyś Bugy zrobi to o jeden raz za dużo, przerwie się i umrze - oświadczył dziadunio.

Ale Bugy skakał mu tuż przed twarzą i krzyczał:

- Nie Piggy, ale Peggy!

- Dokładnie tak, Puggy. Schowaj się w tym tajnym miejscu, a jeśli ktoś powie: musimy znaleźć tę dziewczynkę, odpowiem: wiem, gdzie ona jest; wróci, kiedy będzie gotowa.

Mała Peggy ruszyła do drzwi, ale zatrzymała się jeszcze i obejrzała.

- Dziaduniu, jesteś najmilszym dorosłym na świecie.

- Twój tatuś jest całkiem przeciwnego zdania, a to z powodu całkiem innej leszczynowej witki, którą za często brałem w ręce. Uciekaj już.

Zatrzymała się znowu, tuż przed zamkniętymi drzwiami.

- Jesteś jedynym miłym dorosłym!

Krzyknęła to naprawdę głośno, w nadziei, że wszyscy w domu usłyszą. A potem pobiegła, przez ogród, przez pastwisko, w górę do lasu i ścieżką do źródlanej szopy.

Rozdział 2

Osadnicy

Mieli jeden solidny wóz i parę dobrych koni, które go ciągnęły. Można by nawet sądzić, że świetnie im się powodzi, skoro mieli też sześciu dużych synów: najstarszy prawie dorosły, najmłodsze dwunastoletnie bliźniaki, silne ponad swój wiek od ciągłych bójek. Nie wspominając już o jednej, też prawie dorosłej córce i całej gromadzie małych dziewczynek. Wielka rodzina. Zamożna, mógłby ktoś pomyśleć, gdyby nie wiedział, że jeszcze niecały rok temu posiadali młyn i żyli w domu nad rzeką na zachodzie New Hampshire. Daleko zawędrowali, a ten wóz był wszystkim, co im pozostało. Byli jednak pełni nadziei, gdy tak podążali szlakami poprzez Hio, w stronę szerokich przestrzeni i ziemi należącej do tego, kto ją weźmie. Jeśli w rodzinie są twarde grzbiety i zręczne ręce, to i ziemia okaże się dobra. Wystarczy, że pogoda będzie sprzyjać, Czerwoni ich nie napadną, a wszyscy prawnicy i bankierzy zostaną daleko, w Nowej Anglii. Ojciec był potężnym mężczyzną, trochę otyłym, co nie mogło dziwić - młynarze zwykle cały dzień stoją w miejscu. W puszczy miękki brzuch nie przetrwa nawet roku. Nie przejmował się tym specjalnie - nie bał się ciężkiej pracy. Martwił się czymś całkiem innym: jego żona, Faith, miała wkrótce rodzić. Wiedział o tym. Nie mówiła mu - kobiety nie rozmawiają z mężczyznami o takich sprawach. Ale widział, jaka jest gruba i od ilu miesięcy to trwa. Poza tym koło południa szepnęła mu:

- Alvinie Millerze, jeśli trafi się jakiś zajazd, albo choćby wałęsa się chata, to chyba przydałoby mi się trochę odpoczynku.

Mężczyzna nie potrzebuje być filozofem, by zrozumieć, o co chodzi. A jeśli ma już sześciu synów i sześć córek, to musiałby mieć ptasi mózdzek, by nie dostrzec, na co się zanosí.

Posłał więc najstarszego, Vigora, by pobiegł do przodu i sprawdził, co ich czeka.

Od razu można było poznać, że pochodzą z Nowej Anglii, ponieważ chłopak nie zabrał żadnej broni. Gdyby trafił się jakiś bandzior, chłopiec nigdy by nie wrócił. Wrócił jednak, a włosy na głowie były dowodem, że nie dostrzegł go żaden Czerwony - Francuzi w Detroit płacili wódką za skóry Anglików. Jeśli Czerwony spotykał w lesie białego człowieka bez broni, skór białego zmieniał właściciela. Można by więc sądzić, że rodzinie sprzyjało szczęście. Ale ponieważ ci Jankesi nie przypuszczali nawet, że cokolwiek może im grozić, Alvin Miller tego szczęścia nie docenił.

Vigor wypatrzył zajazd o trzy mile dalej. To była dobra wiadomość - tyle że między nimi a zajazdem płynęła rzeka. Taka sobie nieduża rzeczka z płytkim brodem, ale Alvin Miller nauczył się nigdy nie ufać wodzie. Zawsze spróbuje cię dosięgnąć, choćby wyglądała nie wiadomo jak spokojnie. Już chciał powiedzieć Faith, że spędzą noc na tym brzegu, ale wtedy właśnie jęknęła cichutko i zrozumiał, że to niemożliwe. Faith urodziła mu dwanaścioro zdrowych dzieci, ale od ostatniego minęły już cztery lata i dla wielu kobiet poród w takim wieku nie był sprawą prostą. Wiele umierało. Dobry zajazd oznaczał kobiety, które pomogą przy porodzie. Trudno, muszą zaryzykować przeprawę.

Zresztą, Vigor twierdził, że rzeka nie jest zbyt szeroka.

Rozdział 3

Źródłana szopa

Powietrze w źródlanej szopie było chłodne i ciężkie, mroczne i wilgotne. Czasem, gdy mała Peggy usnęła tutaj, budziła się dysząc, jak gdyby cała szopa znalazła się pod wodą. Śniła o wodzie i to nie tylko w tym miejscu - między innymi dlatego mówili czasem, że jest raczej lejkim niż żagwią. Gdy jednak śniła na zewnątrz, wiedziała, że to sen. Tutaj woda istniała naprawdę.

Istniała w kroplach, ściekających jak pot po ustawionych w strumieniu bańkach z mlekiem. Istniała w zimnej glinie klepiska. Istniała we wszechobecnym szumie potoku, płynącego przez sam środek szopy.

Lodowata woda przez całe lato chłodziła wnętrze. Tryskała ze zbocza i spływała tutaj, a przez całą drogę ocieniały ją drzewa tak stare, że księżyc zawsze przesunął się pomiędzy ich konarami, by posłuchać opowieści z dawnych dni. Po to właśnie przychodziła tu mała Peggy, nawet gdy tato jej nie nienawidził. Nie dla wilgoci w powietrzu - tego nie potrzebowała; ale jej płomień wygasał w szopie natychmiast i nie musiała już być żagwią, nie musiała zaglądać w te mroczne miejsca, gdzie ludzie próbowali kryć swe myśli.

Właśnie przed nią je kryli, jakby to mogło się udać. Usiłowali utknąć w jakimś ciemnym kątku wszystko, co najmniej w sobie lubili. Nie wiedzieli, że te ciemne kątki płonęły w oczach małej Peggy. Nawet kiedy była taka mała, że pluła kukurydzianą kaszką, bo miała nadzieję, że pozwolą jej jeszcze possać pierś, znała już wszystkie historie, które ludzie wokół trzymali w ukryciu. Widziała skrawki przeszłości, które najbardziej chcieli pogrzebać, i okruchy przyszłości, których najbardziej się lękali.

Dlatego właśnie zaczęła przychodzić do źródlanej szopy. Tutaj niczego nie musiała widzieć. Nawet tej pani we wspomnieniach taty. Tutaj istniał tylko ciężki, wilgotny, ciemny chłód, który gasił jej płomień i przez kilka minut dziennie mogła być po prostu małą, pięcioletnią dziewczynką ze słomianą lalą imieniem Buggy. Nie musiała myśleć o dorosłych sekretach.

Wcale nie jestem niegodziwa, powtarzała sobie raz po raz, ale nic z tego nie wychodziło, ponieważ wiedziała, że jest.

No dobrze, przyznała wreszcie. Jestem niegodziwa. Ale już więcej nie będę. Powiem prawdę, jak każe tato, albo nic nie powiem.

Choć miała dopiero pięć lat, mała Peggy doskonale rozumiała, że jeśli chce dotrzymać obietnicy, to lepiej zrobić, nie mówiąc niczego.

Niczego więc nie mówiła, nawet do siebie. Leżała po prostu na wilgotnej ławie, ściskając Buggy'ego tak mocno, że prawie go udusiła.

Dzyń dzyń dzyń.

Mała Peggy przebudziła się i przez minutę była bardzo zła.

Dzyń dzyń dzyń.

Była zła, bo nikt nie powiedział: Mała Peggy, prawda, że nie masz nic przeciw temu, żebyśmy namówili tego młodego kowala do osiedlenia się tutaj?

Ależ skąd, powiedziałyby, gdyby ktoś ją zapytał. Wiedziała, jak ważna jest kuźnia. Kuźnia oznaczała, że wioska będzie się rozwijać, że przyjadą ludzie z daleka, a skoro przyjadą, rozkwitnie handel, a kiedy będzie handel, dom taty stanie się leśną gospodą, a tam, gdzie jest gospoda, ścieżki zawsze jakoś się wyginają, by przebiegać w pobliżu, o ile nie leży zbyt daleko od szlaku. Mała Peggy знаła to wszystko tak dobrze, jak dzieci farmerów znają rytm życia farmy, Zajazd przy kuźni to zajazd, który będzie prosperował. Powiedziałyby więc: Pewnie, niech zostanie; dajcie mu ziemię, wymurujcie mu piec, karmcie go za darmo i oddajcie mu moje łóżko, przez co będę musiała spać z kuzynem Peterem, który stale próbuje zajrzeć mi pod koszulę. Wytrzymam wszystko. Tylko niech nie stawia tej kuźni koło źródlanej szopy, gdzie przez cały czas, nawet kiedy chcę być sama, słychać ten dzyń łup syk ryk, wieczny hałas, i gdzie płonący prosto w niebo zakrywa je czernią, a powietrze przenika zapach palonego węgla drzewnego. To dość powodów, żeby człowiek pragnął podążyć pod prąd strumienia do góry, gdzie wreszcie jest spokój.

Oczywiście, brzeg strumienia był najlepszym miejscem dla kowala. Gdyby nie woda, kuźnie mogłyby stawać w każdym miejscu. Żelazo przyjeżdżało na wozie kupca prosto z Nowych Niderlandów, a węgiel drzewny... nigdy nie brakowało farmerów, chętnych do wymiany węgla drzewnego na dobrą podkowę. Ale woda... tego potrzebował kowal, a nikt nie mógł mu jej przywieźć. Więc oczywiście ustawili kuźnię poniżej źródlanej szopy, gdzie to dzyń dzyń dzyń mogło ją obudzić. I mogło na nowo rozniecić ogień w jedynym miejscu, gdzie zwykle przygasał i zmieniał się niemal w zimny, mokry popiół. Huk gromu.

W jednej sekundzie znalazła się koło drzwi. Musiała zobaczyć błyskawicę. Pochwyciła jeszcze ostatni cień światła, wiedziała jednak, że będą następne. Chyba niedawno minęło południe... a może przespała cały dzień? Przy tych czarnych chmurach trudno było zgadnąć; równie dobrze mogły mijać ostatnie chwile zmierzchu. Powietrze aż mrowiło, czekając na błysk. Znała to uczucie i wiedziała, że piorun trafił gdzieś blisko.

Spojrzała w dół, by sprawdzić, czy stajnia jest nadal pełna koni. Była. Podkuwanie jeszcze się nie skończyło, droga zmieni się w bagno, a zatem farmer z Zachodniego Rozstaja i jego dwóch synów utknęli tu na dobre. Nie wyruszą do domu w taki dzień, gdy błyskawica tylko czeka, żeby podpalić puszcę, zwalić na nich drzewo, albo po prostu porazić i zostawić martwych, jak tych pięciu kwaków. o których wciąż opowiadają ludzie. A przecież wypadek zdarzył się jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, kiedy przybyli pierwsi biali osadnicy. Ludzie ciągle mówili o Kręgu Pięciu i w ogóle. Niektórzy zastanawiali się, czy to Bóg w gniewie nie powalił kwaków widząc, że nic innego ich nie uciszy. A inni sądzili, że Bóg zabrał ich do Nieba, jak pierwszego Lorda Protektora Olivera Cromwella, Klery w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat został trafiony przez piorun i zwyczajnie zniknął.

Nie: farmer i jego duzi chłopcy zostaną na noc. Mała Peggy była przecież córką oberżysty, prawda? Mali Indianie uczą się polować, Murzyniátka nosić ciężary, dzieci farmerów przewidywać pogodę, a córka oberżysty umie poznać, którzy goście zostaną na noc, zanim jeszcze oni sami o tym wiedzą.

Konie tupwały w stajni, parskwały i ostrzegały się nawzajem przed burzą. W każdej grupie koni, myślała mała Peggy, musi być jeden wyjątkowo głupi, a pozostałe tłumaczą mu, co się dzieje. Wielka burza, mówiły. Wszystkie przemokniemy, jeżeli błyskawica wcześniej nas nie trafi. A ten głupi ciągle nie rozumiał i powtarzał w kółko: Co to za hałas? Co to za hałas?

A potem niebo otworzyło się szeroko i wylało na ziemię całą wodę. Chlusnęła tak mocno, że pozrywała liście z drzew. Przez gęstą ulewę mała Peggy nie widziała nawet kuźni. Pomyślała, że może woda zmyła kuźnię do strumienia. Dziadunio opowiadał jej kiedyś, że strumień płynie wprost do Hatrack, Hatrack wlewa się do Hio, a Hio pcha się przez lasy do Mizzipy, która spływa już do samego morza. Dziadunio tłumaczył też, jak to morze pije tyle wody, że aż dostaje niestrawności i odbija mu się najgłośniejsz na świecie. To, co wychodzi, to właśnie chmury. Czkałka morza. A teraz kuźnia pożegluje tą drogą, zostanie połknięta i wyczknięta, a kiedyś, gdy Peggy będzie się zajmować własnymi sprawami, jakaś chmura otworzy się i wypłuje kuźnię. A w niej eleganckiego Makepeace'a Smitha dzyń dzyń dzyniącego jak zwykle.

Po chwili deszcz zelżał odrobinę i mała Peggy spojrzała w dół, żeby sprawdzić, czy kuźnia jeszcze tam stoi. Ale zobaczyła coś zupełnie innego. Zobaczyła iskierki ognia daleko w lesie, w dole strumienia, w stronę Hatrack. Niedaleko brodu, chociaż dzisiaj bród był nie do przejścia. Nie w tej ulewie. Iskry, wiele iskier, a ona wiedziała, że każda z nich jest człowiekiem. Nie musiała już właściwie o tym myśleć, kiedy patrzyła uważnie na płomienie

ich serc. Może to przyszłość, może przeszłość - wszystkie wizje żyły wspólnie w płomieniach serc.

To, co widziała teraz, było takie samo we wszystkich sercach tych ludzi. Wóz na środku Hatrack, wzbierająca woda, a na wozie wszystko co mieli na świecie.

Mała Peggy nie mówiła wiele, ale wszyscy wiedzieli, że jest zagwiał, więc słuchali, kiedy opowiadała o kłopotach. Zwłaszcza takich. Pewno, osady w tej okolicy były już stare, sporo starsze od małej Peggy. Ale nikt nie zapomniał, że wóz porwany przez wodę tu strata dla wszystkich.

Pędem zbiegła ze wzgórza; przeskakiwała nory świstaków i zjeżdżała po błocie w bardziej stromych miejscach. Dlatego stanęła w drzwiach kuźni, nim minęło choćby dwadzieścia sekund. Farmer z Zachodniego Rozstaja chciał, żeby zaczekała, aż skończy opowiadać o gorszych burzach, które w życiu widywał, Ale Makepeace wiedział o małej Peggy. Wysłuchał uważnie, a potem kazał chłopcom siodłać konie, podkute czy nie, bo ludzie utknęli w brodzie i nie ma czasu na głupstwa. Mała Peggy nie zdążyła nawet zobaczyć, jak odjeżdżają - Makepeace posłał ją do domu, żeby zawiadomiła ojca, wszystkich robotników i gości. Nie było wśród nich ani jednego, który kiedyś nie załadowałby na wóz wszystkiego co miał na tym świecie, i nie wyruszył na zachód przez górskie drogi, do tej puszczy. Ani jednego, który nie czuł kiedyś, jak rzeka wsysa ten wóz i chce go porwać.

Wszyscy zebrali się od razu. Tak właśnie wtedy bywało. Ludzie zauważali cudze kłopoty równie szybko, jak własne.

Rozdział 4

Hatrack

Vigor dowodził chłopcami, którzy próbowali pchać wóz, a Eleanor popędzała konie. Alvin Miller jedną po drugiej prznosił dziewczynki w bezpieczne miejsce na brzegu. Prąd był diabłem i szeptał: Porwę twoje dzieci, porwę je wszystkie, ale Alvin odpowiadał: Nie. Każdym mięśniem swego ciała zaprzeczał groźnym słowom, każdym mięśniem pracującym ku brzegowi. Aż wreszcie przemoczone dziewczynki stały na wzniesieniu, a woda spływała im po twarzach niby łyżki wszelkich zgryzot tego świata.

Przeniósłby także Faith razem z dzieckiem w jej brzuchu i całą resztą, ale nie chciała się ruszyć. Siedziała w wozie, zapierając się o burty i meble, a platforma kołysała się i podskakiwała. Trzaski błyskawice i pękały konary drzew; jeden z nich rozerwał płótno i woda chlusnęła do wnętrza wozu, ale Faith trzymała się pobielalymi z wysiłku palcami, patrząc nieruchomo przed siebie. To spojrzenie mówiło wyraźnie, że Alvin w żaden sposób nie zdoła jej namówić, by wyszła. Był tylko jeden sposób, by wyciągnąć z rzeki Faith i nie narodzone dziecko: ruszyć ten przeklęty wóz.

- Tato! Konie nie mają się o co zaprzeć! - krzyknął Vigor. - Potykają się tylko i w końcu któryś złamie nogę!

- Nie wydostaniemy się bez koni!

- Konie to już coś. Jeśli je tu zostawimy, stracimy i konie, i wóz.

- Mama nie chce zejść z wozu!

Dostrzegł zrozumienie we wzroku syna. Rzeczy w wozie nie były warte, by ryzykować dla nich życiem. Mama tak.

- Mimo wszystko - nie ustępował chłopak. - Na brzegu konie pociągną mocniej. Tu, w wodzie, nic nie pomogą.

- Niech chłopcy je wypręgą. Ale najpierw przywiąż linę do drzewa, żeby przytrzymać wóz.

Nie minęły nawet dwie minuty, a już Wastenot i Wantnot byli na brzegu i mocowali linę do tęgiego pnia. David i Measure wiązali drugą do końskiej uprząży, a Calm odcinał rzemienie, łączące zaprzęg z wozem. Dobre chłopaki; robili dokładnie to co trzeba. Vigor wydawał rozkazy, gdy Alvin mógł tylko patrzeć, stojąc bezradnie z tyłu. Pilnował Faith, która starała się nie rodzić, nie na rzece, próbującej porwać ich wszystkich do piekła.

Nieduża rzeczka, zapewniał Vigor, ale potem nadpłynęły chmury, lunął deszcz i Hatrack stała się sporą rzeką. Nawet wtedy jednak wydawała się łatwa do przejścia. Konie ciągnęły mocno i Alvin właśnie powiedział do Calma, który trzymał lejce: "Dojechalismy w ostatniej chwili", kiedy to woda oszalała. Prąd niósł dwa razy silniej, spieniły się fale. Konie wpadły w panikę, straciły orientację i zaczęły szarpać w różne strony. Chłopcy skoczyli, żeby doprowadzić je do brzegu, ale wóz stracił już rozpęd, a koła zapadły się w muł i utknęły. Tak, jakby rzeka wiedziała, że nadjeżdżają i zachowała całą wściekłość na moment, gdy znajdą się w samym środku i nie będą mogli uciec.

- Uwaga! Uwaga! - wrzasnął z brzegu Measure.

Alvin spojrzał w górę, żeby sprawdzić, jakie nowe diabelstwo wymyśliła rzeka. Zobaczył płynące z prądem całe drzewo, niby taran kierujące swe korzenie w środek wozu - dokładnie w to miejsce, gdzie siedziała Faith, z trudem hamująca poród. Alvin nie potrafił jej pomóc, w żaden sposób nie potrafił. Mógł tylko ile sił w płucach wykrzykiwać imię żony. Może w głębi serca wierzył, że póki utrzyma na wargach jej imię, utrzyma i ją przy życiu. Ale nie miał nadziei. Żadnej.

Lecz Vigor nie wiedział, że nie ma nadziei. Skoczył, gdy pień dzieliło od wozu nie więcej niż pięć metrów. Trafił tuż powyżej korzeni. Siła jego skoku odchyliła nieco kłodę, potem okręciła, okręciła i odchyliła od wozu. Oczywiście, drzewo wciągnęło Vigora pod wodę - ale korzenie minęły wóz, a pień bokiem zahaczył o burtę.

Potem spłynął do brzegu i huknął o zagłębiony w ziemi głaz. Alvin stał dwadzieścia metrów dalej, ale od tego dnia pamiętał wszystko, jakby był tuż obok: drzewo walące o kamień i Vigora między nimi. Tylko ułamek sekundy, długi jak całe życie; rozszerzone zdziwieniem oczy syna, krew płynąca z ust i plamiąca drzewo, które go zabiło. Potem Hatrack pchnęła pień w prąd wody. Vigor zniknął pod powierzchnią. Pozostała tylko wpłątana w korzenie ręka; wyglądało to, jakby sąsiad machał na pożegnanie po krótkiej wizycie.

Alvin z taką uwagą śledził wzrokiem konającego syna, że nie zauważył nawet, co dzieje się z nim samym. Uderzenie pnia wystarczyło, by wyrwać z mułu koła, a prąd porwał wóz i poniósł go w dół. Alvin przywarł do tylnej klapy, Faith szlochała w środku, Eleanor na koźle wrzeszczała z całej siły, a chłopcy na brzegu coś krzyczeli.

- Trzymaj! Trzymaj! Trzymaj!

Lina wytrzymała; wytrzymała z jednym końcem obwiązany wokół mocnego drzewa, a drugim przymocowany do osi. Rzeka nie zdołała porwać wozu; zakręciła nim za

to ku brzegowi tak, jak malcy kręcą kamieniem na sznurku. Uderzyli o ziemię i zatrzymali się dyszlem pod prąd.

- Wytrzymała! - wołali chłopcy.
- Bogu niech będą dzięki! - krzyknęła Eleanor.
- Dziecko nadchodzi - szepnęła Faith.

Ale Alvin słyszał jedynie krótki, słaby krzyk, który był ostatnim dźwiękiem wydanym przez jego pierworodnego. Widział tylko swojego chłopaka, przyciśniętego do pnia i wirującego, wirującego w wodzie. I potrafił wymówić tylko jedno słowo, jedno polecenie.

- Żyj - szepnął.

Vigor zawsze był posłuszny. Solidny robotnik, wesoły towarzysz, bardziej przyjaciel niż syn. Tym razem jednak Alvin wiedział, że syn nie posłucha. Mimo to wyszeptał:

- Żyj.

- Jesteśmy bezpieczni? - zapytała drżącym głosem Faith. Alvin spojrzał na nią, próbując zetrzeć z twarzy wyraz bólu. Nie musi wiedzieć, jaką cenę zapłacił Vigor, by ocalić ją i dziecko. Przyjdzie na to czas po porodzie.

- Czy możesz wysiąść z wozu?
- Co się stało? - Faith spojrzała na niego z uwagą.
- Przestraszyłem się. Drzewo mogło nas zabić. Możesz wysiąść teraz, kiedy tkwimy przy brzegu?

Eleanor zajrzała do wnętrza.

- Mamo, David i Calm czekają na brzegu. Pomogą ci. Lina na razie trzyma, ale nie wiadomo jak długo.

- Idź, matko, to tylko jeden krok - dodał Alvin. - Szybciej poradzimy sobie z wozem, jeśli będziemy pewni, że nic ci nie grozi.

- Dziecko nadchodzi - powtórzyła Faith.

- Lepiej na brzegu niż tutaj - odparł ostro Alvin. - Idź już. Faith wstała i niezgrabnie przeszła do przodu. Alvin postępował tuż za nią, by ją podtrzymać, gdyby straciła równowagę. Nawet on widział, jak bardzo opadł jej brzuch. Dziecko już pewnie przepycha się na świat.

David i Calm nie byli sami na brzegu. Zjawili się jacyś obcy, silni mężczyźni z końmi. Mieli nawet mały powóz, co Alvin dostrzegł z ulgą. Nie wiedział, kim są ci ludzie ani skąd wiedzieli, że potrzebna jest pomoc, ale nie marnował czasu na pytania.

- Ludzie! Czy w zajeździe jest akuszerka?

- Pani Guester pomaga przy porodach - odpowiedział jeden z nich. Ogromny mężczyzna o ramionach jak nogi bawołu. Z pewnością kowal.

- Możecie zawieźć tym wozem moją żonę? Nie ma chwili do stracenia. - Alvin wiedział, że nie wypada tak otwarcie mówić przy mężczyznach o porodzie, zwłaszcza w obecności kobiety, która właśnie ma powić dziecko. Ale Faith nie była głupia - wiedziała, co jest najważniejsze. A w tej chwili najbardziej się liczyło, by możliwie szybko ułożyć ją w łóżku, pod opieką doświadczonej akuszerki.

David i Calm ostrożnie podprowadzili matkę do wozu. Faith zataczała się z bólu. Kobiety rodzące nie powinny przeskakiwać z kozła wozu na brzeg rzeki - to było jasne. Eleanor szła tuż za nią. Przejęła dowodzenie, jak gdyby nie była młodsza od wszystkich chłopców z wyjątkiem bliźniąt.

- Measure! Zbierz dziewczęta. Pojadą z nami wozem. Wastenot i Wantnot, wy też. Wiem, że moglibyście pomóc starszym, ale ktoś musi uważać na siostry, kiedy ja będę się zajmować mamą.

Eleanor nie należało lekceważyć. Sytuacja była tak poważna, że nie nazwali jej nawet tak jak zwykle Eleonorą Akwitańską. Posłuchali bez protestów. Dziewczęta zaprzestały swych kłótni i natychmiast wsiadły na wóz.

Eleanor przystanęła jeszcze na moment i spojrzała w stronę ojca, który stał nieruchomo na koźle. Popatrzyła na rzekę, potem znowu na niego. Alvin zrozumiał pytanie i pokręcił przecząco głową. Faith nie powinna wiedzieć o ofercie Vigora. Niechciane łzy napłynęły mu do oczu, lecz oczy Eleanor pozostały suche. Miała dopiero czternaście lat, ale kiedy nie chciała płakać, to nie płakała.

Wastenot krzyknął na konia i lekki wóz skoczył do przodu. Faith krzywiła się, dziewczynki ją głaskały, a deszcz lał jak z cebra. Kiedy kobieta obejrzała się na męża, jej wzrok był posępny niby spojrzenie krowy i równie bezmyślny. Alvin sądził, że w takich chwilach jak poród kobieta zmienia się w zwierzę: przestaje myśleć, a ciało przejmuje kontrolę i robi, co należy. Czyż inaczej mogłaby znieść ból? Duch ziemi opanowywał jej duszę, tak jak władał już duszami zwierząt. Czynił ją częścią życia całego świata, odcinał od rodziny, od męża, od wszelkich więzów ludzkiej rasy, by poprowadzić w dolinę dojrzałości, plonów, żęcia i krwawej śmierci.

- Jest już bezpieczna - odezwał się kowal. - I mamy dość koni. żeby wyciągnąć wasz wóz.

- Zelzało - zauważył Measure. - Deszcz przechodzi, a prąd już nie jest taki silny.

- Od razu się poprawiło, kiedy wasza żona zeszła na brzeg - stwierdził człowiek wyglądający na farmera. - Deszcz przechodzi, to pewne.

- Najgorszą pogodę przetrwaliście na wodzie - dodał kowal. - Ale już wszystko w porządku. Weź się w garść, jest jeszcze dużo roboty.

Dopiero wtedy Alvin przyszedł do siebie. Zauważył, że płacze. Dużo roboty, to fakt. Weź się w garść, Alvinie Millerze. Nie jesteś słabeuszem, żeby się rozczulać jak dziecko. Są ludzie, którzy stracili po tuzinie dzieci, a przecież żyli dalej. Ty miałeś dwanaścioro, a Vigor żył jak prawdziwy mężczyzna, choć nie zdążył się ożenić i mieć własnych dzieci. Może Alvin szlochał, gdyż Vigor zginął tak szlachetnie; może płakał, bo zginął tak nagle.

David dotknął ramienia kowala.

- Zostawcie go na chwilę - szepnął. - Niecałe dziesięć minut temu woda porwała naszego najstarszego brata. Zaplątał się w niesione prądem drzewo.

- Wcale się nie zaplątał - rzucił ostro Alvin. - Skoczył na to drzewo, żeby ratować wóz i twoją matkę, która była w środku. A rzeka mu odpłaciła. Właśnie tak: ukarała go.

- Uderzyło nim o tamten głaz - wyjaśnił cicho Calm. Wszyscy spojrzeli. Kamień wyglądał tak niewinnie... nie było nawet śladów krwi.

- Hatrack ma paskudny charakter - stwierdził kowal. - Ale jeszcze nigdy nie widziałem jej równie wzburzonej. Przykro mi z powodu waszego chłopaka. Niżej jest takie szerokie zakole, gdzie z pewnością się zatrzyma. Wszystko, co porwie rzeka, tam właśnie zostaje. Kiedy przejdzie burza, możemy pójść i przynieść jego... przynieść go z powrotem.

Alvin wytarł oczy rękawem, ale niewiele to dało, jako że był zupełnie przemoczony.

- Dajcie mi jeszcze minutę, a pomogę wam - poprosił. Zaprzęgli dodatkowo dwa konie i czwórka zwierząt bez trudu wyciągnęła wóz ze słabnącego nurtu. Zanim stanął czterema kołami na drodze, przez chmury zaczynało już przebijać słońce.

- Coś takiego - mruknął kowal. - Jeśli komukolwiek nie podoba się tutejsza pogoda, wystarczy chwilę poczekać. Na pewno się zmieni.

- Nie tym razem - mruknął ponuro Alvin. - Ta burza czekała właśnie na nas.

Kowal objął go ramieniem.

- Nie obrażcie się - powiedział bardzo łagodnie. - Ale to gadanie wariata.

Alvin strząsnął jego rękę.

- Burza i rzeka chciały nas zabić.

- Tato - wtrącił David. - Jesteś zmęczony i załamany. Lepiej nic nie mów, dopóki nie dotrzemy do zajazdu i nie sprawdzimy, co z mamą.

- Dziecko będzie chłopcem - oświadczył Alvin. - Zobaczysz. Byłby siódmym synem siódmego syna.

To od razu zwróciło ich uwagę, tego kowala i pozostałych także. Każdy wiedział, że siódmy syn posiada pewne dary, ale siódmy syn siódmego syna to najniezwyklejsze urodziny, jakie można sobie wyobrazić.

- To zmienia postać rzeczy - przyznał kowal. - Urodziłby się różdżkarzem, a tego woda nie cierpi.

Inni zgodnie pokiwali głowami.

- Woda osiągnęła, co chciała. Osiągnęła i zwyciężyła. Gdyby zdołała, zabiłaby Faith i dziecko. A że nie potrafiła, to cóż, zabiła mojego chłopaka, Vigora. I teraz, kiedy przyjdzie dziecko, będzie szóstym synem, bo mam tylko pięciu żywych.

- Niektórzy mówią, że to żadna różnica, czy pierwszych sześciu żyje czy nie.

Alvin milczał, ale wiedział, że różnica jest ogromna. Miał nadzieję, że ten syn będzie cudownym dzieckiem, ale rzeka już zadbała, by tak się nie stało. Kiedy woda nie powstrzyma cię w jeden sposób, na pewno spróbuje innego. Nie powinien był liczyć na cud. Zbyt wysoką cenę musiał zapłacić. Przez całą drogę miał przed oczami Vigora pochwyconego w korzenie drzewa; wirował w nurcie jak liść pochwycony wiatrem, a krew płynęła mu z ust, by zaspokoić mordercze pragnienie Hatrack.

Rozdział 5

Czepek

Mała Peggy stała przy oknie i obserwowała burzę. Widziała wszystkie te płomienie serc, zwłaszcza jeden, jasny jak słońce. Ale otaczała je ciemność. Nie, nawet nie ciemność - pustka, jakby Bóg nie dokończył stwarzania tej części Wszechświata. Pustka wirowała wokół światełek, próbując oderwać je od siebie, rozrzucić i pochłonać. Mała Peggy rozumiała, czym jest ta pustka. Kiedy widziała gorące, żółte płomienie serc, dostrzegała też inne kolory. Głęboki, ciemny pomarańcz ziemi. Wyblakłą szarość powietrza. I bezdenną, czarną nicość wody. To woda ich teraz atakowała. Rzeka... ale mała Peggy nie pamiętała jej tak czarnej, tak potężnej i strasznej. Płomienie serc były maleńkimi światełkami wśród nocy.

- Co widzisz, moje dziecko? - zapytał dziadunio.

- Rzeka ich porwie.

- Mam nadzieję, że nie. Mała Peggy zaczęła płakać.

- Sama widzisz - westchnął dziadunio. - Nie zawsze jest tak wspaniale, kiedy się widzi daleko. Prawda?

Pokręciła głową.

- Ale może nie będzie tak źle jak myślisz.

Właśnie w tej chwili zobaczyła, jak jeden płomyk serca odrywa się od pozostałych i spada w ciemność.

- Oj! - krzyknęła i wyciągnęła rękę, jak gdyby mogła pochwycić światło i przesunąć je z powrotem. Ale nie mogła, oczywiście. Widziała daleko i wyraźnie, ale nie potrafiła tam sięgnąć.

- Są straceni? - chciał wiedzieć dziadunio.

- Jeden - szepnęła mała Peggy.

- Czy Makepeace i reszta już dotarli?

- Właśnie teraz - odparła. - Lina nie pękła. Są już bezpieczni. Dziadunio nie pytał, skąd wie, ani co zobaczyła. Poklepał ją tylko po ramieniu.

- Są bezpieczni, ponieważ o tym powiedziałaś. Pamiętaj, Margaret. Jeden zginął, ale gdybyś ich nie zobaczyła i nie wysłała pomocy, mogliby zginąć wszyscy.

Potrząsnęła głową.

- Powinnam wcześniej posłać pomoc, dziaduniu. Ale zasnęłam.

- I czujesz się winna?

- Powinnam pozwolić Krwawej Mary, żeby mnie podziobała. Tatuś by się nie rozzłościł, więc nie poszłabym do źródlanej szopy, więc bym nie zasnęła, więc wysłałabym pomoc na czas...

- Wszyscy możemy tworzyć takie łańcuszki pretensji. To bez sensu.

Ale wiedziała, że to ma sens. Nie winisz ślepcę, jeśli cię nie ostrzeże, że zaraz nadepniesz na węża. Ale masz pretensje, jeśli nie uprzedzi cię nawet słówkiem ktoś o zdrowych oczach. Mała Peggy знаła swoje obowiązki od pierwszej chwili, gdy zrozumiała, że widzi coś, czego inni nie potrafią dostrzec. Bóg dał jej wyjątkowe oczy, więc powinna patrzeć i ostrzegać. Inaczej diabeł porwie jej duszę. Diabeł albo głębokie, czarne morze.

- Bez sensu - powtórzył dziadunio i nagle podskoczył, jakby ktoś ukuł go wyciorem.
- Źródłana szopa! - zawołał. - Naturalnie. - Przyciągnął dziewczynkę do siebie. - Posłuchaj mnie, mała Peggy. Prawda jest taka, że nie było w tym twojej winy. Ta sama woda płynie w Hatrack i w strumyku źródlanej szopy. To jest ta sama woda, na całym świecie. Ta sama, która chciała ich zabić. Wiedziała, że możesz ich ostrzec i wysłać pomoc. Więc śpiewała dla ciebie i posłała w sen.

Owszem, to brzmiało dość rozsądnie.

- Jak to możliwe, dziaduniu?

- To tkwi w naturze wody. Cały Wszechświat stworzony jest tylko z czterech rodzajów materii, a każdy rodzaj chce zwyciężyć pozostałe.

Peggy pomyślała o kolorach, które widziała, gdy patrzyła na płomienie sere. I nim jeszcze dziadunio je wymienił, wiedziała, co to za cztery rodzaje materii.

- Ogień czyni rzeczy gorącymi i jasnymi. I spala je. Powietrze czyni rzeczy chłodnymi i wkrada się wszędzie. Ziemia czyni je pewnymi i silnymi, by mogły trwać. Ale woda je porywa; pada z nieba i zabiera wszystko co pochwyci, zabiera i niesie w dół, do morza. Gdyby zwyciężyła woda, cały świat stałby się gładki: jeden wielki ocean i nic poza zasięgiem wody. Wszystko martwe i gładkie. Dlatego usnęłaś. Woda chce porwać tych obcych, kimkolwiek są; porwać ich i zabić. To cud, że w ogóle się zbudziłaś.

- Zbudził mnie młot kowala - wyjaśniła mała Peggy.

- Właśnie! Kowal pracuje z żelazem, czyli najtwardszą ziemią, w ognistym poddmuchu powietrza z miechów, z ogniem tak gorącym, że wypala trawę wokół paleniska. Woda nie mogła go dosięgnąć ani uciszyć.

Mała Peggy z trudem mogła w to uwierzyć, ale tak musiało być. Kowal wyrwał ją z wodnego snu. Kowal jej pomógł. To śmieszne, ale w owej chwili był jej przyjacielem.

Na ganku rozległy się jakieś wołania, ktoś otworzył i zamknął drzwi.

- Przyjechali już - stwierdził dziadunio.

Mała Peggy zobaczyła na dole płomienie serc i odszukała ten jeden, z najmocniejszym lękiem i cierpieniem.

- To ich mama - oświadczyła. - Będzie rodzić.

- Popatrz, jakie to szczęście. Stracili jednego, a już nadchodzi drugi, by śmierć zastąpić życiem. - Dziadunio poczłapał do drzwi, by pomóc na dole.

Mała Peggy stała nieruchomo, wpatrując się w to, co zobaczyła w oddali. Zagubiony płomyk wcale nie zgasł; była tego pewna. Widziała, jak jarzy się blaskiem, mimo wysiłków ciemności, próbującej go pochłonać.

Wypadła z pokoju, wyprzedziła dziadunia i zbiegła po schodach.

Kiedy wbiegła do dużej sali, mama chwyciła ją za ramię.

- Szykuje się poród - powiedziała. - Będziesz potrzebna. - Ale mamó, ten, którego porwał prąd, jeszcze żyje!

Dwaj chłopcy o identycznych twarzach wtrącili się do rozmowy.

- Porwany z prądem! - zawołał jeden.

- Jeszcze żyje! - zdumiał się drugi.

- Skąd wiesz?

- To niemożliwe!

Przekrzykiwali się wzajemnie, aż mama musiała ich uciszyć, żeby zrozumieć, o czym mówią.

- To był Vigor, nasz najstarszy brat. Zniosło go...

- Żyje - oświadczyła mała Peggy. - Ale pochwyciła go rzeka.

Bliźniaki spojrzały na mamę, szukając potwierdzenia.

- Można jej wierzyć, pani Guester?

Mama skinęła głową, a chłopcy pognali do drzwi, krzycząc:

- On żyje! Jeszcze żyje!

- Jesteś pewna? - zapytała surowo mama. - To okrutne, wlewać im w serca nadzieję, jeśli to nie jest prawda...

Ale wtedy do sali wszedł dziadunio.

- Daj spokój, Peg - powiedział. - Skąd by wiedziała, że porwała go rzeka, gdyby tego nie zobaczyła?

- Wiem - przyznała mama. - Ale teraz mam co innego na głowie. Ta kobieta już zbyt długo powstrzymuje poród. Muszę się zająć dzieckiem, więc chodź, mała Peggy. Musisz powiedzieć, co zobaczysz.

Mała Peggy ruszyła za nią do sypialni obok kuchni, gdzie spali mama i tato, kiedy goście zostawali na noc. Kobieta leżała w łóżku, mocno ściskając dłoń dziewczynki o ciemnych, poważnych oczach. Mała Peggy nie знаła ich twarzy, ale rozpoznała płomienie serc, zwłaszcza ból i lęk rodzącej.

- Ktoś krzyczał - szepnęła kobieta.

- Uspokój się - poleciła mama.

- O tym, że jeszcze żyje.

Poważna dziewczynka uniosła brew i spojrzała na mamę.

- Czy to prawda, pani Guester?

- Moja córka jest zagwiał. Dlatego ją tu przyprowadziłam. Żeby spojrzała na dziecko.

- Czy widziała mojego syna? Czy on żyje?

- Myślałam, że masz jej nie mówić, Eleanor - rzuciła mama.

Dziewczynka pokręciła głową.

- Widziała z wozu. On żyje?

- Powiedz im, Margaret - poleciła mama.

Mała Peggy obejrzała się, szukając płomienia serca chłopca. Kiedy patrzyła w ten sposób, przestawały istnieć ściany. Płomień wciąż gorzał, choć wiedziała, że jest bardzo daleko. Tym razem jednak zbliżyła się do niego, jak to potrafiła, i przyjrzała dokładnie.

- Jest w wodzie. Zaplątany w korzenie.

- Vigor! - krzyknęła rodząca.

- Rzeka chce go zabić. Rzeka powtarza: Giń, giń.

Mama dotknęła ramienia kobiety.

- Bliźnięta pobiegły zawiadomić pozostałych. Wyślą ludzi na poszukiwania.

- W ciemności! - rzuciła pogardliwie kobieta.

Mała Peggy przemówiła znowu.

- On się chyba modli. Powtarza... siódmy syn.

- Siódmy syn - szepnęła Eleanor.

- Co to znaczy? - spytała mama.

- Jeśli urodzi się chłopiec - wyjaśniła Eleanor - i to zanim umrze Vigor, będzie siódmym synem siódmego syna. I wszystkich sześciu pierwszych będzie żywych.

Mama głośno wciągnęła powietrze.

- Nic dziwnego, że rzeka...

Nie musiała kończyć. Wzięła małą Peggy za rękę i podprowadziła do łóżka.

- Popatrz na to dziecko i sprawdź, co zobaczysz.

Mała Peggy już wcześniej robiła takie rzeczy. Do tego głównie wykorzystywano żagwie: żeby patrzeć na nie narodzone dzieci w chwili porodu. Po części dlatego, by wiedzieć, jak są ułożone w łonie matki. A także dlatego, że niekiedy żagiew odgadywała, kim jest i kim będzie dziecko, potrafiła opowiedzieć historie z przyszłych czasów.

Peggy widziała płomień serca dziecka, zanim jeszcze dotknęła brzucha kobiety. To ten płomień zauważyła wcześniej; palił się tak jasny i gorący, że w porównaniu z płomieniem matki był jak słońce wobec księżyca.

- To chłopiec - oznajmiła.

- Więc niech go urodzę - szepnęła kobieta. - Niech zaczerpnie tchu, póki oddycha Vigor.

- Jak leży dziecko? - spytała mama.

- Tak jak trzeba - uspokoiła ją mała Peggy.

- Główką do przodu? Twarzą w dół?

Mała Peggy przytaknęła.

- Czemu więc nie wychodzi? - chciała wiedzieć mama.

- Ona kazała mu czekać. - Mała Peggy spojrzała na rodzącą.

- Na wozie - wyjaśniła kobieta. - Pchał się na świat, więc rzuciłam zakłęcie.

- Powinnaś mi od razu powiedzieć - zirytowała się mama. - Mam ci pomóc, a nie mówisz nawet, że dziecko jest pod zaklęciem. Ty, dziewczyno!

Pod ścianą stało kilka dziewczynek, spoglądających rozszerzonymi oczyma. Nie wiedziały, o którą mamie chodzi.

- Którakolwiek. Potrzebny mi jest ten żelazny klucz z kółkiem, co wisi na ścianie.

Największa niezgrabnie zdjęła go z haka i przyniosła. Mama zakołysała wielkim kółkiem i kluczem nad brzuchem rodzącej. Nuciała cicho:

Oto jest krąg, rozwarty krąg

Wydź z niego, biorąc klucz z mych rąk.

Niech ziemia będzie żelazem, niech ogień jasno, płonie

Kiedy się z łona wody w powietrze wyłonisz.

Kobieta krzyknęła w nagłym ataku cierpienia. Mama odrzuciła klucz, zerwała koc, uniosła kolana rodzącej i ostro nakazała Peggy, by patrzyła.

Mała Peggy dotknęła łona kobiety. Umysł chłopca był pusty, z wyjątkiem wrażenia nacisku i narastającego chłodu, gdy wynurzał się na powietrze. Ale właśnie ta pustka pozwalała na dostrzeżenie rzeczy, które już nigdy nie będą wyraźnie widoczne. Miliardy miliardów ścieżek jego życia stało otworem, czekając na pierwsze wybory, na pierwsze przemiany świata wokół niego, by z każdą sekundą eliminować miliony możliwych przyszłości. Przyszłość tkwiła w każdym: migotliwy cień, który widywała rzadko i nigdy wyraźnie, przesłaniany myślami o chwili bieżącej. Teraz jednak, przez kilka bezcennych sekund, mała Peggy zobaczyła te przyszłości z pełną wyrazistością.

I zobaczyła śmierć na końcu każdej ścieżki. Tonięcie, zatopienie... każda ścieżka prowadziła to dziecko do śmierci w wodzie.

- Dlaczego tak go nienawidzisz! - zapłakała mała Peggy.

- Co? - zdziwiła się Eleanor.

- Pst - uciszyła ją mama. - Niech widzi, co ma widzieć.

We wnętrzu nie narodzonego dziecka otaczająca płomień serca ciemna plama wody wydawała się przeraźliwie potężna i mała Peggy przestraszyła się, że całkiem go zgasi.

- Wyjmijcie go! Niech odetchnie! - zawołała.

Mama sięgnęła do łona, choć sprawiało to rodzącej straszliwy ból; mocnymi palcami chwyciła dziecko za szyję i wyrwała je na zewnątrz.

W tej właśnie chwili, gdy z duszy dziecka cofnął się już mrok wody, a jeszcze przed pierwszym oddechem, mała Peggy zobaczyła, jak znika dziesięć tysięcy śmierci poprzez wodę. Po raz pierwszy pojawiły się otwarte ścieżki, wiodące ku oszałamiającej przyszłości. A wszystkie ścieżki nie zakończone wczesnym zgonem miały jedną wspólną cechę. Na wszystkich mała Peggy widziała siebie, jak robi pewną prostą rzecz.

Zrobiła więc tę rzecz. Oderwała dłonie od wiotkiego już brzucha i wcisnęła się pod ramię mamy. Właśnie pokazała się głowa dziecka, wciąż pokryta krwawym czepek, strzępem worka miękkiej skóry, w którym pływało w matczynym łonie. Chłopiec miał rozwarte wargi i wsysał czepek do ust, ale błona nie pękała. Malec nie mógł oddychać.

Mała Peggy uczyniła to, co zobaczyła w wizji przyszłości. Wyciągnęła rękę, chwyciła za czepek pod brodą noworodka i ściągnęła mu go z twarzy. Zsunął się cały - jeden wilgotny strzępek. A kiedy odkrył usta, chłopiec odetchnął głęboko i zapłakał piskliwie. W tym płaczu rodzące matki słyszą pieśń życia.

Mała Peggy zwinęła czepek. Wciąż myślała o wizjach, które dostrzegła na ścieżkach przyszłości dziecka. Nie wiedziała jeszcze, co te wizje oznaczają, ale tak wyraźnie odbiły się w jej umyśle, że z pewnością nigdy ich nie zapomni. Bała się trochę, gdyż bardzo dużo zależało od niej samej i od tego, jak użyje porodowego czepek, ciepłego jeszcze w dłoniach.

- Chłopiec - oznajmiła mama.

- Czy jest siódmym synem? - szepnęła rodząca.

Mama wiązała pępowinę, więc nie mogła spojrzeć na małą Peggy.

- Patrz - rzuciła cicho.

Mała Peggy odnalazła samotny płomień serca na dalekiej rzece.

- Tak - potwierdziła, gdyż płomyk gorzał jeszcze. Ale kiedy patrzyła, zamigotał i zgasł.

- Teraz umarł.

Kobieta na łóżku zapłakała gorzko; wyczerpane porodem ciało zadrżało.

- Rozpacz po urodzeniu dziecka - zmartwiła się mama. - To rzecz straszna.

- Cicho - szepnęła do swej matki Eleanor. - Raduj się, bo okryjesz mrokiem życie dziecka!

- Vigor - wymamrotała kobieta.

- Lepiej nic zupełnie niż łzy - stwierdziła mama. Oddała płaczące niemowlę Eleanor, która chwyciła je z wprawą. Kołysała już wiele dzieci, to było widoczne na pierwszy rzut oka. Ze stołu w kącie mama wzięła szarfę tkaną z uczernionej wcześniej wełny, a zatem aż do głębi mającą kolor nocy. Wolno przesunęła szarfę po twarzy zapłakanej kobiety.

- Śpij, matko. Spij - szepnęła.

Kiedy cofnęła rękę, płacz ucichł, a wyczerpana kobieta usnęła.

- Zabierzcie stąd dziecko - poleciła mama.

- Czy nie powinien zacząć ssać? - spytała Eleanor.

- Ona nigdy nie będzie go karmić - odparła mama. - Chyba że chcecie, by wyssało nienawisć.

- Nie może go nienawidzić - zaprotestowała Eleanor. - Przecież to nie jego wina.

- Ale jej mleko tego nie wie. Mam rację, mała Peggy? Czyją pierś będzie ssał ten mały?

- Swojej mamy - oświadczyła mała Peggy. Mama spojrzała na nią surowo.

- Jesteś tego pewna? Dziewczynka kiwnęła głową.

- W takim razie przyniesiemy dziecko, kiedy się obudzi. Przez pierwszą noc i tak nie musi nic jeść.

Eleanor wyniosła niemowlę do wielkiej sali, gdzie przy ogniu suszyli się mężczyźni. Przerwali opowieści o burzach i ulewach o wiele gorszych od dzisiejszej; przerwali, by przez chwilę podziwiać dziecko.

W pokoju mama ujęła małą Peggy pod brodę i z powagą spojrzała jej w oczy.

- Powiedz prawdę, Margaret. To trudna sprawa, kiedy dziecko ssie mleko matki i pije nienawiść.

- Ona nie będzie go nienawidzić, mamó - zapewniła mała Peggy.

- Co widziałas?

Mała Peggy opowiedziałaby wszystko, ale nie знаła słów, które mogłyby opisać tamte wizje. Dlatego wbiła wzrok w podłogę. Mama głośno nabrała tchu i dziewczynka wiedziała, że zbiera się na wymówki. Ale mama czekała... a potem mała Peggy poczuła na policzku jej delikatną dłoń.

- Och, córeczko, miałaś trudny dzień. Dziecko mogło umrzeć, gdybyś mi nie kazała go wyciągnąć. Otworzyłaś mu nawet usta. To właśnie zrobiłaś, prawda?

Mała Peggy przytaknęła.

- To dość dla małej dziewczynki. Aż za wiele jak na jeden dzień. - Mama zwróciła się do pozostałych dziewcząt, stojących w mokrych sukienkach pod ścianą. - Wy też miałyście dzisiaj dość przeżyć. Wyjdźcie stąd. Niech wasza mama się wyśpi. Osuszycie się przy ogniu, a ja przygotuję kolację.

Ale w kuchni urzędował już dziadunio, który nie chciał nawet słyszeć, by mama cokolwiek robiła. Wkrótce więc zajęła się dzieckiem. Uciszyła mężczyzn, by mogła ukołysać je do snu, podając palec do ssania.

Po kilku chwilach mała Peggy uznała, że nie jest już potrzebna.

Przemknęła po schodach do drabiny na poddasze, a potem po drabinie w mroczną, stęchłą przestrzeń. Nie przejmowała się pajakami, a koty nie dopuszczały tu myszy, więc wcale się nie bała. Poczłgała się prosto do tajnej kryjówki i wyjęła rzeźbione pudełko, które dostała kiedyś od dziadunia. To jego tato przywiózł je z Ulsteru, kiedy przybył do kolonii. Pełne było bezcennych okruchów dzieciństwa: kamyków, łańcuszków i guziczków. Teraz jednak mała Peggy wiedziała, że to głupstwa w porównaniu z pracą, jaka czekała ją przez resztę życia. Wyrzuciła wszystko i dmuchnęła do wnętrza, by usunąć kurz. Potem włożyła do środka zwinięty czepek i zamknęła wieczko.

Wiedziała, że w przyszłości otworzy to pudełko dziesiątki dziesiątków razy. Że ono ją wezwie, przebudzi ze snu, oderwie od przyjaciół i skradnie marzenia. A wszystko dlatego, że

maleńki chłopiec na dole nie miał żadnej przyszłości prócz śmierci od mrocznej wody... chyba że ona użyje tego czepek dla jego ochrony - jak kiedyś chronił go w łonie matki.

Przez chwilę była zła, że jej życie tak bardzo się zmieni. To gorsze niż przyjazd kowala, gorsze niż leszczynowa witka, którą bił ją tato, gorsze niż mama, kiedy w jej oczach błyszczy gniew. Wszystko zmieniło się już na zawsze, a to niesprawiedliwe. Tylko z powodu dziecka, którego przecież nie zapraszała, nie prosiła, żeby tu przybyło. Goją obchodzi jakieś tam dziecko?

Otworzyła pudełko. Chciała wyjąć czepek i cisnąć go w ciemny kąt poddasza. Ale nawet w mroku widziała miejsce jeszcze bardziej mroczne: wokół płomienia jej serca, gdzie pustka głębokiej, czarnej rzeki czekała tylko, by uczynić z niej morderczynię.

Nie mnie, oświadczyła wodzie. Nie jesteś częścią mnie.

Ależ jestem, odpowiedziała woda. Beze mnie wyschłabyś i umarła.

W każdym razie nie będziesz mi rozkazywać, odparowała mała Peggy.

Zamknęła wieczko i zsunęła się po drabinie. Tato zawsze powtarzał, że jeśli będzie to robić, wbije sobie drzazgę w pupę. Tym razem jego przepowiednia sprawdziła się. Zakłuło mocno, więc trochę bokiem weszła do kuchni, gdzie był dziadunio. Oczywiście zostawił na chwilę gotowanie i wyjął jej drzazgę.

- Mam już za słabe oczy na takie rzeczy, Maggie - poskarżył się.

- Masz wzrok orła. Tato tak mówi.

- Naprawdę? - zachichotał dziadunio.

- Co będzie na kolację?

- Zobaczysz, że będzie ci smakować, Maggie. Mała Peggy zmarszczyła noseć.

- Pachnie jak kura.

- Zgadza się.

- Nie lubię rosołu z kury.

- To nie tylko zupa, Maggie. Ta kura się piecze, cała, oprócz skrzydeł i szyi.

- Pieczonej kury też nie cierpię.

- Czy twój dziadunio oszukał cię kiedy?

- Nie.

- Więc możesz mi wierzyć, kiedy mówię, że z tej kury będziesz zadowolona. Pomyśl chwilę. Jest chyba pewna szczególna kura, którą chętnie zjesz na kolację?

Mała Peggy myślała i myślała, aż wreszcie uśmiechnęła się.

- Krwawa Mary?

Dziadunio mrugnął porozumiewawczo.

- Zawsze mówiłem, że przeznaczeniem tej kwoki jest skończyć w sosie.

Mała Peggy ścisnęła go tak mocno, aż zaczął udawać, że się dusi. A potem śmiali się i śmiali, i śmiali.

Później, kiedy mała Peggy od dawna leżała już w łóżku, przynieśli do domu ciało Vigora. Tato i Makepeace zaczęli zbijać dla niego trumnę. Alvin Miller sam wyglądał jak trup, nawet wtedy, kiedy Eleanor pokazała mu dziecko. Dopóki nie powiedziała:

- Ta dziewczynka to żagiew. Mówi, że dzieciak jest siódmym synem siódmego syna.

Alvin rozejrzał się, szukając kogoś, kto powie, że to prawda.

- Można jej ufać - zapewniła mama.

W oczach Alvina na nowo zabłyśły łzy.

- Chłopak się trzymał - szepnął. - W tej wodzie. Wytrzymał dostatecznie długo.

- Wiedział, jak bardzo ci na tym zależy - wtrąciła Eleanor.

Wtedy Alvin wziął dziecko, przytulił mocno i spojrzał mu w oczy.

- Nikt go chyba jeszcze nie nazwał, co?

- Jasne, że nie - uspokoiła go Eleanor. - Mama nadawała imiona wszystkim chłopcom, ale powtarzałeś, że siódmy syn będzie nosił...

- Moje własne imię. Alvin. Siódmy syn siódmego syna, o imieniu takim, jak jego ojciec. Alvin Junior. - Rozejrzał się, po czym stanął twarzą w stronę rzeki, dalekiej wśród nocnej puszczy. - Słyszysz mnie, Hatrack? Ma na imię Alvin i nie udało ci się go zabić.

Wkrótce potem przyniesiono trumnę i ułożono w niej Vigora. Wokół stanęły świece, symbolizujące ogień życia, który go opuścił. Alvin uniósł dziecko nad zwłokami.

- Spójrz na swojego brata - szepnął do niemowlęcia.

- On jeszcze nic nie widzi, tato - zauważył David.

- Mylisz się, Davidzie. On tylko nie wie, co widzi, ale oczy potrafią już patrzeć. A kiedy będzie dość duży, by wysłuchać historii swoich narodzin, powiem mu, że na własne oczy widział swego brata Vigora, który oddał za niego życie.

Minęły dwa tygodnie, nim Faith poczuła się lepiej i mogli ruszyć w dalszą drogę. Alvin dopilnował, by on sam i chłopcy uczciwie zapracowali na utrzymanie. Oczyszczili sporą połąć ziemi, narąbali drewna na zimę, ułożyli sagi na węgiel drzewny dla Makepeace'a Smitha i poszerzyli drogę. Zrąbali też cztery wielkie drzewa i przerzucili solidny most nad Hatrack.

Grób Vigora był trzecim, obok grobów dwóch siostrzyczek małej Peggy. Cała rodzina modliła się przy nim tego ranka, kiedy odjeżdżali. Potem wsiedli do wozu i ruszyli na zachód.

- Ale na zawsze zostawiamy tu część siebie - powiedziała Faith.

Alvin pokiwał głową.

Mała Peggy spoglądała za nimi przez chwilę. Później wbiegła na poddasze, otworzyła pudełko i chwyciła czepek małego Alvina. Nic mu nie groziło - przynajmniej na razie. Był chwilowo bezpieczny. Schowała czepek z powrotem i zamknęła wieko. Lepiej zostać kimś, mały Alvinie, powiedziała. Inaczej okaże się, że całkiem bez powodu sprawiłeś wszystkim masę kłopotów.

Rozdział 6

Kalenica

Dzwoniły topory, mężczyźni śpiewali przy pracy nabożne pieśni, a budynek kościoła wielbego Philadelphii Throwera rósł coraz wyżej nad łąkami miasteczka Vigor. Wszystko działo się o wiele szybciej, niż wielbny Thrower sobie wyobrażał. Pierwsza ściana domu bożego stanęła ledwie dzień czy dwa temu, a już pijany, jednooki Czerwony przywłókł się i przyjął chrzest, jakby sam widok kościoła był dźwignią, unoszącą go do cywilizacji i chrześcijaństwa. Jeżeli tak ciemny Czerwony, jak Lolla-Wossiky, mógł dojść do nauki Jezusa, to jakich jeszcze cudownych nawróceń może się spodziewać, gdy dom parafialny zostanie ukończony, a służba boża wielbego Throwera potrwa dłużej?

Mimo wszystko wielbny Thrower nie był całkiem zadowolony. Żyli tu nieprzyjaciele cywilizacji o wiele silniejsi od pogańskich Czerwonych. A wszelkie znaki wskazywały, że nie ma wiele nadziei - nie tak jak wtedy, gdy Lolla-Wossiky po raz pierwszy w życiu założył odzienie białych ludzi. W szczególności psuła nastrój tego pogodnego dnia nieobecność wśród robotników Alvina Millera. Jego żona wyczerpała wszelkie możliwe usprawiedliwienia. Wrócił z wyprawy na poszukiwanie odpowiedniego młyńskiego kamienia, wypoczął przez jeden dzień, więc zgodnie ze zwyczajem powinien być teraz tutaj.

- Czyżby zachorował? - spytał Thrower. Faith przygryzła wargę.

- Kiedy mówię, że nie przyjdzie, to nie oznacza, że nie może przyjść, wielbny ojciec.

Potwierdziła tylko narastające podejrzenia Throwera.

- Chyba nie uraziłem go niechcący?

Faith westchnęła i odwróciła głowę, patrząc na belki i podpory kościoła.

- Nie, w żaden sposób nie nadepnęliście mu na odcisk, jak to mówią. - Nagle spojrzała uważniej. - A co to ma znaczyć?

Obok nagiej ściany mężczyźni wiazali liny do jednego z końców belki kalenicy, by podciągnąć ją na miejsce. Praca nie była prosta, a utrudniali ją jeszcze mali chłopcy, przewracający się na ziemi i wpadający ciągle pod nogi. To właśnie zapaśnicy zwrócili uwagę Faith.

- Al! - krzyknęła. - Alvinie Juniorze, puść go natychmiast!

Szybko postąpiła dwa kroki w stronę chmury kurzu, znaczącej heroiczne zmagania pary sześciolatków.

Wielebny Thrower nie mógł dopuścić do tak nagłego zakończenia rozmowy.

- Pani Faith - zawołał ostro. - Alvin Miller jest pierwszym osadnikiem w tej okolicy i cieszy się szacunkiem ludzi. Jeżeli z jakichś powodów zwróci się przeciw mnie, bardzo to utrudni moją służbę bożą. Możecie przynajmniej wytłumaczyć, com uczynił, że go uraziłem.

Faith spojrzała mu w oczy, jakby chciała ocenić, czy potrafi znieść prawdę.

- Poszło o wasze głupie kazanie, ojcze.

- Głupie?

- Nie mogliście o niczym wiedzieć, skoro pochodzicie z Anglii i...

- Ze Szkocji, pani Faith.

- ...i kształciliście się w szkołach, gdzie nic nie wiedzą o...

- Na Uniwersytecie w Edynburgu! Dobrze sobie, nie wiedzą!

- O heksagramach, znakach, urokach, zaklęciach i tym podobnych sprawach.

- Wiem, pani Faith, że korzystanie z takich mrocznych i niewidzialnych mocy jest straszliwą zbrodnią na ziemiach posłusznych Lordowi Protektorowi, choć on w swej łaskawości jedynie wygnał tych, którzy...

- No właśnie, o to mi chodziło - przerwała tryumfalnym tonem. - Raczej nie uczyli was o tym na uniwersytecie, prawda? Ale my tutaj tak żyjemy i określanie tego zabobonem...

- Nazwałem to histerią.

- Nazwa nie zmienia faktu, że to działa.

- Rozumiem, że wierzycie, iż to działa - tłumaczył cierpliwie Thrower. - Ale wszystko na świecie jest albo nauką, albo cudem. W pradawnych czasach Bóg czynił cuda, lecz ta era już minęła. Dzisiaj, jeśli pragniemy odmienić świat, nie magia lecz nauka dostarcza nam narzędzi.

Wyraz jej twarzy wskazywał, że słowa nie wywarły najlepszego wrażenia.

- Nauka - powtórzyła. - Na przykład macanie guzów na głowie.

Żeby przynajmniej próbowała ukryć swą pogardę...

- Frenologia jest młodą dziedziną wiedzy - odparł chłodno. - Wiele tam jeszcze niedociągnięć, ja jednak próbowałem ustalić...

Zaśmiała się; dziewczęcy chichot sprawił, że wydawała się zbyt młoda jak na matkę czternaściora dzieci.

- Przepraszam, wielebny ojcze, ale przypomniałam sobie, że Measure nazwał to szukaniem rozumu. Dodał jeszcze, że w tej okolicy nie będziecie mieli szczęścia w poszukiwaniach.

Święta prawda, pomyślał wielbny Thrower. Był jednak dość rozsądny, by nie powiedzieć tego głośno.

- Pani Faith, mówiłem to wszystko, by ludzie pojęli, że na świecie powstały znakomitsze szkoły myślenia i nie ma więcej potrzeby, by wiązały nas przesady...

Nic nie skutkowało. Jej cierpliwość wyczerpała się.

- Mój chłopak sam się prosi, żeby oberwać kijem, jeżeli nie da spokoju innym dzieciom. Wybaczcie, wielbny ojcie.

I odbiegła, by na podobieństwo gniewu pańskiego runąć na sześciolatniego Alvina i trzyletniego Calvina. Była mistrzem w robieniu wymówek. Mimo że wiatr wiał w przeciwną stronę, dokładnie słyszał jej krzyki.

Cóż za ignorancja, mrucał do siebie Thrower. Jestem tu potrzebny nie tylko jako wysłannik boży między poganami, ale jako człowiek nauki wśród zabobonnych głupców. Ktoś wyszepecze klątwę a potem - pół roku później - coś złego przytrafi się osobie, na którą klątwę rzucono. Zawsze tak jest, przynajmniej dwa razy do roku każdemu przytrafia się coś złego. A oni są przekonani, że to klątwa wywarła złowrogi efekt. Post hoc ergo propter hoc.

W Brytanii studenci uczyli się odrzucać tak elementarne błędy logiczne, gdy jeszcze studiowali trivium. Tutaj był to sposób na życie. Słusznie uczynił Lord Protektor, karząc srogo adeptów czarnej magii, choć Thrower wolałby, aby zarzucano im głupotę zamiast herezji. Oskarżenie o herezję przydawało tym bzdurom pewnej godności, jakby należało się ich bać, nie pogardzać nimi.

Trzy lata temu, tuż po uzyskaniu stopnia doktora teologii, Thrower pojął nagle, jaki błąd popełnia Lord Protektor. Pamiętał, że był to punkt zwrotny jego życia, a także pierwszy raz, kiedy odwiedził go Przybysz. Rzec miała miejsce w niewielkim pokoiku na probostwie kościoła św. Jakuba w Belfaście, gdzie służył jako asystent pastora - jego pierwsza funkcja po wyświęceniu. Spoglądał wtedy na mapę świata, a jego wzrok zabłądził do Ameryki. Wyraźnie wyrysowano Pensylwanię, rozciągającą się na zachód od szwedzkich i duńskich kolonii, aż linie granic zanikały w nieznanej krainie za rzeką Mizzipy. I było tak, jakby mapa nagle ożyła; zobaczył tłumy ludzi przybywających do Nowego Świata. Dobrzy purytanie, lojalni wierni i zaradni ludzie interesu płynęli do Nowej Anglii; papiści, rojaliści i inne wyrzutki trafiały do krain zbuntowanych niewolników: Virginii, Karoliny i Jacobii, tak zwanych Kolonii Korony. Tacy ludzie, kiedy już znajdą sobie miejsce, pozostają w nim na zawsze.

Ale do Pensylwanii trafiali także inni: Niemcy, Holendrzy, Szwedzi i Hugonoci uciekali z własnych krajów i zmieniali kolonię Pensylwanii we wrzący kocioł, pełen najgorszego ludzkiego śmiecia na całym kontynencie. Co gorsza, oni nie chcieli zostać na

miejscu. Ci tępogłowi wieśniacy łądowali w Filadelfii, przekonywali się, że zasiedlone - Thrower nie nazwałby ich "cywilizowanymi" - regiony są już zbyt zatłoczone, i natychmiast ruszali na zachód. Prosto na ziemię Czerwonych, by tam wyrąbać sobie farmę wśród puszczy. Nieważne, że Lord Protektor wyraźnie zabronił osadnictwa w tych rejonach. Co tych pogan obchodziło prawo? Chcieli ziemi, jakby samo jej posiadanie mogło zmienić chłopą w szlachcica.

A potem wizja przyszłej Ameryki zmieniła się z ponurej w naprawdę tragiczną - Thrower widział, jak z początkiem nowego wieku wybucha wielka wojna. Zobaczył, jak król Francji wysyła do Kanady tego odrażającego pułkownika z Korsyki, Bonapartego, i jak jego ludzie rozniecają niepokoje wśród Czerwonych w warownym mieście Detroit. Czerwoni runą na osadników i zniszczą ich. I chociaż to tylko wyrzutki, to jednak wyrzutki angielskie, a wizja okrucieństw popełnianych przez Czerwonych sprawiła, że Throwerowi dreszcz przebiegł po karku.

I gdyby nawet Anglicy zwyciężyli, nie zmieni to wyniku wojny. Ameryka na zachód od Appalachów nigdy nie będzie krajem chrześcijańskim. Zdobędą ją albo ci przekłęci francuscy czy hiszpańscy papiści, albo zatrzymają pogańscy Czerwoni, albo osiadą tam najbardziej zdeprawowani Anglicy, grając na nosie Chrystusowi i Lordowi Protektorowi. Jeszcze jeden kontynent przepadnie dla Pana. Wizja była tak przerażająca, że Thrower zapłakał. Sądził, że nikt go nie usłyszy, zamkniętego w małym pokoiku.

Ktoś jednak usłyszał.

- Tam czeka praca życia dla człowieka oddanego Bogu - odezwał się jakiś głos za jego plecami. Thrower odwrócił się szybko, lecz głos był łagodny i ciepły, a twarz stara i dobra. Thrower bał się tylko przez jedną chwilę, mimo że żaden śmiertelnik nie mógłby wejść do pokoju przez zamknięte drzwi i okno.

Uznawszy, że przybysz jest elementem oglądanej właśnie wizji, Thrower zwrócił się do niego z szacunkiem.

- Panie, kimkolwiek jesteś... właśnie ukazano mi przyszłość Ameryki Północnej i wygląda ona jak zwycięstwo szatana.

- Szatan zwycięża - odparł mężczyzna - gdy lud boży traci serce i złemu oddaje pole bitwy.

A potem po prostu zniknął.

Od tamtej chwili Thrower wiedział, czemu poświęci swe życie. Musi wyruszyć na pustkowia Ameryki, wybudować tam kościół i walczyć z diabłem na jego własnym terenie. Trzy lata zajęło mu zebranie pieniędzy i uzyskanie zgody zwierzchników Kościoła

Szkockiego. W końcu jednak znalazł się tutaj, a belki i filary domu bożego rosły w górę, by jasnym, surowym drewnem wyzywać ciemną puszcę barbarzyństwa, z której je wyciosano.

Naturalnie, szatan musiał zwrócić uwagę na tak wspaniałe dzieło. I, oczywiście, pierwszym jego uczniem w osadzie Vigor był Alvin Miller. Wprawdzie wszyscy jego synowie pomagali przy budowie, ale Thrower wiedział, że to zasługa Faith. Ta kobieta przyznała nawet, że w głębi serca należy do Kościoła Szkockiego, choć przyszła na świat w Massachusetts. Gdyby inni poszli za jej przykładem, Thrower mógł oczekiwać licznej kongregacji - pod warunkiem, że Alvin Miller wszystkiego nie zniszczy.

A zechce zniszczyć, z całą pewnością. Nieważne, że Alvin Miller poczuł się urażony czymś, co Thrower niechcący zrobił lub powiedział. Ważne, że już na samym początku nastąpił spór o magię, a przed tym konfliktem nie było ucieczki. Wytyczono linie frontu. Thrower stał po stronie nauki i chrześcijaństwa, zaś naprzeciw zajęły pozycje moce ciemności i zabobonu, zwierzęca i zmysłowa natura człowieka. Alvin Miller był przywódcą.

To dopiero początek mojej walki w sprawie Pana, pomyślał Thrower. Jeśli nie pokonam tego właśnie, pierwszego przeciwnika, już nigdy nie odniosę zwycięstwa.

- Pastorze! - krzyknął najstarszy syn Alvina, David. - Możemy już podnosić kalenicę!

Thrower ruszył ku nim, najpierw truchtem, potem przypomniał sobie o należytej powadze i resztę drogi pokonał statecznym krokiem. W Biblii nie było ani słowa, które sugerowałoby, że Pan kiedykolwiek biegał - chodził tylko, jak przystało Jego godności. Oczywiście, Paweł wygłaszał pewne komentarze na temat porządnego wyścigu, ale to tylko alegoria. Kapłan winien być cieniem Jezusa Chrystusa, chodzić jak On i reprezentować Go wobec ludzi. Tylko w ten sposób tutejsi parafianie mogą podziwiać majestat Pana. Wielebny Thrower miał obowiązek hamować żywotność swego ciała i kroczyć z godnością starca, choć miał zaledwie dwadzieścia cztery lata.

- Pobłogosławicie kalenicę? - upewnił się jeden z farmerów. To Ole, Szwed z pochodzenia, który przybył tu z wybrzeży Delaware, był więc w głębi serca luteraninem. Jednak wiedząc, że najbliższy kościół to katedra papistów w Detroit, chętnie pomagał przy budowie kościoła prezbiteriańskiego w Dolinie Wobbish.

- Istotnie - potwierdził Thrower. Położył dłoń na ciężkiej, obrobionej toporami belce.

- Wielebny Thrower! - rozległ się z tyłu dziecięcy głos, tak przenikliwy i głośny, jak może być tylko głos dziecka. - Czy to nie rodzaj czarów, to błogosławienie kawałka drewna?

Thrower obejrzał się; Faith Miller uciszyła już chłopca. Alvin Junior liczył sobie dopiero sześć lat, ale wyraźnie miał wyrosnąć na mężczyznę sprawiającego tyleż kłopotów,

co jego ojciec. Może nawet więcej - Alvin Senior zachował przynajmniej dość przyzwoitości, by trzymać się z dala od budowanego kościoła.

- Mówcie dalej - poprosiła Faith. - Nie zwracajcie na niego uwagi. Nie nauczyłam go jeszcze, kiedy ma mówić, a kiedy siedzieć cicho.

Wprawdzie matka zakrywała mu dłonią usta, lecz oczy chłopca spoglądały na kapłana nieruchomo. A kiedy Thrower odwrócił się znowu, zauważył, że wszyscy dorośli przypatrują mu się wyczekująco. Musiał odpowiedzieć na pytanie tego dzieciaka; inaczej zostanie napiętnowany jako hipokryta albo głupiec - i to przez tych samych ludzi, których chciał nawrócić.

- Owszem, jeśli sądzicie, że błogosławieństwo w istocie zmienia coś w samej naturze belki - powiedział. - Wtedy byłoby czymś pokrewnym czarom. Prawda jednak jest taka, że kalenica dostarcza tylko okazji. W istocie błogosławić będę kongregację chrześcijan, jacy przyjdą pod dach tego kościoła. I nie ma w tym żadnej magii. Prosimy o pomoc i miłość bożą, nie o lekarstwo na kurczaki albo zaklęcie przeciw złemu urokowi.

- Szkoda - mruknął któryś z mężczyzn. - Przydałoby mi się lekarstwo na kurczaki.

Wszyscy się roześmiali, ale niebezpieczeństwo minęło. Kiedy kalenica powędruje do góry, wznoszenie jej będzie chrześcijańskim, nie pogańskim dziełem.

Pobłogosławił kalenicę, pamiętając o zmianie zwykłej modlitwy tak, by nie prosiła o żadne specjalne właściwości dla samej belki. Potem mężczyźni pociągnęli za linę, a Thrower z całej mocy zaintonował wspaniałym barytonem: "O Panie wśród morza wzburzonego", by nadać pracy rytm i inspirację.

Jednak przez cały czas był świadom obecności Alvina Juniora. Nie z powodu dość kłopotliwego pytania, jakie przed chwilą chłopiec zadał. Mały był równie prostoduszny jak większość dzieci - Thrower nie sądził, by planował coś złego. Uwagę pastora przyciągała zupełnie inna sprawa, nie tyle szczególna cecha chłopca, ale raczej coś w zachowaniu otaczających go ludzi. Jakby bez przerwy na niego uważali. Nie patrzyli - nie mieliby wtedy czasu na nic innego, gdyż chłopak wciąż biegał. Raczej byli świadomi jego obecności; trochę tak, jak kucharz jest świadom obecności psa w kuchni: nie odzywa się do zwierzęcia, ale obchodzi je i przestępuje, ani na chwilę nie przerywając pracy.

Zresztą, nie tylko rodzina Alvina tak na niego uważała. Wszyscy zachowywali się podobnie: Niemcy, Anglicy, Skandynawowie, nowo przybyli i starzy osadnicy. Jak gdyby wychowanie chłopca było wspólnym przedsięwzięciem, na podobieństwo budowy kościoła czy mostu przez rzekę.

- Równo ciągnąć! Równo! - krzyknął Wastenot, który siedział przy wschodnim końcu kalenicy i kierował ruchem ciężkiej belki. Musiała pasować idealnie, by krokwie oparły się o nią równo, tworząc solidny dach.

- Za daleko! - zawołał Measure. Stał na rusztowaniu nad rozporą, na której spoczywał krótki słup, mający podtrzymywać dwie belki kalenicowe, stykające się w środku końcami. Był to kluczowy i najtrudniejszy element konstrukcji dachu: trzeba było ułożyć końce dwóch belek na szczycie słupa szerokości ledwie dwóch dłoni. Dlatego właśnie Measure stał na górze - był bystrooki i dokładny, godny swego imienia.

- Dobrze - zawołał. - Wyżej!

- Trochę do mnie - wykrzyknął Wastenot.

- Równo! - to znowu Measure.

- Trzyma! - oznajmił Wastenot.

- Trzyma! - powtórzył Measure i stojący na ziemi poluzowali trochę. Liny opadły, a mężczyźni krzyknęli głośno, gdyż kalenica biegła teraz przez połowę długości kościoła. Nie była to katedra, ale jednak budowla imponująca jak na tak zacofaną okolicę, największa, o jakiej mógł zamarzyć ktokolwiek w promieniu stu mil dookoła. Sam fakt jej powstania dowodził, że osadnicy przybyli tu już na stałe i nikt nie zdoła ich przepędzić: ani Francuzi, ani Hiszpanie, ani Kawalerowie czy Jankesi, ani nawet dzicy Czerwoni z płonącymi strzałami.

Oczywiście, wielebny Thrower pierwszy wszedł do środka, a za nim wszyscy pozostali. Po raz pierwszy za ich pamięci niebo zostało przesłonięte belką kalenicy długości co najmniej piętnastu metrów, a i to było ledwie połową zaplanowanych wymiarów. Mój kościół, pomyślał wielebny Thrower. I już teraz piękniejszy, niż widziałem w samej Filadelfii.

Stojąc na kruchym rusztowaniu, Measure wbijał drewniany kołek przez szczelinę na końcu kalenicy w otwór na szczycie podpory. Wastenot robił to samo po przeciwnej stronie. Oba kołki miały podtrzymywać belkę, póki nie ułoży się krokwi. Gdy to nastąpi, kalenica będzie umocowana tak solidnie, że właściwie można by usunąć rozporę. Będzie jednak potrzebna do zawieszenia kandelabru, oświetlającego kościół po zmroku. Nocą w ciemności miały lśnić witraże. Oto jak wspaniałą budowlę zaplanował sobie wielebny Thrower. Niech te proste duszyczki nieruchomieją z zachwyty na jej widok, wysławiając jednocześnie chwałę bożą.

Tak właśnie myślał Thrower, gdy nagle Measure krzyknął przerażony. Wszyscy spostrzegli ze zgrozą, że główna podpora rozszczepiła się i pękła pod uderzeniem młotka o drewniany kołek, a ciężka kalenica wyskoczyła na półtora metra w górę. Wyrwała się przy

tym z uchwytu Wastenota i rozłamała rusztowanie, które posypało się niby cienkie patyczki. Zdawało się, że zawisała na moment poziomo w powietrzu, po czym runęła w dół, jakby przydepnęła ją stopa Pana.

A wielbny Thrower nie patrząc wiedział, że ktoś znajdzie się pod tą belką, dokładnie w samym środku. Wiedział, bo był świadom obecności chłopca, który biegł w złą stronę, i tego, że jego własny krzyk "Alvin!" sprawi, że malec zatrzyma się w najgorszym z możliwych miejsc.

A kiedy spojrzał, wszystko było dokładnie tak, jak przewidywał: mały Al stał nieruchomo i patrzył w górę na okorowany pień, który miał zmiażdżyć go o podłogę kościoła. Nic więcej nie zostanie uszkodzone - belka spadała poziomo, więc energia uderzenia rozłoży się równo na całą podłogę. Chłopiec był zbyt mały, by choćby zakłócić upadek kalenicy. Będzie połamany, zgnieciony, a jego krew rozbryźnie się po białych deskach. Nigdy nie uda mi się zmyć tej plamy, pomyślał Thrower - szaleńczo, to prawda, ale w takiej chwili człowiek nie panuje nad własnymi myślami.

Thrower widział uderzenie, jakby było oślepiającym błyskiem światła. Słyszał trzask drewna o drewno. I krzyki. Potem znowu przejrzał na oczy i zobaczył leżącą kalenicę; jeden koniec dokładnie w tym miejscu, gdzie powinien, drugi także, ale w samym środku belka pękła na dwie części, a między nimi stał blady ze strachu mały Alvin.

Nietknięty. Chłopak był nietknięty.

Thrower nie rozumiał ani słowa po niemiecku ani szwedzku, ale wiedział, co mruczą ludzie wokół niego. Niech sobie bluźnią, pomyślał. Ja muszę zrozumieć, co się tu stało. Podeszedł do chłopca i obiema dłońmi zbadał mu głowę, szukając ran. Nic; malec nie stracił nawet jednego włosa. Tyle że głowa wydawała się ciepła, nawet bardzo ciepła, jakby Alvin stał przy ogniu.

Thrower uklęknął i zbadał drewno kalenicy. Zostało rozcięte całkiem gładko, jakby w ten właśnie sposób wyrosło; na szerokość dokładnie taką, by całkiem minąć chłopca.

Matka Ala podbiegła w chwilę później; chwyciła chłopca na ręce, szlochała z ulgą i mamrotała coś nieskładnie. Alvin też płakał. Thrower jednak miał na głowie inne sprawy. Był przecież człowiekiem uczonym, a to, co widział, po prostu nie miało prawa się zdarzyć. Polecił ludziom odsunąć się od belki i zmierzył ją ponownie. Była tej samej długości jak poprzednio - wschodni koniec leżał w należytej odległości od zachodniego. Odcinek rozmiarów chłopca w samym środku zwyczajnie zniknął. Wyparował w jednym, ognistym błysku, po którym głowa Alvina i krawędzie drewna pozostały gorące jak węgle, choć nie było żadnego znaku czy śladów spaleniźny.

Measure zaczął wrzeszczeć spod sklepienia. Wisiał na belce rozporowej, którą chwycił, gdy zawaliło się rusztowanie. Wantnot i Calm wspięli się w górę i sprowadzili go bezpiecznie na ziemię. Wielebny Thrower nie zwrócił na to uwagi. Myślał tylko o sześciolatnim chłopcu, który stanął pod spadającą kalenicą, a belka pękła, by zrobić dla niego miejsce. Zupełnie jak Morze Czerwone, które rozstało się przed Mojżeszem na prawo i na lewo.

- Siódmy syn - mruknął Wastenot. Siedział okrakiem na kalenicy, niedaleko pęknięcia.

- Co? - nie rozumiał wielebny Thrower.

- Nic ważnego - odparł młody człowiek.

- Powiedziałeś: "siódmy syn". Ale to przecież mały Calvin jest siódmy.

Wastenot pokręcił głową.

- Mielśmy jeszcze jednego brata. Umarł kilka minut po urodzeniu Alvina - znowu pokręcił głową. - Siódmy syn siódmego syna.

- Ale to znaczy, że jest szatańskim pomiotem - oświadczył przerażony Thrower.

Wastenot spojrzał na niego z pogardą.

- Może w Anglii tak uważają. Tutaj wierzymy, że ktoś taki będzie uzdrowicielem, może różdżkarzem, ale na pewno dobrym człowiekiem, kimkolwiek zostanie. - Potem chłopak przypomniał sobie coś i wyszczerzył zęby. - Szatański pomiot - powtórzył, złośliwie smakując słowa. - Dla mnie brzmi to jak histeria.

Thrower wyszedł wściekły z kościoła.

Pani Faith siedziała na zydlu i kołysała na kolanach popłakującego ciągle Alvina Juniora. Strofowała go łagodnie.

- Mówiłam ci tyle razy, żebyś uważał, gdzie biegiesz. Stale się płaczesz pod nogami. Czy nie potrafisz ustać spokojnie? Można kark sobie skrócić, oglądając się za tobą...

Przerwała, widząc stojącego przed nią pastora.

- Nie martwcie się - powiedziała. - Więcej go tu nie przyprowadzę.

- Cieszę się, gdyż będzie wtedy bezpieczny. Gdybym przewidział, że kościół ma być zbudowany kosztem życia dziecka, wołałbym do końca swych dni modlić się pod gołym niebem.

Spojrzała z uwagą i dostrzegła, że całym sercem wierzy w to, co mówi.

- Nie wasza wina. Alvin zawsze był niezgrabny. Ale przeżył już wypadki, które zabiłyby zwyczajne dziecko.

- Chciałbym... chciałbym zrozumieć, co się wydarzyło.

- Podpora pękła, to jasne. Takie rzeczy się zdarzają.

- Ale... jak to możliwe, że go nie uderzyła? Belka rozpadła się, zanim doleciała do jego głowy. Mogę go obejrzyć?

- Nie ma nawet śladu.

- Wiem. Chciałbym dotknąć, żeby sprawdzić...

Wzniosła oczy do góry.

- Szukanie rozumu - mruknęła, ale cofnęła dłoń, by mógł zbadać głowę chłopca.

Robił to wolno, ostrożnie, próbując precyzyjnie odczytać mapę czaszki, odnaleźć grzbiety i zgrubienia, ugięcia i zagłębienia. Nie musiał zaglądać do książki. Zresztą, przekonał się, że podręczniki opowiadały same bzdury. Wszystkie sugerowały idiotyczne uogólnienia, na przykład "Czerwony zawsze ma guz tuż za uchem; znamionuje to dzikość i kanibalizm". Tymczasem głowy Czerwonych były równie zróżnicowane jak głowy Białych. Nie, Thrower nie ufał książkom... jednak nauczył się pewnych rzeczy o ludziach dysponujących szczególnymi umiejętnościami i o wspólnym dla nich kształcie głowy. Obmacując palcami czaszkę Alvina, z góry wiedział, co znajdzie.

Ale nie. Nie było żadnej cechy wyróżniającej ją spośród innych. Przeciętna. Tak przeciętna, jak to tylko możliwe. Tak absolutnie przeciętna, że mogłaby posłużyć za podręcznikowy przykład normalności... gdyby tylko istniał jakiś podręcznik wart przeczytania.

Cofnął ręce, a chłopiec - który przestał już płakać - odwrócił się na kolanach matki, by spojrzeć na pastora.

- Wielebny ojciec - powiedział. - Macie ręce tak zimne, że można zamarznąć.

Potem zsunął się na ziemię i odbiegł, wołając jednego z małych Niemców, z którym tak zażarcie walczył jeszcze niedawno. Faith roześmiała się smutno.

- Widzicie, jak szybko zapominają?

- I wy także - odparł.

Pokręciła głową.

- Ja nie - zapewniła. - Nigdy niczego nie zapominam.

- Przecież już się uśmiechacie.

- Ja idę dalej, wielebny ojciec. Po prostu idę dalej. To nie to samo, co zapomnieć.

Przytaknął.

- A więc... powiedzcie, coście znaleźli - poprosiła.

- Znalazłem?

- Macając guzy na głowie. Szukając rozumu. Czy ma go choć trochę?

- Jest normalny. Absolutnie normalny. W jego głowie nie ma niczego niezwykłego.
- Niczego niezwykłego? - mruknęła.
- Zgadza się.
- Gdybyście mnie pytali, to wyjątkowo niezwykła sprawa, jeśli tylko kto ma dość rozumu, żeby to zauważyć.

Podniosła zydę i odeszła, wołając po drodze Ala i Cally'ego.

Po krótkiej chwili wielbny Thrower uświadomił sobie, że miała rację. Nikt nie jest idealnie przeciętny. Każdy ma jakiś rys silniejszy od innych. To nienormalne, że Al jest tak idealnie wyważony. Jakby dysponował wszystkimi możliwymi umiejętnościami, które zaznaczają się w kształcie czaszki, i to w doskonałej równowadze. Ten dzieciak nie był przeciętny; był wyjątkowy, choć Thrower nie wiedział, na czym ta wyjątkowość mogłaby polegać. Majster do wszystkiego, ale we wszystkim dyletant? Może mistrz w każdej dziedzinie?

Przesady czy nie, Thrower nie mógł się uspokoić. Siódmy syn siódmego syna, niezwykły kształt czaszki i cud - żadne inne określenie nie przychodziło mu do głowy... cud kalenicy. Zwyczajne dziecko zginęłoby dzisiaj. Tego wymagały prawa natury. Ale ktoś albo coś chroniło chłopca i prawo natury zostało złamane.

Kiedy ustały dyskusje, mężczyźni wrócili do pracy. Oczywiście belka była bezużyteczna, więc wynieśli obie jej części na zewnątrz. Po tym, co się zdarzyło, nie mieli zamiaru wykorzystywać tego kawałka w żadnych innych celach. Wzięli się dzielnie do pracy i przed wieczorem przygotowali nową kalenicę, odbudowali rusztowanie, a zanim zapadł zmierzch, cały szczyt dachu tkwił już na miejscu. Nikt nie wspominał o wypadku, w każdym razie nie w obecności Throwera. Ale kiedy pastor wyszedł obejrzeć pęknięty wspornik, nigdzie go nie znalazł.

Rozdział 7

Ołtarz

Alvin nie przestraszył się, kiedy zobaczył spadającą belkę, ani wtedy, gdy huknęła o podłogę. Ale gdy wszyscy dorośli zaczęli się zachowywać jak na Święto Zachwycenia, ściskać go i mówić szeptem, wtedy naprawdę zaczął się bać. Dorośli często robili różne rzeczy bez najmniejszego powodu.

Na przykład tato. Siedział na podłodze przy ogniu i przyglądał się kawałkom belki rozporowej, która pękła pod ciężarem kalenicy i wszystko spadło z hukiem na ziemię. Gdyby mama była sobą, ani tato ani nikt inny nie mógłby wnieść do domu wstrętnych i brudnych odłamków drzewa. Ale dzisiaj mama oszalała, zupełnie jak tato, więc kiedy jej pokazał, że taszczy te wielkie, paskudne kawały belki, schyliła się tylko, podwinęła chodnik i zeszła tacie z drogi.

Zresztą, jeśli ktoś nie potrafił schodzić z drogi tacie, kiedy na jego twarzy pojawiał się taki wyraz, to był za głupi, żeby żyć na tym świecie. David i Calm mieli szczęście: mogli się wynieść do własnych domów na własnym, wykarczowanym terenie, gdzie ich własne żony szykowały im kolację i gdzie sami mogli decydować, czy wariować, czy raczej nie. Reszta nie była taka szczęśliwa. Jeśli tato i mama wariowali, wszyscy pozostali też musieli zachowywać się jak wariaci. Żadna dziewczynka nie pokłóciła się z żadną inną; wszystkie pomagały szykować kolację, a potem sprzątnęły bez słowa skargi. Wastenot i Wantnot wyszli na dwór, narąbali drzewa i załatwili wieczorne dojenie, przy czym jeden drugiego nie pchnął nawet w ramię, nie mówiąc już o zapasach. Alvin Junior był bardzo rozczarowany, ponieważ zawsze walczył z przegrywającym, a były to jego najlepsze walki w życiu. Bracia mieli po osiemnaście lat i solidnie musiał się namęczyć. Nie to, co z małuchami, z którymi zwykle staczał bitwy. A Measure siedział tylko przy kominku i strugał wielką warząchiew dla mamy. Ani razu nawet nie podniósł głowy. Czekał wraz z pozostałymi, aż tato znowu zachowa się zwyczajnie i wrzaśnie na wszystkich po kolei.

Jedyną normalną osobą w całym domu był trzyletni Calvin. Problem w tym, że normalne zachowanie w jego przypadku polegało na tym, że łąził wszędzie za Alvinem niby kociak, który złapał trop myszy. Nigdy nie podchodził dość blisko, żeby się z Alvinem Juniolem pobawić, albo go dotknąć, porozmawiać czy zrobić cokolwiek sensownego. Po prostu był zawsze na granicy pola widzenia. A Alvin patrzył na niego dokładnie w chwili, gdy

Calvin odwracał głowę; dostrzegał mignięcie jego koszuli, gdy maluch krył się za drzwiami; a czasem, w mroku nocy, słyszał lekki oddech, bliższy niż by należało. Wiedział wtedy, że Calvin nie leży na swoim posłaniu, ale stoi obok łóżka Alvina i patrzy. Jakoś nikt nigdy tego nie zauważał. Minął już prawie rok od chwili, gdy Alvin zrezygnował z prób zniechęcenia brata. A jeśli nawet mówił: "Mamo, Cally mi dokucza", mama odpowiadała: "Alu Juniorze, on się nawet słowem nie odezwał ani cię nie dotknął. Jeśli ci nie odpowiada, jak on stoi sobie tak spokojnie, że bardziej nie można, to tym gorzej dla ciebie. Ponieważ mnie to odpowiada. Chciałabym, by niektóre inne dzieci też były takie grzeczne". Alvin uznał, że to nie Calvin jest dzisiaj normalny, ale reszta rodziny dopasowała się do jego zwykłego poziomu wariactwa.

Tato tylko patrzył i patrzył na pękniętą belkę. Od czasu do czasu dopasowywał do siebie różne kawałki. Raz się odezwał, bardzo cicho:

- Measure, jesteś pewien, że znalazłeś wszystkie odłamki?
- Każdą drzazgę, tato - zapewnił Measure. - Nawet ze szczotką nie mógłbym zebrać więcej. Choćbym stanął na czworaka i zlizywał jeź ziemi, jak pies.

Oczywiście, mama przysłuchiwała się. Tato powiedział kiedyś, że kiedy mama słucha, usłyszy nawet, jak wiewiórka puściła bąka w lesie o milę od domu, w czasie burzy, gdy wszystkie dziewczynki dzwonią talerzami, a wszyscy chłopcy rąbią drzewo. Alvin Junior zastanawiał się czasem, czy to znaczy, że mama zna więcej czarów niż pokazuje. Przecież siedział kiedyś w lesie niecałe trzy metry od wiewiórki i chociaż czekał prawie godzinę, nie usłyszał nawet, jak się jej odbija.

W każdym razie dzisiaj mama była tuż obok, więc oczywiście słyszała pytanie taty i słyszała, co odpowiedział Measure. A że była w takim samym stanie jak tato, napadła Measure'a, jakby właśnie użył imienia Pana nadaremno.

- Pilnuj języka, młody człowieku, ponieważ Pan przekazał na górze Mojżeszowi, byś czcił ojca swego i matkę swoją, aby długie były twe dni na ziemi danej ci przez Pana Boga naszego. A kiedy niegrzecznie odpowiadasz ojcu, skracasz sobie życie o dni, tygodnie, a nawet lata. Doprawdy, wobec stanu twojej duszy nie powinienes się spieszyć, by stanąć przed Sądem Ostatecznym. Tam spotkasz naszego Zbawiciela i z ust Jego usłyszysz, jaki los cierpiał będziesz przez wieczność.

Dwa razy bardziej niż zgotowanym mu na wieczność losem Measure przejmował się gniewem mamy. Nie próbował jej przekonywać, że nie mówił złośliwie ani nie kpił - tylko dureń by się na to zdecydował, gdy mama już była wściekła. Przybrał za to pokorną minę i zaczął prosić o wybaczenie, nie wspominając już o litości taty i nieustającej łasce Pana.

Zanim mama skończyła wykład, Measure zdążył już przeprosić z dziesięć razy, więc w końcu burknęła coś gniewnie i wróciła do szycia.

Wtedy Measure spojrzał na Alvina Juniora i mrugnął porozumiewawczo.

- Widziałam - oznajmiła mama. - I jeśli od razu nie trafisz do piekła, napiszę petycję do świętego Piotra, żeby cię tam odesłał.

- Sam podpiszę tę petycję - odparł Measure. Wyglądał tak potulnie, jak mały szczeniaczek, który właśnie obsiusiał but dorosłego mężczyzny.

- Słusznie. I podpiszesz ją własną krwią, bo kiedy już z tobą skończę, będziesz miał dość ran, żeby dziesięciu skrybom przez rok nie zabrakło czerwonego atramentu.

Alvin Junior nie mógł się powstrzymać. Groźba wydała mu się zabawna. Wiedział, że ryzykuje życiem, gdy otworzył usta, by się roześmiać. Maminy naparstek mógł stuknąć twardo o jego głowę, jej dłoń mogła go trafić w ucho, a nawet jej drobna stopka zgnieść jego bosą stopę. Zdarzyło się to Davidowi, kiedy powiedział, że powinna nauczyć się używać słowa "nie" zanim miała trzynaście gąb do wykarmienia.

To była kwestia życia i śmierci, bardziej przerażająca od kalenicy, która w końcu wcale go nie uderzyła, czego nie mógł powiedzieć o mamie. Dlatego pohamował śmiech, zanim ten zdążył wyrwać się na swobodę. Zamiast tego wypowiedział pierwsze słowa, jakie przyszły mu na myśl.

- Mamo, Measure nie będzie mógł przecież podpisać krwią żadnej petycji. Będzie już umarły. Martwi nie krwawią.

Mama spojrzała mu prosto w oczy i odpowiedziała wolno i wyraźnie:

- Krwawią, kiedy każę im krwawić.

Tego już było za wiele; Alvin Junior wybuchnął głośnym śmiechem. Wtedy roześmiały się dziewczynki. Potem Measure. I wreszcie mama także. I śmiali się i śmiali, aż łzy ciekły im po policzkach, a mama zaczęła wyganiać wszystkich na górę, do łóżek. Między innymi Alvin Juniora.

Całe to napięcie sprawiło, że Alvin Junior był mocno rozbawiony, a nie doszedł jeszcze do tego, że niekiedy powinien szczelnie zamykać takie nastroje w jakimś ciemnym kątku. Zupełnie przypadkowo szła przed nim po schodach Matylda, która miała już szesnaście lat i uważała się za damę. Nikt nie lubił chodzić za Matyldą, takie stawiała delikatne i dystyngowane kroczki. Measure mówił, że wolałby iść w szeregu za księżycem, bo jest szybszy. A teraz pupa Matyldy znalazła się wprost przed twarzą Ala Juniora, kołysząc się tam i z powrotem. Przypomniawszy sobie słowa Measure'a o księżycu i pomyślał, że pupa Matyldy jest prawie tak samo okrągła. A potem zaczął się zastanawiać, jakby to było, gdyby dotknął

księżycy: czy okazałby się twardy jak pancerzyk żuka, czy raczej miękki jak ślimak. A kiedy sześciolletniemu chłopcu, mocno już rozbawionemu, przychodzi do głowy coś takiego, to nim minie pół sekundy, jego palce zagłębiają się w delikatne ciało.

Matylda świetnie umiała wrzeszczeć.

Al mógł oberwać już wtedy, ale Wastenot i Wantnot szli tuż za nim i tak głośno śmiali się z Matyldy, że wybuchnęła płaczem i pobiegła na górę przeskakując po dwa stopnie, całkiem nie jak dama. Wastenot i Wantnot wnieśli Alvina na piętro, trzymając go tak wysoko, że kręciło mu się w głowie. Śpiewali przy tym starą pieśń o świętym Jerzym zabijającym smoka; tyle, że śpiewali o świętym Alvinie, a kiedy była mowa o dźgnięciu smoka po tysiąckroć i o mieczu, co nie topniał w ogniu, zmieniali "miecz" na "palec". Nawet Measure się roześmiał.

- To wstrętna, obrzydliwa piosenka! - zawołała dziesięcioletnia Mary, stojąca na straży przed drzwiami sypialni dziewcząt.

- Lepiej przestańcie - poradził Measure. - Zanim mama usłyszy. Alvin Junior nie rozumiał, dlaczego mama nie lubi tej piosenki, ale rzeczywiście, chłopcy nigdy jej nie śpiewali tam, gdzie mogłaby usłyszeć.

Bliźniaki umilkły zatem i po drabinie wspięły się na poddasze. W tej właśnie chwili drzwi dziewczęcej sypialni uchyliły się, a Matylda, z oczami wciąż zaczerwienionymi od płaczu, wystawiła głowę na korytarz.

- Jeszcze pożałujecie - krzyknęła.

- Ojoj, już żałujemy. Strasznie żałujemy - odpowiedział piskliwym głosem Wantnot.

Dopiero wtedy Alvin przypomniał sobie, że to on zwykle bywał ofiarą, kiedy dziewczyny chciały wyrównać rachunki. Calvina, wciąż jeszcze małego, uznawały za dzidziusia, a bliźniaki były starsze, większe i zawsze chodziły we dwójkę. Dlatego gdy dziewczęta wpadały w gniew, Alvin pierwszy odczuwał ich śmiertelną nienawiść. Matylda miała szesnaście lat, Beatrice piętnaście, Elizabeth czternaście, Anna dwanaście, a Mary dziesięć i wszystkie wybierały Alvina na cel wszelkich dozwolonych przez Biblię napaści. Kiedyś tylko silne ramiona brata powstrzymały udręczonego do granic wytrzymałości chłopca od zamordowania kogoś widłami. Measure sugerował wtedy, że najgorsza tortura w piekle polega na życiu w jednym domu z pięcioma kobietami, z których każda jest dwa razy większa od mężczyzny. Od tego dnia Alvin często się zastanawiał, jaki grzech popełnił przed urodzeniem, że od samego początku został potępiony.

Wszedł do sypialni, którą dzielił z Calvinem, i usiadł. Czekał spokojnie, aż Matylda przyjdzie go zabić. Ale nie zjawiała się; uznał, że czeka, aż pogasną świece. Wtedy nikt nie

odgadnię, która z sióstr zakradła się nocą i go zdmuchnęła. Nieba świadkiem, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy dał im wszystkim dość powodów do strasznej zemsty. Ciekawe, czy uduszą go Matyldową poduszką z gęsiego puchu - w ten sposób po raz pierwszy będzie mógł jej dotknąć, czy skończy z krawieckimi nożyczkami Beatrice w sercu. I wtedy zdał sobie sprawę, że jeśli w ciągu dwudziestu pięciu sekund nie dotrze do wygodki, narobi sobie wstydu i zabrudzi spodnie.

Oczywiście, w wygodce ktoś siedział. Alvin stał przed drzwiami, podskakiwał i wrzeszczał, a ten ktoś ciągle nie wychodził. Pomyślał, że to któraś z sióstr. Byłby to najbardziej szatański plan, jaki w życiu wymyśliły: nie wpuszczać go do wychodka. Wiedziały, że po ciemku boi się iść do lasu. Straszliwa zemsta. Jeśli się zabrudzi, będzie tak zawstydzony, że chyba zmieni nazwisko i ucieknie z domu. A to o wiele gorsze niż ukłucie palcem poniżej pleców. I tak niesprawiedliwe, że poczuł wściekłość godną bizona dręczonego zatwardzeniem.

W końcu gniew osiągnął taki poziom, że chłopiec wypowiedział ostateczną groźbę.

- Jeśli zaraz nie wyjdiesz, zrobię to pod samymi drzwiami i wdepniesz w to, kiedy w końcu wyleziesz.

Czekał, ale ktokolwiek był w środku, nie odpowiedział tradycyjnym zdaniem:

- Spróbuj, a każę ci to zlizać z moich butów.

Po raz pierwszy Al zdał sobie sprawę, że może osoba w wychodku nie jest mimo wszystko jedną z jego sióstr. A z pewnością nie była którymś z chłopców. Pozostawały tylko dwie możliwości, jedna gorsza od drugiej. Al poczuł na sobie taką wściekłość, że palnął się pięścią w głowę, ale nie poprawiło mu to samopoczucia. Tato spuści mu pewnie lanie, ale z mamą będzie jeszcze gorzej. Może go zwymyślać, co jest dostatecznie fatalne, ale jeśli będzie naprawdę zła, spojrzy tylko lodowato i powie bardzo spokojnie:

- Alvinie Juniorze, miałam kiedyś nadzieję, że przynajmniej jeden z moich synów wyrośnie na dżentelmena. Teraz widzę, że moje życie poszło na marne.

Zawsze potem czuł się tak okropnie, że miał ochotę umrzeć.

Dlatego, kiedy drzwi się otworzyły, niemal z ulgą spostrzegł w środku tatę. Zapinał spodnie i nie wyglądał na zachwyconego.

- Czy mogę wyjść bezpiecznie? - zapytał zimno.

- Uhm - odparł Alvin Junior.

- Co?

- Tak, tatusiu.

- Jesteś pewien? W okolicy żyją jakieś dzikie zwierzęki, które uważają za świetny pomysł, żeby zostawiać na ziemi pod drzwiami wygodki to, co narobią. Mówię ci, jeżeli jest tu takie zwierzę, zastawię pułapkę i pewnej nocy złapię je za tylną część ciała. A wtedy zaszyję mu tylną dziurę i puszcze do lasu, żeby całe napuchło i zdechło.

- Przepraszam, tato.

Tato pokręcił głową i ruszył w stronę domu.

- Nie rozumiem, synu, co się dzieje z twoim żołądkiem. Najpierw ci się nie chce, a minutę później zaczynasz umierać.

- Wszystko byłoby w porządku, gdybyś postawił drugą wygodkę - mruknął Al Junior. Tato go nie usłyszał, bo chłopiec odezwał się dopiero wtedy, kiedy zamknął za sobą drzwi, a tato dotarł już do domu. Zresztą i tak nie mówił zbyt głośno.

Alvin długo płukał ręce pod pompą - bał się tego, co czeka na niego w domu. Potem jednak, sam na dworze, w ciemności, zaczął się obawiać czegoś zupełnie innego. Wszyscy wiedzieli, że biały człowiek nie zdoła usłyszeć Czerwonego, który skrada się przez puszcę. Bracia specjalnie go straszili, że kiedy wychodzi sam, szczególnie nocą, Czerwoni czają się wśród drzew, obserwują, bawią się kamiennymi tommy-hawkami i aż ręce ich świerzbią, by zerwać mu skalp. W świetle dnia Alvin w to nie wierzył, lecz w mroku, z rękami zimnymi od wody, czuł na karku lodowaty dreszcz. Miał wrażenie, że dokładnie wie, gdzie stoi Czerwony - za jego plecami, koło chlewika. Podchodzi tak cicho, że świny nawet nie chrząkną i psy nie zaszczekają ani nic. A kiedy rano znajdą ciało Alvina, pokrwawione i bezwłose, wtedy już będzie za późno. I choć siostry były okropne - bo były - Al uznał, że są lepsze niż śmierć z krzemiennym ostrzem w czaszce. Pędem przebiegł od pompy do domu i nie obejrzał się nawet, żeby sprawdzić, czy Czerwony był tam naprawdę.

Gdy tylko zamknął drzwi, zapomniał o bezgłośnych, niewidzialnych Czerwonych. W domu panowała cisza, co było niezwykle podejrzane. Dziewczynki zawsze gadały, dopóki tato nie krzyknął na nie co najmniej trzy razy. Alvin ruszył więc na górę bardzo ostrożnie, uważając na każdy krok i tak pilnie rozglądając się na wszystkie strony, że aż coś trzasnęło mu w szyi. Zanim dotarł do sypialni i zamknął drzwi, był tak zdenerwowany, że niemal z nadzieją czekał, by w końcu zrobiły, co planują i by miał to już za sobą.

Ale nie robiły i nie robiły. Ze świecą w ręku rozejrzał się po pokoju, zajrzał pod łóżko, sprawdził każdy kąt. Niczego nie znalazł. Calvin spał ssąc kciuk, co oznaczało, że jeśli rzeczywiście zakradły się do sypialni, musiało to być już dość dawno. Zaczął się zastanawiać... może wyjątkowo dziewczęta postanowiły dać mu spokój albo nawet wyciąć

jakąś sztuczkę bliźniakom. Gdyby nagle stały się miłe, dla Alvina zaczęłoby się nowe życie. Jak gdyby anioł sfrunął w dół i wyniósł go z piekła.

Rozebrał się szybko, poskładał ubranie i położył je na stołku przy łóżku, by rano nie było pełne karaluchów. Zawarł z nimi coś w rodzaju umowy. Mogły wchodzić do czego chciały pod warunkiem, że to coś leżało na podłodze; nie wspinały się za to do łóżka Calvina ani Alvina, podobnie jak na stołek. W zamian Alvin nigdy ich nie deptał. W rezultacie jego sypialnia stała się domowym sanktuarium karaluchów. Ponieważ jednak dotrzymywały umowy, Alvin i Calvin byli jedynymi domownikami, którzy nigdy nie budzili się z krzykiem z powodu robactwa w pościeli.

Zaczął wciągać przez głowę zdjętą z kołka nocną koszulę.

Coś ukąsiło go pod pachą. Krzyknął z bólu. Coś innego ugryzło w ramię. Cokolwiek to było, opanowało całą koszulę i kąsało wszędzie, kiedy zrywał ją z siebie. Wreszcie stanął nago, machając rękami, by strzepnąć z siebie te komary czy co innego, co go napadło.

Potem schylił się i ostrożnie podniósł koszulę. Nie zauważył, żeby coś się z niej wysunęło. Nawet kiedy nią potrząsnął - mocno potrząsnął - nie wypadło żadne paskudztwo. Wypadło coś innego. Błysnęło przez moment w świetle świecy i zabrzęczało, padając na podłogę.

Dopiero wtedy Alvin usłyszał z sąsiedniego pokoju stłumione chichoty. Tak, załatwiły go, załatwiły na czysto. Siedział na skraju łóżka, wyciągał szpilki z nocnej koszuli i wbijał je w dolny róg narzuty. Nie sądził, że tak się wściekną, by ryzykować zgubienie jednej z bezcennych stalowych szpilek mamy. Tylko dla wyrównania rachunków. A przecież powinien to przewidzieć. Dziewczynki, w przeciwieństwie do chłopców, nie uznają żadnych zasad uczciwej walki. Kiedy chłopak przewróci cię w walce, to albo na ciebie skoczy, albo poczeka aż wstaniesz. Tak czy siak, macie równe szansę: obaj na ziemi albo obaj na stojąco. Jednak bolesne doświadczenia nauczyły Ala, że dziewczynki kopią leżącego i zaatakują wszystkie na jednego, jeśli nadarzy się sposobność. Kiedy walczyły, chciały zakończyć walkę możliwie szybko. Odbierały starciu całą przyjemność.

Tak jak dzisiaj. To nie było sprawiedliwe. On tylko stuknął Matyldę palcem, a one pokłuły go całego. W paru miejscach krwawił, tak głęboko wbiły się szpilki. Alvin nie przypuszczał, by Matylda miała choćby siniaka, choć wiele by za to dał.

Alvin Junior nie był mściwy, o nie. Ale kiedy tak siedział i wyjmował z koszuli szpilki, musiał zauważyć karaluchy biegające w swoich sprawach między szparami w podłodze. I wyobraził sobie, co by się stało, gdyby wszystkie te karaluchy całkiem przypadkiem odwiedziły pewien pokój, który aż trząsł się od chichotów.

Klęknął więc na podłodze, postawił świecę obok siebie i zaczął szeptać do karaluchów. Tak samo jak wtedy, gdy zawierał z nimi umowę. Opowiadał o ślicznej, gładkiej pościeli, o miękkiej, delikatnej skórze, po której mogą biegać, a przede wszystkim o satynowej poszewce na Matyldowej poduszce z gęsiego puchu. Ale ich to nie interesowało. Są głodne, pomyślał Alvin. Obchodzi je tylko jedzenie, jedzenie i strach. Zaczął więc opowiadać o jedzeniu, najsmakowitszym jedzeniu jakiego w życiu próbowały. Karaluchy ożywiły się i podeszły bliżej, żeby posłuchać. Żaden nie próbował wejść na Alvina, ponieważ przestrzegały układu.

Tyle jedzenia ile tylko chcecie, na tej miękkiej, różowej skórze. W dodatku całkiem bezpiecznie, ani śladu zagrożenia, nie ma się czym martwić. Macie tylko iść tam i znaleźć jedzenie na miękkiej, różowej, delikatnej, gładkiej skórze.

Prawie od razu parę karaluchów przedostało się pod drzwiami sypialni Alvina, potem więcej i jeszcze więcej, aż wreszcie cały oddział ruszył jak szarża kawalerii pod drzwi i za ścianę. Drobne ciała błyszczały i lśniły w blasku świecy, prowadzone nienasyconym głodem, bez lęku, ponieważ Alvin zapewnił, że nie ma się czego bać.

Nie minęło nawet dziesięć sekund nim z sąsiedniego pokoju dobiegł pierwszy krzyk. A po minucie w całym domu zapanował taki harmider, jakby wybuchł pożar. Wrzeszczały dziewczynki, krzyczeli chłopcy, tupwały ciężkie buty, gdy tato wbiegł na górę i zaczął deptać karaluchy. Al był zachwycony jak prosiak w błotnistej kałuży.

Wreszcie wszystko zaczęło się uspokajać. Za chwilę pewnie zajrzą sprawdzić, co się dzieje u niego i Calvina... Al zdmuchnął świecę, wskoczył do łóżka i szepnął karaluchom, żeby się pochowały. I rzeczywiście, wkrótce z korytarza dobiegły kroki mamy. W ostatniej chwili Alvin Junior przypomniał sobie, że nie włożył nocnej koszuli. Wysunął rękę, pochwycił ją i wciągnął pod koc akurat kiedy otwierały się drzwi. Skupił się na lekkim, równym oddechu.

Weszli mama i tato ze świecami. Słyszał, jak odkrywają Calvina, sprawdzając, czy nie ma w łóżku karaluchów. Bał się, że z niego też ściągną koc. To straszny wstyd, spać jak zwierzę, bez niczego na sobie. Ale dziewczynki wiedziały, że nie mógł usnąć tak szybko po tym, jak pokłuły go szpilkami. Naturalnie obawiały się, co może powiedzieć rodzicom, więc szybko wyprowadziły ich z pokoju. Zdążyli tylko poświecić Alwinowi w twarz, by sprawdzić, czy śpi. Alvin leżał nieruchomo; nawet powieka mu nie drgnęła. Światło zniknęło i słyszał, jak cicho zamykają się drzwi.

Nadal leżał nieruchomo - i słusznie. Drzwi otworzyły się znowu. Słyszał ciche stapanie bosych stóp. A potem poczuł na twarzy oddech Anny. Szepnęła mu w samo ucho:

- Nie wiemy, jak to zrobiłeś, Alvinie Juniorze, ale jesteśmy pewne, że to ty nasłałeś na nas karaluchy.

Alvin udawał, że niczego nie słyszy. Nawet lekko zachrapał.

- Nie oszukasz mnie, Alvinie Juniorze. Lepiej dzisiejszej nocy nie zasypiaj, bo możesz się już nigdy nie obudzić. Zrozumiałeś?

- Gdzie się podziała Anna? - dobiegł zza drzwi głos taty.

Jest tutaj, tatusiu, pomyślał Alvin; i grozi, że mnie zabije. Ale, oczywiście, nie powiedział tego głośno. Zresztą ona i tak chciała go tylko nastraszyć.

- To będzie wyglądało na wypadek - mówiła Anna. - Tobie zawsze zdarzają się różne rzeczy. Nikt nie pomyśli o morderstwie. Alvin zaczynał jej wierzyć.

- Wyniesiemy twoje zwłoki i wepchniemy do dziury w wychodku. Pomyślą, że wyszedłeś sobie ulżyć i wpadłeś do środka.

To może się udać, pomyślał Alvin. Właśnie Anna mogła wymyślić coś tak szatańsko sprytnego. Była najlepsza, gdy chodziło o ukradkowe szczypanie ludzi: kiedy krzyczeli, zawsze stała dobre trzy metry od ofiary. To dlatego miała takie długie i ostre paznokcie. Nawet teraz Alvin czuł, jak jeden z tych szponów drapie go w policzek.

Drzwi otworzyły się szerzej.

- Anno - szepnęła mama. - Wyjdź natychmiast.

Paznokieć przestał drapać.

- Sprawdzalam tylko, czy mały Alvin śpi spokojnie. - Bose stopy Anny poczłapały na korytarz.

Zaraz potem ktoś zamknął drzwi. Alvin słyszał tupiące po schodach buty rodziców.

Wiedział, że zgodnie z wszelkimi zasadami powinien być przerażony groźbami siostry. Ale nie był. Wygrał tę bitwę. Wyobraził sobie karaluchy pełzające po dziewczynkach i parsknął śmiechem. Musiał zachować ciszę, więc zdusił chichot, starając się oddychać możliwie spokojnie. Całe ciało dygotało od tłumionego śmiechu.

W pokoju ktoś był.

Al niczego nie słyszał, a kiedy otworzył oczy, niczego nie zauważył. Ale wiedział, że ktoś tu jest. Nie przeszedł przez drzwi, więc musiał wejść oknem. To głupie, pomyślał chłopiec. Nie ma tu żywej duszy. Ale leżał nieruchomo i wcale się już nie śmiał, ponieważ wyraźnie czuł czyjąś obecność. Nie, to tylko sen, nic więcej... ciągle jestem przestraszony, bo tyle myślałem o Czerwonych, którzy szpiegują mnie na dworze... a może z powodu gróźb Anny. Jeśli będę leżał spokojnie i nie otwierał oczu, wszystko przejdzie.

Czerń pod powiekami zmieniała się w róż. W pokoju rozblysło światło. Światło jasne jak blask słońca. Żadna świeca, czy nawet latarnia, nie mogła płonąć tak jaskrawo. Al otworzył oczy i strach zmienił się w grozę: przekonał się, że to, czego się obawiał, działo się naprawdę.

U stóp łóżka stał człowiek i świecił, jakby zbudowany był z promieni słońca. Jasność emanowała z jego skóry, z piersi w rozpięciu koszuli, z twarzy i dłoni. W jednej z tych dłoni trzymał ostry, stalowy nóż. Zaraz umrę, pomyślał Al. Dokładnie tak, jak obiecała Anna, tyle że siostry w żaden sposób nie mogły przywołać tak strasznej postaci. Jaśniejący Człowiek zjawił się z własnego wyboru, to było oczywiste. I chciał zabić Alvina Juniora za jego grzechy, nie dlatego, że ktoś go namówił. A potem było tak, jakby światło z tego człowieka precyzyjnie się pod skórę Alvina i wniknęło w niego, zaś strach odpłynął. Jaśniejący Człowiek trzymał nóż i zakradł się do pokoju nie otwierając nawet drzwi, ale nie chciał skrzywdzić chłopca. Alvin uspokoił się nieco i podciągnął na łóżku, aż prawie siedział oparty o ścianę. Obserwował Jaśniejącego Człowieka i czekał, co z tego wyniknie.

Jaśniejący Człowiek uniósł lśniące, stalowe ostrze, dotknął nim dłoni... i ciął. Alvin dostrzegł strumień czerwonej krwi spływający z jego ręki, ściekający wzdłuż przedramienia i kapiący z łokcia na podłogę. Ale nim zdążyły spaść choćby cztery krople, zobaczył wizję.

Był w pokoju swoich sióstr, znał przecież to miejsce, choć teraz wyglądało inaczej. Łóżka wyrastały wysoko, a dziewczynki stały się olbrzymkami. Widział wyraźnie tylko ogromne nogi i stopy. Wtedy zrozumiał, że patrzy na pokój z perspektywy małego stworzenia. Z perspektywy karalucha. W swojej wizji biegł wygłodniały i bez lęku; wiedział, że jeśli tylko wczółga się na te stopy i nogi, znajdzie tam jedzenie, tyle jedzenia, ile tylko zapagnie. Dlatego pędził, wspinał się, biegł, szukał. Ale jedzenia nie było, ani odrobiny; ogromne dłonie zrzuciły go na podłogę, a potem zawisł nad nim wielki, mroczny cień i Al poczuł ostry, straszliwy ból śmierci.

Nie jeden, a wiele razy, dziesiątki razy: nadzieja na pożywienie, wiara, że nie spotka go nic złego, potem rozczarowanie - nic do jedzenia, zupełnie nic... a po rozczarowaniu groza, rany i śmierć. Każda maleńka, ufna istota zdradzona, zmiażdżona, ranna...

A później był w wizji tym, który przeżył, który wymknął się depczącym butom, zniknął pod łóżkiem, w pęknięciu ściany. Uciekał z tej komory śmierci, ale nie do swego dawnego mieszkania, nie do bezpiecznego pokoju, ponieważ tam już nie było bezpiecznie.

Stamtąd pochodziły kłamstwa. Tam czekał zdrajca, oszust, zabójca, który posłał ich na śmierć. Oczywiście, w wizji nie było słów. Umysł karalucha nie mógł przecież pomieścić mowy czy wyraźnych myśli. Za to Alvin potrafił myśleć i formułować słowa; lepiej od

karaluchów pojmował to, co karaluchy przeżyły. Obiecano im coś, co okazało się kłamstwem. Śmierć jest rzeczą straszną, więc trzeba uciekać z tamtego pokoju; ale w tym drugim było coś gorszego od śmierci - tam świat popadł w obłęd, tam mogło się zdarzyć wszystko, niczemu nie można było zaufać, nie pozostało nic pewnego. Straszliwe miejsce. Najgorsze ze wszystkich.

Wizja urwała się. Alvin szlochał rozpaczliwie, przyciskając pięści do oczu. One cierpiały, płakał bezgłośnie; cierpiały, i to ja byłem tego sprawcą. Zdradziłem je. To właśnie chciał mi pokazać Jaśniejący Człowiek. Sprawilem, że karaluchy mi zaufały, a potem oszukałem je i posłałem na śmierć. Popelnilem morderstwo.

Nie, nie morderstwo! Czy kto kiedy słyszał, by zabicie karalucha było morderstwem? Na całym świecie nikt tego tak nie nazwie.

Jednak Al wiedział, że nie jest ważne, co myślą inni. Jaśniejący Człowiek przybył, by mu pokazać, że morderstwo to morderstwo.

A teraz Jaśniejący Człowiek zniknął. Światło zgasło, a kiedy Al otworzył oczy, w pokoju był już tylko śpiący mocno Cally. Za późno, by błagać o wybaczenie. Bardzo nieszczęśliwy, Al Junior zamknął oczy i zapłakał znowu.

Ile to trwało? Kilka sekund? A może Alvin zasnął i nie zauważył, że minął czas o wiele dłuższy? Nieważne - światło powróciło. Przybyło znowu, nie tylko poprzez oczy, ale przebijając się aż do serca, szepcząc i uspokajając. I znowu Alvin spojrzał w twarz Jaśniejącego Człowieka. Czekał, aż ten przemówi. Kiedy milczał, chłopiec uznał, że widocznie kolej na niego. Jąkając się wyrzucił z siebie słowa zbyt słabe w porównaniu do szalejących w sercu emocji.

- Przepraszam. Nigdy już tego nie zrobię. Nigdy...

Wiedział, że mamrocze nieskładnie. Sam nie rozumiał słów, tak był roztrzęsiony. Ale blask wzmógł się na moment i Al wyczuł w umyśle pytanie. Wiedział, że Jaśniejący Człowiek chce, by wyjaśnił, za co przepraszają.

Kiedy się zastanowił, Alvin nie był właściwie pewny, co zrobił niedobrze. Na pewno nie chodziło o samo zabójstwo - można umrzeć z głodu, jeśli od czasu do czasu nie zarżnie się świni. A kiedy łasica zabija mysz, też chyba nie jest to morderstwem.

Światło uderzyło znowu i chłopiec zobaczył kolejną wizję. Tym razem bez karaluchów. Widział obraz czerwonego człowieka, który klęczał przed jeleniem, wołając go, by podszedł i zginął. Jeleń zbliżył się drżący, z szeroko otwartymi oczami, jak zwykle zwierzęta kiedy się boją. Wiedział, że idzie po śmierć. Czerwony wypuścił strzałę, a ta utkwiała w boku. Pod jeleniem ugięły się nogi. Upadł. Alvin wiedział, że w tej wizji nie było

grzechu, ponieważ zabijanie i śmierć są częścią życia. Czerwony postępował słusznie, tak samo jak jeleń; obaj działali zgodnie z prawem natury.

Jakie więc zło popełnił, jeśli nie była nim śmierć karaluchów? Może chodzi o moc, którą posiadał? Talent, by sprawiać, że wszystko działało się tak jak tego chciał, że rzeczy pękały w odpowiednich miejscach, że rozumiał, jakimi być powinny i pomagał im to osiągnąć? Uważał, że to pożyteczny dar; składał i naprawiał rzeczy, jakie zwykle składają i naprawiają chłopcy w prostym, wiejskim gospodarstwie. Potrafił zestawić dwa kawałki złamanego styliska motyki i dopasować je tak, że łączyły się na zawsze bez kleju i gwoździ. Albo dwa kawałki rozdartej skóry: nie musiał ich nawet zszywać. A kiedy wiązał węzeł, to węzeł trzymał. Tego właśnie talentu użył wobec karaluchów. Sprawił, że zrozumiały, jak wszystko powinno się ułożyć. Więc zrobiły to, czego chciał. Czy ten talent był jego grzechem?

Jaśniejący Człowiek usłyszał pytanie, zanim jeszcze Alvin ubrał je w słowa. Znowu natarło światło i nadeszła inna wizja. Tym razem chłopiec zobaczył siebie, jak trzyma w dłoniach kamień, a ten pod jego palcami topnieje niby masło i przybiera dokładnie taki kształt, jaki Al zapragnął. Gładki i pełny, idealna kula... wyrwa się ze zbocza góry i toczy w dół; rośnie i rośnie, aż staje się całym światem, uformowanym przez jego ręce, z drzewami i trawą wyrastającymi na powierzchni, ze zwierzętami biegającymi, skaczącymi, fruwającymi i ryjącymi pod i nad kamienną kulą, którą stworzył. Nie, jego moc nie była straszna; była wspaniała - pod warunkiem, że użyje jej właściwie.

Ale jeśli nie chodzi o śmierć i nie chodzi o jego talent, to co właściwie zrobił źle?

Tym razem Jaśniejący Człowiek niczego mu nie pokazał. Alvin nie zobaczył rozbłysku światła. Zamiast tego nadeszła odpowiedź - nie od przybysza, ale z wnętrza własnej jaźni. W jednej chwili czuł się zbyt głupi, by pojąć swoją niegodziwość, w następnej widział ją w całej pełni.

Nie chodziło o śmierć karaluchów ani o to, że sam je do tego nakłonił. Ważny był fakt, że uczynił to dla przyjemności. Powiedział, że to dla ich dobra, ale kłamał, bo myślał tylko o sobie. O zrobieniu na złość siostrze, nie o krzywdzie wyrządzonej karaluchom. Zginęły, by Alvin mógł leżeć w łóżku i trząść się ze śmiechu, bo się zemścił...

Jaśniejący Człowiek słyszał myśli Alwina, oczywiście. Płomień trysnął z jasnego oka przybysza i trafił chłopca w serce. Odgadł. Właśnie w tym leżała jego wina.

Wtedy Alvin złożył najpoważniejszą obietnicę w życiu: tam i wtedy. Otrzymał dar i wykorzysta go, ale będzie przestrzegał pewnych zasad - nawet, gdyby miało go to zabić.

- Nigdy nie użyję tego dla siebie - oświadczył Alvin Junior. A kiedy wyrzekł te słowa, poczuł jakby serce stanęło mu w ogniu: tak gorąco płonęło w piersi.

Jaśniejący Człowiek zniknął.

Alvin wsunął się pod koc, zmęczony płaczem i oddychając z ulgą. Postąpił brzydko, trudno zaprzeczyć. Ale jeśli dotrzyma obietnicy, jeśli będzie używać swego talentu tylko po to, by pomagać innym, a nigdy żeby pomóc sobie, wtedy okaże się grzecznym chłopcem i nie będzie się musiał wstydzić. Kręciło mu się w głowie jak wtedy, kiedy mija gorączka. I słusznie, ponieważ został uleczony z niegodziwości, która narastała w nim od pewnego czasu. Przypomniawszy sobie, jak się śmiał, kiedy sprowadził śmierć dla własnej przyjemności... wstydził się, lecz wstyd był złagodzony, gdyż wiedział, że nigdy już tego nie zrobi.

Leżąc tak Alvin znowu poczuł, że w pokoju staje się jaśniej. Teraz jednak światło nie pochodziło z konkretnego źródła. Nie było Jaśniejącego Człowieka. Kiedy otworzył oczy, spostrzegł, że światło promieniuje z niego samego. Świeciły dłonie, twarz też musiała świecić, jak przedtem twarz przybysza. Odrzucił koc i zobaczył, że całe ciało promienieje tak oślepiającym blaskiem, że z trudem mógł na siebie patrzeć. Zresztą, z trudem mógł spojrzeć również w każde inne miejsce.

Czy to ja? - pomyślał.

Nie, nie ja. Świecę tak, bo mam coś do zrobienia. Jak Jaśniejący Człowiek, który zrobił coś dla mnie. Też muszę czegoś dokonać. Ale dla kogo?

Jaśniejący Człowiek znów stał przy jego łóżku, ale teraz już nie świecił. Al Junior zrozumiał nagle, że go zna - to Lolla-Wossiky, jednooki Czerwony, który bez umiaru wlewał w siebie whisky. Parę dni temu dał się ochrzcić i wciąż jeszcze nosił ubranie Białych, które dostał, gdy stał się chrześcijaninem.

W promieniującym z ciała świetle Alvin widział wyraźniej niż kiedykolwiek. Widział, że to nie whisky zatruwała tego nieszczęsnego Czerwonego, i nie z powodu straty oka jest kaleką. To było coś o wiele bardziej mrocznego, co rosło w głowie jak pleśń.

Czerwony zrobił trzy kroki i ukląkł przy łóżku. Jego twarz znalazła się o kilka centymetrów od oczu Alvina.

- Czego ode mnie chcesz? Co powinienem zrobić?

Mężczyzna otworzył oczy i przemówił.

- Wszystkie rzeczy uczynić całością - powiedział.

Nim minęła sekunda, Al Junior pojął, że przybysz użył słów z języka Czerwonych... Shaw-Nee, jak go nazywali dorośli podczas ceremonii chrztu. A jednak Al zrozumiał go

doskonale, jakby mężczyzna mówił po angielsku niby sam Lord Protektor. Wszystkie rzeczy uczynić całością.

Na tym przecież polegał talent Alvina. Naprawianie różnych rzeczy, przetwarzanie ich tak, jak powinny wyglądać. Problem w tym, że nawet w części nie rozumiał, jak tego dokonuje, a już na pewno nie miał pojęcia, jak naprawić coś, co żyło.

A może wcale nie musi rozumieć? Może wystarczy działać? Podniósł rękę i bardzo delikatnie dotknął policzka Lolli-Wossikey tuż pod wybitym okiem. Nie, to nie tak. Przesunął palec, aż trafił na powiekę, gdzie powinno być oko. Tak, pomyślał. Stań się całością.

Coś trzasnęło. Roziskrzyło się światło. Al wstrzymał oddech i cofnął rękę.

Jasność rozwiała się. Tylko blask księżyca wpadał przez okno. Nie pozostała nawet odrobina światła. Jak gdyby właśnie przebudził się ze snu - najdziwniejszego snu w życiu.

Dopiero po minucie oczy Alvina przyzwyczaiły się do ciemności. Znowu widział. I wiedział, że to nie jest sen. Bo obok klęczał Czerwony, który niedawno był Jaśniejącym Człowiekiem. Nie można śnić, kiedy Czerwony klęczy obok łóżka, a łzy płyną z jego zdrowego oka, podczas gdy drugie, gdzie przed chwilą go dotknął...

Powieka nadal zwisała luźno, zakrywając pustkę. Oko nie zostało uzdrowione.

- Nie udało się - szepnął Alvin. - Przepraszam...

To straszne: Jaśniejący Człowiek ocalił go przed straszną niegodziwością, a on w zamian nic dla niego nie uczynił. Ale Czerwony nie wyrzekł nawet słowa wyrzutu. Wyciągnął tylko ręce, ujął Alvina za ramiona, przysunął do siebie i ucałował w czoło, mocno, jak ojciec syna, jak brat brata, jak przyjaciel przyjaciela idącego na śmierć. Obym nigdy nie zapomniał, prosił bezgłośnie Alvin. Obym nie zapomniał tego pocałunku i wszystkiego, co sobą wyrażał: nadziei, wybaczenia, miłości...

Lolla-Wossikey zerwał się na nogi. Był teraz zwinny jak młodziak; nic nie pozostało po zataczającym się pijaku. Zmienił się; naprawdę się zmienił i Alvin pomyślał, że może jednak coś uleczył, coś naprawił, coś ważniejszego od oczu. Może uratował go od pragnienia whisky.

Jeśli nawet, Al wiedział, że to nie jego dzieło. To światło, które w nim płonęło; ogień, co grzał, choć nie parzył.

Indianin podbiegł do okna, przeskoczył parapet, zawisł przez chwilę na rękach i zniknął - tak cicho, że Alvin nie usłyszał, gdy dotknął stopami ziemi pod oknem. Jak kot.

Ile to wszystko trwało? Całe godziny? Czy wkrótce wstanie świt? A może minęło tylko parę sekund od chwili, gdy Anna szeptała mu do ucha, a potem rodzina usnęła?

Zresztą, to nieważne. Alvin nie mógłby zasnąć po tym wszystkim, co się wydarzyło. Dlaczego ten Czerwony do niego przyszedł? Co oznaczał blask, który najpierw rozświetlał

Lolle-Wossiky, a potem wypełnił Alvina? Zdziwiony chłopiec nie mógł tak zwyczajnie leżeć w łóżku. Wstał więc, szybko wciągnął nocną koszulę i wymknął się za drzwi.

Na korytarzu usłyszał dobiegającą z dołu rozmowę. Mama i tato jeszcze nie spali. Z początku chciał zbiec do nich i opowiedzieć o wszystkim. Potem jednak rozpoznał ton ich głosów, był w nim gniew, strach, niepokój. Nie najlepsza chwila na opowieść o śnie. Nawet jeśli Alvin wiedział, że to nie sen, oni tak właśnie potraktują całą historię. Zresztą, kiedy się lepiej zastanowić, przecież i tak nie mógł opowiedzieć wszystkiego. O wysłaniu karaluchów do sypialni siostr? O szpilkach, ukłuciach i groźbach? Wszystko wyszłoby na jaw, choć Alvin miał wrażenie, że zdarzyło się to całe lata temu. Nie miało już znaczenia wobec przysięgi, jaką złożył i przyszłości, jaka mogła go oczekiwać. Ale dla mamy i taty będzie miało duże znaczenie.

Na palcach przemknął korytarzem i po schodach zsunął się w dół: dość blisko, by wszystko słyszeć i dość daleko, by kryć się bezpiecznie za węglem.

Po kilku minutach zapomniał, że powinien się kryć. Zszedł niżej, by zobaczyć duży pokój. Tato siedział na podłodze wśród kawałków drewna. Alvin zdziwił się, że jeszcze z nimi nie skończył, choć przecież był już na górze, żeby zabijać karaluchy. Musiało minąć sporo czasu.

Tato schylił się i zakrył twarz rękami. Mama klęczała przed nim, trzymając największy odłamek drzewa.

- On żyje, Alvinie - mówiła mama. - Cała reszta się nie liczy. Tato podniósł głowę i spojrzał na nią z powagą.

- To woda wsączyła się do tego drzewa, zamarzała i topniała długo przed tym, nim je ścięliśmy. I całkiem przypadkiem przycięliśmy je tak, że skaza nie była widoczna na powierzchni. Ale wewnątrz belka pękła na trzy strony i tylko czekała na ciężar kalenicy. Woda to zrobiła.

- Woda... - w głosie mamy zabrzmiał szyderczy ton.

- To już po raz czternasty woda próbowała go zabić.

- Dzieciom zawsze trafiają się jakieś przypadki.

- Raz pośliznęłaś się na mokrej podłodze, kiedy trzymałaś go na ręku. Raz David przewrócił kocioł wrzątku. Trzy razy gdzieś się zgubił i znaleźliśmy go na brzegu. Ostatniej zimy, kiedy pękł lód na Rzece Chybotliwego Canoe...

- Nie myślisz chyba, że jest pierwszym dzieckiem, które wpadło do wody?

- Napił się zatrutej wody i wymiotował krwią. Albo zaatakował go bawół cały oblepiony błotem...

- Błotem. Wszyscy wiedzą, że bawoły taplają się w błocie jak świnie. To nie miało żadnego związku z wodą.

Tato uderzył otwartą dłoń o podłogę. Trzask rozległ się głośno jak wystrzał. Mama drgnęła i natychmiast spojrzała ku schodom, w stronę, gdzie spały dzieci. Alvin Junior odskoczył pospiesznie. Czekał, aż każe mu wracać do łóżka. Ale chyba niczego nie zauważyła, ponieważ nie krzyknęła ani nikt za nim nie poszedł.

Wrócił cichutko. Rodzice wciąż się kłócili, tylko ciszej.

Tato mówił szeptem, choć oczy płonęły mu gniewem.

- Jeśli naprawdę uważasz, że to nie miało żadnego związku z wodą, to ty jesteś szalona, nie ja.

Twarz mamy wyglądała jak ścięta lodem. Alvin Junior znał ten wyraz - mama nie mogła być bardziej wściekła. Żadnych klapsów, żadnych wymówek; tylko chłód i milczenie; każde dziecko, które spotkała taka kara, zaczynało marzyć o śmierci i męczarniach piekła, bo tam przynajmniej jest ciepło.

Przy tacie mama nie milczała, ale jej głos był jak lód.

- Nasz Zbawca pił wodę ze studni Samarytanina. - Ale nie przypominam sobie, żeby wpadł do tej studni.

Alvin Junior wspomniał, jak spadał w ciemność trzymając się wiadra, aż lina zaplątała się w kołowrocie i zatrzymała je tuż nad powierzchnią wody. Z pewnością by się utopił. Powiedzieli, że nie miał jeszcze dwóch lat, kiedy to się stało. Jeszcze teraz śnił czasami o kamieniach, którymi wyłożono wnętrze studni; stawały się coraz ciemniejsze i ciemniejsze w miarę, jak spadał w dół. W snach studnia miała dziesięć mil głębokości i leciał przez wieczność, nim się w końcu obudził.

- Więc pomyśl o tym, Alvinie Millerze, skoro uważasz, że znasz pismo.

Tata zaczął protestować, że przecież nic takiego nie mówił...

- Sam diabeł powiedział Panu na pustyni, że anioły uniosą Jezusa, gdyby zranił stopę o kamień.

- Nie wiem, co to ma wspólnego z wodą...

- To jasne, że jeśli wyszłam za ciebie dla twojego rozumu, zostałam paskudnie oszukana.

Twarz taty pokryła się czerwienią.

- Nie nazywaj mnie głupcem, Faith. Wiem, co wiem, i...

- Alvinie Millerze, chłopiec ma anioła stróża. Ktoś go pilnuje.

- Ty i te twoje ewangelie. Ty i te twoje anioły.

- To wytłumacz, w jaki sposób przeżył czternaście wypadków bez najmniejszego zadrapania. Ilu chłopców w wieku sześciu lat nigdy się nawet nie skaleczyło?

Tata przybrał dziwaczny wyraz twarzy, jakby się skrzywił i trudno mu było wykrztusić choćby słowo.

- Mówię ci, że coś chce go zabić. Wiem o tym.

- Niczego nie wiesz.

Tato odpowiedział ciszej, dusząc słowa, jakby każde sprawiało mu ból.

- Wiem...

Mówił z takim trudem, że mama nie czekała aż skończy i przerwała mu.

- Jeżeli nawet istnieje jakiś diabelski spisek, by go zabić... a ja nie twierdzę tego, Alvinie... to istnieje potężniejszy jeszcze plan niebios, by go ocalić.

I nagle tato nie miał więcej kłopotów z mówieniem. Tato po prostu zrezygnował z wypowiadania trudnych zdań. Alvin Junior poczuł się oszukany, jak wtedy, gdy ktoś każe mu wyjść, zanim jeszcze się odezwał. Ale wiedział, gdy tylko chwilę pomyślał, że tato nie poddałby się tak łatwo, gdyby jakaś straszliwa siła nie zabraniała mu mówić. Tato był silnym mężczyzną, wcale nie tchórzliwym. I to, że musiał przegrać, wzbudziło w chłopcu lęk. Mały Alvin wiedział, że rodzice rozmawiają o nim. Nie rozumiał nawet połowy tego, co zostało powiedziane; pojął jednak, że tato uważa, iż ktoś chce zabić Alvina Juniora. A kiedy tato chciał przedstawić dowód, opowiedzieć skąd wie, coś zamknęło mu usta i nakazało milczenie.

Alvin Junior wiedział bez jednego słowa, że to, co zamknęło tacie usta, było przeciwieństwem blasku, który wcześniej wypełniał Jaśniejącego Człowieka i jego samego. Istniało coś, co pragnęło, by Alvin był silny i dobry. I istniało coś innego, co chciało, by zginął. Czymkolwiek była ta dobra moc, potrafiła przywoływać wizje, ukazać straszliwy grzech i nauczyć, jak unikać go na przyszłość. Ale zła moc potrafiła zmusić do milczenia tatę, pokonać najsilniejszego, najlepszego człowieka, jakiego Alvin znał i o jakim słyszał. I to było przerażające.

Kiedy tato dalej dowodził swoich racji, jego siódmy syn wiedział, że pomija jedyny liczący się argument

- To nie diabły i nie anioły. To siły natury. Nie rozumiesz, że on jest wyzwaniem dla natury? Ma w sobie moc, jakiej nie możemy się nawet domyślać. Taką moc, że jedna z części natury nie może tego znieść... a on się broni, nawet gdy sam o tym nie wie.

- Jeśli taką moc ma siódmy syn siódmego syna, to gdzie jest twoja, Alvinie Millerze? Jesteś siódmym synem, a to podobno też coś znaczy. A jakoś nie widzę, żebyś używał różdżki albo...

- Nie wiesz, co robię...

- Za to wiem, czego nie robisz. Wiem, w co nie wierzysz...

- Wierzę we wszystko, co jest prawdą...

- Wiem, że wszyscy chodzą pomagać przy budowie tego pięknego kościoła. Oprócz ciebie.

- Kaznodzieja to dureń.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że Bóg wykorzystuje twojego bezcennego siódmego syna, by cię przebudzić i skłonić do pokuty?

- A więc w takiego Boga wierzysz? Boga, który próbuje zabijać małych chłopców, żeby ich tatusiowie przyszli na spotkanie parafialne?

- Pan ocalił twojego chłopca, czym dał dowód swej miłości i dobroci...

- Miłości i dobroci, które pozwoliły umrzeć Vigorowi... - Ale pewnego dnia jego cierpliwość się wyczerpie... - A wtedy wymorduje moich pozostałych synów.

Uderzyła go w twarz. Alvin Junior widział to na własne oczy. I nie było to takie klepnięcie od niechcenia, jakim przypominała synom, że nie należy niegrzecznie odpowiadać albo próżnować. To było uderzenie, które mogłoby strącić z karku głowę. Tato rozciągnął się na podłodze.

- Jedno ci powiem, Alvinie Millerze - oświadczyła głosem tak lodowatym, że aż parzył. - Jeśli ten kościół zostanie ukończony i nie będzie w nim żadnego tworu twoich rąk, przestanieś być moim mężem, a ja twoją żoną.

Jeśli jeszcze coś mówili, Alvin Junior już tego nie słyszał. Był w łóżku i drżał cały na myśl, że tak straszną rzecz można sobie choćby wyobrazić, nie wspominając już o wypowiedzeniu jej na głos. Dziś w nocy bał się już wiele razy; bał się bólu, bał się umierać, gdy Anna szeptem groziła mu śmiercią, a najbardziej się bał, gdy przybył Jaśniejący Człowiek i ukazał mu jego grzech. Ale to było czymś zupełnie innym. Jak koniec świata, jak koniec jedyne, co absolutnie pewne: słyszeć mamę, która mówi, że nie zostanie więcej z tatą. Alvin leżał w łóżku, a w głowie pędziły mu najróżniejsze myśli. Pędziły tak szybko, że nad żadną nie mógł się skupić. I wreszcie w tym zamieszaniu nie pozostało mu nic innego, jak zasnąć.

Rankiem pomyślał, że może to był sen. To musiał być sen. Ale na podłodze koło łóżka znalazł świeże plamy w miejscu, gdzie spłynęła krew Jaśniejącego Człowieka. I kłótnia rodziców też mu się nie przyśniła. Tato zatrzymał go po śniadaniu i powiedział:

- Al, dzisiaj zostaniesz ze mną.

Wyraz twarzy mamy świadczył aż nadto wyraźnie, że to, co mówiła w nocy, obowiązywało nadal.

- Chcę pomóc budować kościół - oświadczył Alvin Junior. - Nie boję się żadnych kalenic.

- Dzisiaj zostaniesz w domu. Pomożesz mi coś zbudować. - Tato przełknął ślinę i powstrzymał się od spojrzenia w stronę mamy. - Kościół będzie potrzebował ołtarza. Możemy zbudować piękny ołtarz, który tam ustawimy, gdy tylko położą dach i ustawią ściany. - Tato zerknął na mamę i uśmiechnął się tak, że Alowi dreszcz przebiegł po karku. - Jak myślisz, pastor będzie chyba zadowolony?

Mama była wyraźnie zaskoczona. Ale nie należała do ludzi, którzy poddają walkę tylko dlatego, że przeciwnikowi udał się jeden rzut. Alvin Junior znał ją dobrze.

- W czym może ci pomóc chłopak? - zapytała. - Przecież nie jest cieślą.

- Ma dobre oko - wyjaśnił tato. - Jeśli potrafi łątać i wycinać skórę, może zrobić parę krzyży. Ołtarz będzie lepiej wyglądał.

- Measure lepiej potrafi coś wystrugać.

- Więc każę małemu wypalić te krzyże! - Tato położył dłoń na głowie Alvina Juniora.

- Choćby miał tu siedzieć cały dzień i czytać Biblię, nie pójdzie do tego kościoła, póki ostatni kołek nie zostanie wbity na miejsce.

Głos taty był tak twardy, że mógłby ryc słowa w kamieniu. Mama spojrzała najpierw na Alvina Juniora, potem na Alvina Seniora. Wreszcie zaczęła pakować do koszyka prowiant dla tych, co mieli iść na budowę.

Alvin Junior wyszedł z domu. Measure zaprzęgał konie, a Wastenot i Wantnot ładowali gonty na wóz.

- Znowu chcesz stanąć w środku kościoła? - zapytał Wantnot.

- Moglibyśmy zrzucać na ciebie belki, a ty głową rozbijałbyś je na gonty - dodał Wastenot.

- Nie jadę - oznajmił Alvin Junior.

Wastenot i Wantnot wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Szkoda - stwierdził Measure. - Ale kiedy mama i tato wpadają w zły humor, w całej dolinie Wobbish szaleje śnieżyca.

Mrugnął na Alę dokładnie tak jak wczoraj, kiedy miał z tego powodu spore kłopoty.

To mrugnięcie skłoniło Alvina do postawienia pytania, którego w innym przypadku nie śmiałby wypowiedzieć głośno. Podeszedł bliżej, by inni nie usłyszeli. Measure natychmiast

pojął w czym rzecz i przykucnął obok koła wozu, gdzie mógł w spokoju wysłuchać, co brat ma do powiedzenia.

- Measure, gdyby mama wierzyła w Boga, a tato nie, skąd miałbym wiedzieć, kto ma rację?

- Tato chyba wierzy w Boga - odparł Measure.

- Ale gdyby nie. O to mi chodzi. Skąd mam wiedzieć o takich rzeczach, kiedy mama mówi co innego, a tata co innego?

Measure chciał zażartować, ale powstrzymał się. Alvin poznał po jego twarzy, że postanowił odpowiedzieć z całą powagą. Mówić prawdę zamiast jej unikać.

- Al, szczerze ci powiem, że sam chciałbym wiedzieć. Czasem wydaje mi się, że nikt niczego nie wie.

- Tato twierdzi, że wiesz to, co widziałeś na własne oczy. Mama uważa, że wiesz, co czujesz własnym sercem.

- A ty jak sądzisz?

- Nie mam pojęcia, Measure. Mam dopiero sześć lat.

- Ja mam dwadzieścia dwa, Alvinie. Jestem dorosłym mężczyzną i nie wiem. Mama i tato chyba też nie.

- Ale jeżeli nie wiedzą, to czemu tak się o to wściekają?

- Na tym polega małżeństwo. Kłócisz się cały czas, ale nigdy z tego powodu, który uważasz za powód kłótni.

- Więc o co naprawdę się kłócą?

Tym razem Alvin zaobserwował przeciwne zjawisko niż na początku ich rozmowy. Measure chciał powiedzieć prawdę, ale zmienił zdanie. Wstał i rozwichrzył Alwinowi włosy. To był pewny znak, że dorosły zamierza skłamać. Dorośli zawsze okłamywali dzieci, jak gdyby na dzieciach nie można było polegać ani im ufać.

- Moim zdaniem kłócą się, bo lubią słuchać własnych głosów.

Alvin zwykle wysłuchiwał kłamstw dorosłych i milczał. Tym razem jednak chodziło o Measure'a, a on nie chciał, żeby Measure go oszukiwał.

- Ile muszę mieć lat, żebyś mi powiedział? - zapytał.

W oczach Measure'a błysnął gniew - nikt nie lubi, kiedy nazywają go kłamcą. Potem jednak chłopak uśmiechnął się i spojrzał ze zrozumieniem,

- Dość dużo, żebyś sam się domyślał. Ale nie za dużo, żebyś już nie mógł z tego skorzystać.

- To znaczy kiedy? Chcę, żebyś mówił prawdę przez cały czas.

Measure znowu przykucnął.

- Nie zawsze mogę, Al, bo czasem jest zbyt trudna. Czasem musiałbym tłumaczyć sprawy, których nie umiem wytłumaczyć. A do niektórych rzeczy musisz dojść sam, żyjąc odpowiednio długo.

Alvin był zły i wiedział, że ta złość maluje się na jego twarzy.

- Nie złość się na mnie, braciszku. Pewnych rzeczy nie mogę ci wyjaśnić, bo sam ich nie rozumiem. To nie jest kłamstwo. Ale jedno mogę ci obiecać: jeśli będę mógł ci o czymś powiedzieć, to powiem. A jeśli nie, to powiem, że nie. Nie będę udawał.

To była najlepsza rzecz, jaką Alvin usłyszał od dorosłego. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Dotrzymasz tego, Measure?

- Dotrzymam albo zginę. Możesz na mnie polegać.

- Będę pamiętał. - Alvin wspomniał przysięgę, którą złożył nocą Jaśniejącemu Człowiekowi. - Ja też umiem dotrzymywać słowa.

Measure roześmiał się, chwycił Alvina i przycisnął mocno.

- Jesteś taki jak mama - stwierdził. - Nigdy nie popuścisz.

- Nie mogę - wyjaśnił Alvin. - Jeśli teraz zacznę ci wierzyć, to skąd mam wiedzieć, kiedy przestać?

- Nigdy nie przestawaj.

Nadjechał Calm na swojej starej kobyle, wyszła mama z koszykiem jedzenia, wszyscy zaczęli się zbierać i odjechali. Tato zabrał Alvina Juniora do stodoły i wkrótce potem Alvin pomagał przycinać deski. Pasowały równie dobrze jak deski taty. Szczerze mówiąc pasowały nawet lepiej, bo przecież Al mógł chyba korzystać teraz ze swego talentu. Ołtarz był dla wszystkich. Al sprawiał więc, że kawałki drewna stykały się tak dokładnie, by nigdy się nie rozpaść - ani na złączu, ani w żadnym innym miejscu. Pomyślał nawet, żeby poprawić złącza taty, ale kiedy spróbował, przekonał się, że tato też ma trochę talentu. Drewno nie łączyło się w jeden ciągły element, jak u Alvina, ale pasowało dobrze, to pewne. Nie trzeba było poprawiać.

Tato prawie się nie odzywał. Nie musiał. Obaj wiedzieli, że Alvin Junior ma talent dopasowywania do siebie różnych rzeczy, tak samo jak jego ojciec. Pod wieczór cały ołtarz był już złożony i zabezpieczony. Zostawili go, żeby wysechł, a kiedy wracali do domu, tato położył twardą dłoń na ramieniu syna. Szli razem lekko i płynnie, jakby byli dwoma częściami jednego ciała, jakby ręka mężczyzny wyrastała z karku chłopca. Alvin wyczuwał puls w palcach taty - bił dokładnie w rytmie uderzeń krwi w jego krtani.

Kiedy weszli, mama krzątała się przy ogniu. Spojrzała na nich.

- Jak poszło? - zapytała.
- To najgładsza skrzynia, jaką w życiu widziałem - oświadczył Alvin Junior.
- Dzisiaj w kościele nie zdarzył się żaden wypadek - poinformowała mama.
- Tutaj też wszystko szło doskonale - odparł tato

Alvin za skarby świata nie potrafiłby powiedzieć, czemu słowa mamy brzmiały jak "Nigdzie nie odejdę", a słowa taty jak "Zostań przy mnie na zawsze". Ale wiedział, że nie tylko jemu tak się zdawało bo właśnie wtedy wyciągnięty przy palenisku Measure odwrócił głowę i mrugnął, by tylko Alvin to zauważył.

Rozdział 8

Przybysz

Wielebny Thrower nie pozwalał sobie na zbyt wiele słabości, ale jedną z nich były piątkowe kolacje u Weaverów. Właściwie raczej piątkowe obiady, gdyż Weaverowie byli kupcami i rzemieślnikami, więc w południe nie przerywali pracy i mogli sobie pozwolić tylko na szybką przekąskę. Nie tyle jednak ilość, co jakoś dań co tydzień sprowadzała do nich Throwera. Mówiono, że Eleanor Weaver mogłaby wziąć kawał starego pnia i sprawić, by smakował jak potrawka z królika. Zresztą, nie chodziło tylko o jedzenie; Armor-of-God Weaver był człowiekiem głęboko wierzącym i znał Biblię, więc rozmowa toczyła się na wyższym poziomie intelektualnym. Nie tak wysokim, jak rozmowy z wykształconymi kapłanami, ale w tej ciemnej dziczcy nie można było liczyć na nic lepszego.

Siadali do posiłku w pokoju za sklepem Weaverów. Pomieszczenie pełniło funkcję kuchni, warsztatu i biblioteki. Od czasu do czasu Eleanor mieszała w garnku, a woń gotowanej dziczyzny i pieczonego chleba mieszała się z zapachami tężejącego mydła i łoju, z którego produkowali świece.

- Jesteśmy tu wszystkim po trochu - wyjaśnił Armor podczas pierwszej wizyty pastora. - Robimy rzeczy, które każdy farmer w okolicy potrafiłby wykonać samodzielnie... ale robimy je lepiej, a kiedy kupują od nas, oszczędzają sobie całych godzin pracy. Dzięki temu mają czas, by karczować, orać i obsiewać więcej ziemi.

Sam sklep mieścił się od frontu i był po sufit zastawiony półkami, pełnymi towarów dostarczanych wozami ze wschodu. Bawełna z krosien i parowych tkalni Irrakwy, cynowe talerze, żelazne garnki i piece z hut Pensylwanii i Suskwahenny, piękne naczynia, szafki i skrzynki od stolarzy z Nowej Anglii, a nawet kilka woreczków cennych przypraw, które przyplłynęły do Nowego Amsterdamu z Orientu. Armor Weaver wyznał kiedyś, że na zakup tych towarów poświęcił oszczędności całego życia i wcale nie był pewien, czy robi interes w tej słabo zaludnionej okolicy. Jednak wielebny Thrower widział wozy, przybywające z dolnej Wobbish, z biegiem Chybotliwego Canoe, a nawet z zachodu, z regionu Szumiącej Rzeki.

Teraz, gdy czekali, aż Eleanor Weaver poda do stołu, wielebny Thrower zadał pytanie, które męczyło go już dość długo.

- Widzę, co stąd wywożą - powiedział. - I nie mogę sobie wyobrazić, czym właściwie płacą. Nikt tutaj nie dysponuje gotówką, a niewiele mają na wymianę, co można by sprzedać na wschodzie.

- Płacą tłuszczem, węglem drzewnym, jesionem i lepszymi gatunkami drewna... Naturalnie, również żywnością dla Eleanor i dla mnie... i kogokolwiek, kto mógłby się pojawić. - Tylko dureń by nie zauważył, jak bardzo utyla Eleanor; dziecko było już pewnie w połowie drogi. - Ale zwykle - zakończył Armor - daję im na kredyt.

- Na kredyt? Farmerom, których skalpy mogą przyszej zimy zostać w Detroit wymienione na muszkiety i whisky?

- Więcej mówi się o skalpowaniu, niż skalpuje. Czerwoni w tej okolicy nie są głupi. Słyszeli o Irrakwa i że zasiadają w Kongresie w Filadelfii obok Białych, i że na przykład w Pensylwanii, Suskwahenny czy New Orange mają muszkiety, konie, farmy, pola i miasta. Słyszeli o plemieniu Cherriky z Appalachów, że walczą przy boku rebeliantów Toma Jeffersona o niezależność tego kraju od Króla i Kawalerów.

- Mogli też zauważyć płaskodenne łodzie spływające po Hio i wozy ciągnące na zachód, padające drzewa i rosnące domy.

- Częściowo macie rację, wielbny - przyznał Armor. - Nie wiadomo, co postanowią Czerwoni. Może spróbują nas pozabijać, a może osiąść i żyć wśród nas. Życie między nami nie będzie łatwe. Nie są przyzwyczajeni do miast, a dla Białych jest to najbardziej naturalny styl. Ale walka będzie jeszcze gorsza, bo jeśli jej spróbują, wyginą. Mogą sądzić, że zabijając jednych Białych, wystraszą innych. Nie mają pojęcia, jak wyglądają sprawy w Europie, gdzie marzenie o własnej ziemi pchnie ludzi na wędrówkę przez pięć tysięcy mil, skłoni do pracy cięższej niż kiedykolwiek w życiu, do pochowania dzieci, które mogłyby żyć w starym kraju. Ci ludzie zaryzykują tommy-howk w czaszce, bo lepiej należeć do siebie, niż służyć jakiemuś panu. Z wyjątkiem Pana Boga.

- Tak samo jest z wami? - spytał Thrower. - Zaryzykować wszystkim dla ziemi?

Aarmor spojrział na żonę i uśmiechnął się. Nie odpowiedziała mu uśmiechem. Thrower zauważył to; lecz dostrzegł także, że Eleanor ma oczy piękne i głębokie, jakby znała tajemnice, które zmuszały do powagi mimo radości w sercu.

- Nie tak jak farmerzy, którzy mają ziemię. Mówiłem wam, że nie jestem farmerem - wyjaśnił Armor. - Są inne sposoby posiadania ziemi. Widzicie, wielbny, udzielam im kredytu, ponieważ wierzę w ten kraj. Kiedy przychodzą u mnie kupować, proszę, by podawali mi nazwiska sąsiadów, szkicowali mapy farm i potoków, gdzie żyją, a także szlaków i rzek po drodze tutaj. Daję im do przekazania listy, które przychodzą, piszę ich listy i wysyłam na

wschód, do ich bliskich, których zostawili. Znam wszystko i wszystkich w całej górnej Wobbish i okolicach Szumiącej Rzeki.

Wielebny Thrower zmrużył oczy i uśmiechnął się.

- Innymi słowy, bracie Armor, jesteście rządem.

- Powiedzmy raczej, że kiedy nadejdzie dzień, gdy przydałby się rząd, będę gotów do służby. A za dwa, trzy lata przyjedzie więcej ludzi, i więcej zajmie się wyrobem cegieł, kotłów, garnków, skrzyni i beczek, piwa, sera i paszy. Jak myślicie, gdzie pójdą sprzedawać i kupować? Do sklepu, który udzielił im kredytu, kiedy ich żony marzyły o kawałku materiału na sukienkę, kiedy potrzebowali kociołka albo pieca, żeby się schronić przed zimowym chłodem.

Philadelphia Thrower wołał nie wspominać, że nie tak mocno wierzy w lojalność wdzięcznych farmerów. Zresztą, pomyślał, może nie mam racji. Czy Zbawca nie nakazał rzucać chleba w fale? I jeśli nawet Armor nie zrealizuje swych marzeń, to dokona wielu dobrych rzeczy i otworzy tę krainę dla cywilizacji.

Obiad był gotów. Eleanor nałożyła mięso. Kiedy postawiła przed pastorem piękny, biały talerz, wielebny Thrower musiał się uśmiechnąć.

- Musicie być bardzo dumna z męża i wszystkiego, co czyni.

Zamiast uśmiechnąć się skromnie, czego oczekiwał, Eleanor parsknęła rozbawiona. Armor-of-God nie był tak delikatny i głośno wybuchnął śmiechem.

- Naiwni jesteście, pastorze - powiedział. - Kiedy ja mam ręce unurzane po łokcie w łożu na świece, Eleanor robi mydło. Kiedy piszę listy albo staram się doręczyć, Eleanor kreśli mapy albo notuje nazwiska w naszej małej księdze. Cokolwiek robię, Eleanor stoi przy moim boku, a ja przy niej, cokolwiek by robiła. Może z wyjątkiem naszego ogródka z ziołami, o który dba bardziej ode mnie, i czytania Biblii, czego ja pilnuję bardziej niż ona.

- To dobrze, że jest dzielną pomocnicą męża - pochwalił wielebny Thrower.

- Oboje sobie pomagamy - odparł Armor-of-God. - Lepiej o tym nie zapominajcie.

Powiedział to z uśmiechem, więc i Thrower się uśmiechnął. Był jednak trochę rozczarowany, że Armor tak głęboko siedzi pod pantoflem, aż musi przy obcych przyznawać, że nie jest panem własnych interesów i własnego domu. Zresztą, czego można oczekiwać, skoro Eleanor wychowała się w tej dziwacznej rodzinie Millerów? Najstarsza córka Alvina i Faith Miller nie ugnie się przecież przed wolą męża, jak to nakazał Pan.

Mimo to dziczyna była najlepsza, jakiej Thrower w życiu kosztował.

- Wcale nie łykowata - pochwalił. - Nie sądziłem, że jeleń może tak smakować.

- Eleanor wycina tłuszcz - wyjaśnił Armor. - I dodaje kawałek kurczęcia.

- Teraz, kiedy o tym wspomnieliście, faktycznie wyczuwam je w smaku sosu.

- Tłuszcz zużywamy na mydło - dodał Armor. - Nie wyrzucamy niczego, co może się przydać.

- Tak jak nakazał Pan - stwierdził Thrower i zajął się jedzeniem. Przy drugim talerzu gulaszu i trzeciej kromce chleba wygłosił opinię, która miała być żartobliwym komplementem. - Pani Weaver, wasza kuchnia jest tak wspaniała, że mógłbym prawie uwierzyć w czary.

W najlepszym razie oczekiwał parsknięcia czy chichotu. Tymczasem Eleanor spuściła głowę tak zawstydzona, jakby oskarżył ją o cudzołóstwo. Zaś Armor-of-God wyprostował się sztywno.

- Byłbym wdzięczny, gdybyście w moim domu nie poruszali takich tematów - oświadczył.

Wielebny Thrower próbował się usprawiedliwić.

- Nie mówiłem poważnie. Wśród rozsądnych chrześcijan takie uwagi mogą być tylko żartem, prawda? Wiele jest zabobonów, a ja...

Eleanor wstała i wyszła z pokoju.

- Co ja takiego powiedziałem? - zdziwił się Thrower.

Armor westchnął.

- W żaden sposób nie mogliście wiedzieć. To spór sięgający czasów sprzed naszego małżeństwa, kiedy dopiero przybyłem na te ziemie. Poznałem ją, gdy razem z braćmi przyjechała pomóc mi wystawić pierwszą chatę; dzisiaj to szopa do produkcji mydła. Zaczęła sypać miętę na podłogę i recytować jakiś wierszyk, a ja wrzasnąłem, żeby przestała i wynosiła się z mojego domu. Przytoczyłem słowa Biblii, gdzie jest powiedziane: "Nie pozwolisz żyć czarownicy". Możecie być pewni, że przeżyłem potem ciężkie pół godziny.

- Nazwaliście ją czarownicą, a jednak została waszą żoną?

- Trochę rozmawialiśmy między jednym a drugim.

- Chyba nie wierzy już więcej w takie rzeczy?

Armor zmarszczył brwi.

- To nie jest kwestia wiary, wielebny, ale działania. Więcej tego nie robi. Ani tutaj, ani nigdzie. A kiedy wy prawie ją o to oskarżyliście, zirytowała się. Bo mi obiecała, rozumiecie.

- Ale kiedy przeprosiłem...

- Otóż właśnie. Myślicie po swojemu. Ale nie zdołacie jej przekonać, że przywołania, zioła i zaklęcia nie mają żadnej mocy. Ona na własne oczy widziała takie rzeczy, których nie da się wytłumaczyć.

- Z pewnością taki człowiek jak wy, czytany w piśmie i bywały w świecie, potrafi przekonać żonę, by odrzuciła przesady dzieciństwa.

Armor delikatnie położył rękę na dłoni Throwera.

- Wielebny, muszę powiedzieć coś, o czym sądziłem, że nigdy nie będę musiał mówić człowiekowi dorosłemu. Dobry chrześcijanin nie dopuszcza do swego życia takich rzeczy, gdyż jedyną godną drogą przywołania ukrytych mocy jest modlitwa i łaska Pana Jezusa. Ale nie dlatego, że one nie działają.

- Przecież nie mogą działać - zaprotestował Thrower. - Potęga niebios jest czymś realnym, tak samo jak wizje, zstąpienia aniołów i wszystkie cuda opisane w piśmie. Ale moce niebiańskie nie mają nic wspólnego z młodymi ludźmi, którzy się w sobie zakochują, z leczeniem krupa, kurami znoszącymi jajka i wszystkimi innymi głupstwami, które robią prości, niewykształceni ludzie przy użyciu tak zwanej ludowej mądrości. Nie ma takiej rzeczy, dokonanej różdżką czy heksagramem czy czymkolwiek, której nie dałoby się wyjaśnić za pomocą prostej analizy naukowej.

Armor milczał długo. Cisza niepokoiła Throwera, ale nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć. Nie przyszło mu do głowy, że Armor mógłby naprawdę wierzyć w takie rzeczy. To ciekawe... Inną sprawą jest wyrzeczenie się magii, ponieważ magia to nonsens, a inną wyrzeczenie się jej, ponieważ jest rzeczą niegodną. Thrower pomyślał, że to drugie podejście jest nawet bardziej szlachetne. U niego pogarda dla czarów wynikała ze zdrowego rozsądku, podczas gdy dla Armora i Eleanor było to prawdziwe wyrzeczenie.

Zanim jednak znalazł właściwe słowa, by wyrazić tę myśl, Armor wyprostował się i zmienił temat.

- Wasz kościół jest już prawie gotowy.

Wielebny Thrower z ulgą podjął dyskusję na bezpieczniejszy temat.

- Wczoraj skończyliśmy dach, a dzisiaj udało się przybić wszystkie deski do ścian. Jutro będą już szczelne, z okiennicami w oknach. Potem wstawimy szyby i drzwi; budynek będzie odporny na deszcze jak bęben.

- Szkło płynie do mnie statkiem - oznajmił Armor. Po czym mrugnął porozumiewawczo. - Rozwiązałem problem żeglugi po jeziorze Erie.

- Jak wam się to udało? Francuzi topią co trzeci statek, nawet z Irakwy.

- To proste. Zamówiłem szkło w Montrealu.

- Francuskie szkło w oknach brytyjskiego kościoła?

- Amerykańskiego kościoła - poprawił go Armor. - A Montreal to także amerykańskie miasto. Zresztą, Francuzi chcą się nas pozbyć, ale póki co, tworzymy rynek dla ich produktów. Więc gubernator, markiz de la Fayette, nie zabrania swoim ludziom zarabiać na nas, skoro jeszcze tu jesteśmy. Wyślą to szkło statkiem przez jezioro Michigan, a potem rzeką świętego Józefa i przez Chybotliwe Canoe.

- Dotrze tu, zanim zepsuje się pogoda?

- Chyba tak. W przeciwnym razie im nie zapłacę.

- Zdziwiasz się z was człowiek - stwierdził Thrower. - Zastanawiam się tylko, czemu tak mało jesteście lojalni wobec brytyjskiego protektoratu.

- Wiecie, jak to jest - mruknął Armor. - Wychowaliście się pod brytyjskim protektoratem i dlatego ciągle myślicie jak Anglik.

- Jestem Szkotem.

- W każdym razie Brytyjczykiem. Z waszego kraju wygnano każdego, o kim choćby mówiono, że praktykuje sztuki tajemne. Natychmiast. Nikt nie przejmował się procesem.

- Chcieliśmy być sprawiedliwi... ale sądy eklezjastyczne działają szybko, a od wyroków nie ma apelacji.

- Pomyślcie więc. Jeśli każdy, kto miał choć odrobinę talentu do sztuki tajemnej, zostawał natychmiast wysłany do kolonii w Ameryce, to jak mogliście zobaczyć magię w starym kraju?

- Nie widziałem, ponieważ nic takiego nie istnieje.

- Nie istnieje w Brytanii. Ale jest przekleństwem dobrych chrześcijan w Ameryce, ponieważ tkwimy po pachy wśród żagwi, różdżkarzy, bagnowników i hekserów. Dziecko na metr nie odrośnięte od ziemi, a już wpada głową w czyjś czar odpychania albo łapie je urok wszystkimówienia, rzucony przez jakiegoś dowcipnisia. A potem gada, co tylko mu przyjdzie do głowy i obraża wszystkich na dziesięć mil dookoła.

- Urok wszystkimówienia! Doprawdy, bracie Armor, odrobina whisky działa tak samo.

- Ale nie na dwunastolatka, który w życiu nie tknął alkoholu.

Było jasne, że Armor mówi to na podstawie własnych doświadczeń, co jednak nie zmieniało faktów.

- Zawsze można to jakoś wytłumaczyć.

- Na wszystko, co się wydarzy, można znaleźć całe mnóstwo wytłumaczeń - odparł Armor. - Ale coś wam powiem. Możecie nawoływać przeciwko czarom i wciąż mieć

wiernych w kościele. Ale jeśli będziecie powtarzać, że czary nie działają... Cóż, ludzie zaczną się zastanawiać, po co mają przychodzić do kościoła, skoro kazania wygłasza tam skończony głupiec.

- Muszę mówić prawdę tak, jak ją widzę - nie ustępował Thrower.

- Możecie wiedzieć, że ktoś oszukuje w interesach, ale nie musicie od razu wywoływać go z ambony, prawda? Nie, po prostu głosicie kazania o uczciwości i macie nadzieję, że on się zmieni.

- Waszym zdaniem powinienem spróbować drogi okrężnej?

- To piękny kościół, wielbny, i nie byłby nawet w połowie taki, gdyby nie wasze marzenie o nim. Ale tutejsi ludzie uważają, że to ich kościół. Oni ścinali drzewa, oni go budowali, stoi na wspólnych gruntach. I byłaby straszna szkoda, gdybyście swoim uporem zmusili ich do oddania ambony innemu kaznodziei.

Wielebny Thrower przez długi czas wpatrywał się w resztki obiadu. Myślał o kościele. Nie o surowych, drewnianych ścianach, jakie miał teraz, ale o kościele wykończonym, ze wszystkim co trzeba, amboną, jasną salą i słońcem wpadającym przez oszklone okna. Nie chodzi o miejsce, powiedział sobie, ale o wszystko, co mogę tutaj osiągnąć. Nie dopełnię swego chrześcijańskiego obowiązku, jeśli pozwolę, by zapanowali tu tacy zabobonni durnie jak Alvin Miller. I cała jego rodzina, jak widać. Jeśli misją moją jest walka ze złem i przesadami, to muszę żyć wśród ludzi głupich i przesadnych. Stopniowo obudzę w nich świadomość prawdy. A gdybym nie zdołał przekonać rodziców, to z czasem nawrócę dzieci. Ta służba jest zadaniem na całe życie. Dlaczego mam je odrzucać tylko po to, by przez kilka chwil jedynie głosić prawdę?

- Jesteście mądrym człowiekiem, bracie Armor.

- Jak i wy, wielbny. Na dalszą metę, jeśli nawet nie zgadzamy się w niektórych szczegółach, to przecież dążymy do tego samego. Chcemy, by cała ta kraina stała się cywilizowana i chrześcijańska.

I żaden z nas nie zaprotestuje, gdy osada Vigor Kościół zmieni się w miasto Vigor, a miasto Vigor zostanie stolicą całego okręgu Wobbish. W Filadelfii mówi się, że zaproponują Hio, żeby się przyłączyli jako kolejny stan. Na pewno złożą taką ofertę Appalachee. Dlaczego kiedyś nie Wobbish? Dlaczego nie mamy kiedyś żyć w kraju od morza do morza, kraju Białych i Czerwonych, gdzie każdy mógłby wybierać rząd, by ten stanowił prawa, których chcielibyśmy przestrzegać?

To był piękny sen. A Thrower widział w nim miejsce dla siebie. Człowiek pełniący służbę w największym kościele największego miasta okręgu stałby się duchowym przywódcą

całego ludu. Na przeciąg kilku minut głęboko uwierzył w to marzenie. Kiedy pożegnał się z Armorem, podziękował za posiłek i wyszedł na zewnątrz, aż jęknął widząc, że na razie osada Vigor składa się jedynie ze sklepu Armora z przybudówkami, ogrodzonych łąk, gdzie pasło się z dziesięć owiec i surowej, drewnianej skorupy wielkiego, nowego kościoła.

Mimo wszystko kościół był wystarczająco realny. Prawie gotów, ze ścianami i położonym dachem. Zanim uwierzyłby w ten sen, musiał zobaczyć coś rzeczywistego, ale kościół był rzeczywisty. On, Thrower, razem z Armorem, potrafią zrealizować marzenie do końca. Sprowadzić tu ludzi, zmienić małą osadę w stolicę okręgu. Kościół był dość duży, by odbywały się w nim zebrania mieszkańców, nie tylko msze. A co w ciągu tygodnia? Marnowałby własne wykształcenie, gdyby nie założył szkoły dla okolicznych dzieci. Nauczy je czytać, pisać, liczyć, a przede wszystkim myśleć. W ten sposób wygna z ich umysłów wszelkie przesady, pozostawiając jedynie czystą wiedzę i wiarę w Zbawiciela.

Pogrążony w myślach nawet nie zauważył, że nie idzie w dół rzeki, do farmy Petera McCoya, gdzie w starej chacie czekało na niego łóżko. Szedł na wzgórek, w stronę kościoła. Dopiero kiedy zapalił kilka świec, zdał sobie sprawę, że naprawdę zamierza spędzić tu noc. Te nagie, drewniane ściany były jego domem bardziej niż jakiekolwiek miejsce na świecie. Zapach żywicy uderzał w nozdrza, budząc nieznany zapach. Thrower miał ochotę śpiewać hymny, których nigdy jeszcze nie słyszał. Siedział więc nucąc i przewracał kartki Starego Testamentu. Nie widział nawet, że są na nich jakieś słowa.

Usłyszał ich dopiero kiedy weszli na drewnianą podłogę. Obejrzał się i ze zdumieniem poznał panią Faith z latarnią w ręku i jej dwóch osiemnastoletnich bliźniaków. Wastenot i Wantnot nieśli dużą, drewnianą skrzynię. Chwilę trwało, zanim pastor zrozumiał, że ta skrzynia ma być ołtarzem. I że to piękny ołtarz. Deski dopasowano tak, że nie powstydziliby się żaden mistrz stolarski, i zabarwiono wspaniale. A w drewnie wokół szczytu ołtarza wypalono dwa rzędy krzyży.

- Gdzie go postawić? - zapytał Wastenot.

- Tato powiedział, że skoro dach i ściany są już gotowe, powinniśmy go przywieźć jeszcze dzisiaj.

- Tato? - powtórzył Thrower.

- Zrobił to specjalnie dla was - wyjaśnił Wastenot. - A mały Alvin wypalał krzyże, skoro już nie mógł przyjść na budowę.

Thrower stanął - przy nich i przekonał się, że ołtarz budowano z miłością bożą. Nie oczekiwał czegoś takiego od Alvina Millera. A idealnie równe krzyże nie wyglądały na dzieło rąk sześciolatka.

- Tutaj - powiedział, prowadząc ich do miejsca, w którym zaplanował ołtarz. W kościele nie było innych mebli. Pomalowany ołtarz kontrastował barwą ze świeżym drewnem podłogi i ścian. Był wspaniały i Throwerowi łzy napłynęły do oczu.

- Powiedźcie im, że jest przepiękny.

Faith i chłopcy uśmiechnęli się szeroko.

- Widzicie, że on nie jest waszym nieprzyjacielem - rzekła Faith, a Thrower musiał jej przyznać rację.

- Ja też nie żywię dla niego wrogości - zapewnił. Nie dodał: ale zwyciężę go i przekonam miłością i cierpliwością, ten ołtarz zaś jest dowodem, że w głębi serca pragnie, bym go uwolnił z mroków ignorancji.

Nie zostali długo; zmrok już zapadł, więc żwawo ruszyli do domu. Thrower ustawił świecę na podłodze obok ołtarza; nie na nim, gdyż pachniałoby to papizmem. Potem uklęknął, by zmówić modlitwę dziękczynną. Kościół prawie gotowy, a w jego wnętrzu piękny ołtarz, zbudowany przez człowieka, którego najbardziej się obawiał... i krzyże wypalone przez to niezwykle dziecko, będące symbolem najgłębiej zakorzenionych przesądów tych niewykształconych ludzi.

- Jakże pełen jesteś pychy - odezwał się jakiś głos za jego plecami.

Odwrócił się z uśmiechem, gdyż zawsze radośnie witał Przybysz.

Lecz Przybysz nie odpowiedział uśmiechem.

- Pełen pychy - powtórzył.

- Wybacz mi - odparł Thrower. - Żałuję. Czyż jednak mogę powstrzymać się od radości z wielkiego dzieła, które się rozpoczęło?

Przybysz delikatnie dotknął ołtarza; przebiegł palcami po rzędzie krzyży.

- On to zrobił, prawda?

- Alvin Miller.

- A chłopak?

- Krzyże. Tak się bałem, że są sługami diabła...

Przybysz spojrzał na niego surowo.

- Czy twoim zdaniem zbudowanie ołtarza dowodzi, że nimi nie są?

Thrower zadrżał ze zgrozy.

- Nie myślałem, że diabeł może użyć znaku krzyża... - wyszeptał.

- Jesteś tak samo przesądny jak oni wszyscy - stwierdził zimno Przybysz. - Papiści bez przerwy żegnają się znakiem krzyża. Myślałeś, że to jakiś znak strzegący przed diabłem?

- Jak więc cokolwiek mogę być pewnym? Jeżeli diabeł potrafi zbudować ołtarz i wyrysować krzyż...

- Nie, nie, Thrower, mój synu. Żaden z nich nie jest diabłem. Diabła poznasz natychmiast. Tam, gdzie ludzie mają włosy na głowie, diabeł ma rogi bawołu. Gdzie ludzie mają stopy, diabeł ma kopyta kozła. Gdzie ludzie mają ręce, diabeł ma wielkie łapy niedźwiedzia. I możesz być pewny, że kiedy przyjdzie, nie będzie robił ołtarzy. - Przybysz odwrócił się. - Teraz to jest mój ołtarz - oznajmił, kładąc na nim obie dłonie. - Nieważne, czym jest dziełem. Posłuży moim celom.

Thrower załkał z ulgi.

- Został konsekrowany... uczyniłeś go świętością.

Wyciągnął rękę, by dotknąć ołtarza.

- Czekaj! - Nawet wypowiedane szeptem słowa Przybysza posiadały moc, co wprawiała w drżenie ściany kościoła. - Wysłuchaj mnie najpierw.

- Zawsze cię słucham. Choć nie mogę pojąć, czemu wybrałeś tak godnego wżgardy robaka jak ja.

- Nawet robak osiągnie wielkość, gdy dotknie go palec boży - odparł Przybysz. - Nie, nie zrozum mnie źle. Nie jestem Panem Zastępów. Nie oddawaj mi czci.

Thrower jednak nie mógł się powstrzymać. Szlochając padł na kolana przed mądrym i potężnym aniołem. Tak, aniołem. Nie wątpił w to ani przez moment, choć Przybysz nie miał skrzydeł i był ubrany raczej jak członek parlamentu.

- Człowiek, który zbudował ołtarz, błądzi. Jest w jego duszy mord, który wypłynie na powierzchnię, jeśli ów człowiek zostanie sprowokowany. A dziecko, które wypaliło krzyże... słusznie przypuszczałeś, że nie jest to zwykły chłopiec. Lecz jeszcze nie został przeznaczony do życia dla dobra ani zła. Obie te ścieżki stoją przed nim otworem, a chłopiec podatny jest na wpływy. Rozumiesz?

- Czy takie ma być moje zadanie? - upewnił się Thrower. - Czy mam porzucić wszystko inne i poświęcić się nawracaniu tego dziecka na drogę prawdy?

- Jeśli okażesz zbyt wielki zapał, rodzice cię odepchną. Pełnij raczej swą służbę jak planowałeś. Lecz w głębi serca pamiętaj, że masz uczynić wszystko, by to niezwykle dziecko przekonać do mojej sprawy. Albowiem jeśli nie zostanie mym sługą nim skończy czternaście lat, zniszczę go.

Thrower nie mógł nawet znieść myśli o tym, że Alvin Miller miałby doznać jakiegś krzywdy albo wręcz zginąć. Poczucie straty byłoby tak wielkie, że chyba matka i ojciec nie przeżywaliby jej mocniej od niego.

- Wszystko uczynię, co może zrobić człowiek słaby dla ratowania dziecka - zawołał zrozpaczony, wznosząc głos niemal do krzyku.

Przybysz kiwnął głową, a jego twarz rozjaśniła się cudownym, pełnym miłości uśmiechem. Wyciągnął rękę.

- Ufam ci - zapewnił. Głos jego był niby uzdrawiająca woda łana na bolesną ranę. - Wiem, że dasz sobie radę. A co do diabła... nie wolno ci się go lękać.

Thrower chciał chwycić wyciągniętą dłoń, by pokryć ją pocałunkami. Lecz w miejscu, gdzie powinien dotknąć ciała, nie było nic. Przybysz zniknął.

Rozdział 9

Bajarz

Bajarz pamiętał jeszcze te czasy, kiedy mógł wspiąć się na drzewo w tej okolicy i zobaczyć setkę mil kwadratowych puszczy. Czasy, kiedy dęby żyły po sto lat albo i więcej, a ich wciąż grubsze konary tworzyły prawdziwe góry drewna. Czasy, kiedy liście rosły tak gęsto, że w lesie spotykało się kawałki ziemi zupełnie nagiej z braku światła.

Ten świat wiecznego zmierzchu zanikał. Wciąż istniały obszary dziewiczej puszczy, gdzie Czerwoni skradali się ciszej od jeleni; Bajarz czuł się tam, jakby wkroczył do katedry najszczerzej wielbionego Boga. Miejsca takie spotykał jednak rzadko. W ostatnim roku swych wędrówek nieczęsto trafiał mu się dzień, gdy ze szczytu drzewa nie dostrzegał żadnej przerwy w pokrywie lasu. Cały region pomiędzy Hio i Wobbish został zasiedlony niezbyt gęsto, ale równomiernie. Choćby teraz, siedząc na wierzbie rosnącej na szczycie pagórka, Bajarz dostrzegał ze trzy tuziny ognisk, wysyłających kolumny dymu ku chłodnemu, jesiennemu niebu. I wszędzie widział wykarczowaną puszcę, zaorane i obsiane pola, zebrane plony. Tam, gdzie wielkie drzewa osłaniały ziemię przed okiem niebios, teraz porośnięty szczecina ściernisk grunt leżał obnażony, czekając na zimę, by zakryła jego nagość.

Bajarz przypomniał sobie własną wizję pijanego Noego. Stworzył rycinę przedstawiającą to zdarzenie dla nowej edycji Księgi Rodzaju, przeznaczonej dla szkółek niedzielnych obrządku szkockiego. Nagi Noe z otwartymi ustami wciąż ściska w palcach puchar; obok Cham śmieje się pogardliwie; Jafet i Sem podchodzą tyłem, by okryć ojca szatą i nie widzieć, jak się obnaża w pijackim oszołomieniu. Bajarz drgnął nagle; zrozumiał, że była to prorocza wizja. Oto on, Bajarz, siedzi na drzewie i spogląda na nagą ziemię, czekającą za skromne, zimowe okrycie. Spełnione proroctwo - coś, czego człowiek pragnie, ale właściwie nie oczekuje w życiu doczesnym.

Chociaż z drugiej strony, historia pijanego Noego wcale nie musi symbolizować chwili obecnej. Dlaczego nie na odwrót? Dlaczego nie nagi grunt jako symbol pijanego Noego?

Zanim stanął na ziemi, Bajarz zupełnie stracił humor. Myślał i myślał, próbując otworzyć umysł, by nadeszły wizje. Chciał być dobrym prorokiem. Ale za każdym razem kiedy sądził, że pochwycił coś mocno i wyraźnie, to coś rozpływało się i zmieniało.

Napływała jedna zbyteczna myśl i cała osnowa zaczynała się rozplatać, a Bajarz pozostawał w niepewności.

U, stóp drzewa otworzył swój tobołek. Wyjął z niego Księgę Opowieści, którą spisał dla Starego Bena jeszcze w osiemdziesiątym piątym. Ostrożnie zdjął klamry z zamkniętej części, przymknął oczy i przerzucił strony. Spojrzał i przekonał się, że trafił na Przysłowia Piekła. No pewnie. W takiej chwili... Palec dotykał dwóch przysłów. Jedno nic nie znaczyło, drugie wydawało się odpowiednie. "Głupiec nie widzi tego samego drzewa, co człowiek mądry".

Im dłużej rozmyślał nad znaczeniem przysłowia w bieżącym kontekście, tym mniej widział związków. Tyle tylko, że wspominało o drzewach. Musiał więc spróbować z pierwszym przysłowiem. "Jeśli głupiec trwać będzie w swym szaleństwie, stanie się mędrce".

Aha. To zaczynało do niego przemawiać. Był to głos proroctwa, zapisany jeszcze w Filadelfii, zanim wyruszył w podróż. Owej nocy, gdy Księga Przysłów ożyła i Bajarz zobaczył wypisane ognistymi literami słowa, które powinien w niej zawrzeć. Nie spał całą noc. Kiedy świt zgasił płomienie liter, Stary Ben tupiąc głośno zbiegł na śniadanie. Zatrzymał się i wciągnął nosem powietrze.

- Dym - stwierdził. - Nie próbowałeś chyba podpalić domu, Bill?

- Nie - odparł Bajarz. - Ale doznałem wizji. Dowiedziałem się, co Bóg chce, by mówiła Księga Przysłów. Spisałem je wszystkie.

- Masz obsesję wizji - oświadczył Stary Ben. - Ale jedyne prawdziwe wizje nie pochodzą od Boga, ale z najdalszych zakątków ludzkiego umysłu. Zapisz to jako przysłowie. Jest nazbyt agnostyczne, bym mógł je wykorzystać w Almanachu Biednego Ryszarda.

- Popatrz - powiedział Bajarz.

Stary Ben spojrzał i zobaczył dogasające płomienie.

- Niech mnie, jeśli to nie najdziwniejsza sztuczka, jaką da się wykonać z literami. A zapewniałeś, że nie jesteś czarownikiem.

- Nie jestem. To dar boży.

- Boży czy diabelski? Powiedz Bill, kiedy otacza cię światło, skąd wiesz, czy to blask chwały bożej, czy ognie piekielne?

- Nie wiem - zmieszał się Bajarz. Był wtedy młody, nie miał jeszcze trzydziestki, i łatwo się peszył w obecności wielkiego człowieka.

- A może tak bardzo pożądasz słuszności, że sam ją sobie przyznajesz? - Stary Ben odchylił głowę, by przez dolne soczewki dwuogniskowych szkielek spojrzeć na stronicę

Przysłów. - Litery zostały wypalone. To zabawne, że mnie nazywają czarownikiem, chociaż nim nie jestem, a ty jesteś i nie chcesz tego przyznać.

- Jestem prorokiem. A raczej... chciałbym być.

- Uwierzę ci, Billu Blake, jeśli spełni się choć jedno z twoich proroctw. Ale nie wcześniej.

Przez długie lata Bajarz poszukiwał spełnienia choćby jednego proroctwa. Za każdym razem jednak, kiedy mu się zdawało, że je odnalazł, słyszał w głębi duszy głos Starego Bena. Ben karmił go za to, że za prawdziwe uznał związki między proroctwem a rzeczywistością.

- Nigdy prawdziwe - powiedziałby Ben. - Użyteczne, owszem. Z tym mógłbym się zgodzić. Ale prawda to zupełnie inna sprawa. Określenie "prawdziwy" sugeruje, że odkryłeś związek istniejący niezależnie od twego postrzegania. Który istniałby, czy byś go zauważył, czy nie. I muszę wyznać, że przez całe życie nie natrafiłem na takie związki. Czasem podejrzewam, że ich w ogóle nie ma, że wszelkie ogniwa, powiązania, połączenia i podobieństwa są tylko wytworami myśli, nie mającymi żadnego oparcia w rzeczywistości.

- To dlaczego ziemia nie rozstępuje się pod nogami, by nas pochłonać? - zapytał Bajarz.

- Ponieważ zdołaliśmy ją przekonać, by nie przepuszczała naszych ciał. Może to sir Isaac Newton. Miał zdolność przekonywania. Jeśli nawet ludzkie istoty wątpią w jego wywody, ziemia nie żywi wątpliwości i trwa. - Stary Ben zaśmiał się. Dla niego wszystko było tylko żartem. Nie potrafił się zmusić nawet do wiary we własny sceptycyzm.

Teraz, siedząc z zamkniętymi oczami pod drzewem, Bajarz dostrzegł nowy związek: Starego Bena z opowieścią o Noem. Stary Ben był Chamem, który widział nagą prawdę, sromotną i bezwładną. I śmiał się z niej. Zaś lojalni synowie Kościoła i uniwersytetów podchodzili tyłem, by zakryć ją znowu, by nikt nie mógł oglądać niemądrej prawdy. Świat nigdy nie zobaczył chwili słabości prawdy i wciąż uważał ją za dumną i niezłomną.

Oto prawdziwy związek, pomyślał Bajarz. Oto sens opowieści. Oto spełnienie proroctwa. Prawda, gdy ją zobaczymy, jest śmieszna. A jeśli chcemy ją czcić, nie wolno się jej przyglądać.

Poderwał się na nogi. Musi znaleźć kogoś, komu opowie o swym odkryciu, póki jeszcze w nie wierzy. Jak mówiło jego własne przysłowie: "Zbiornik zbiera, fontanna rozlewa". Nie przekazana opowieść zwietrzeje i stęchnie, skurczy się wewnątrz umysłu. Powtórzona, zachowa świeżość i wszelkie zalety.

Którędy pójść? Piętnaście metrów od drzewa biegła leśna droga prowadząca do dużego, białego kościoła z wysoką niczym dąb wieżą. Widział ją, oddaloną o niecałą milę.

Był to największy budynek, jaki oglądał od opuszczenia Filadelfii. Aby zbudować dla swych zgromadzeń taki wielki dom, miejscowi musieli wierzyć, że mają dość miejsca dla nowo przybyłych. Dobry znak dla wędrownego opowiadacza historii, żyjącego tylko dzięki ufności obcych ludzi, którzy przyjmowali go pod swój dach i karmili, choć nie miał czym płacić. Miał jedynie swoją książkę, pamięć, parę silnych rąk i dwie mocne nogi, które przeniosły go już przez dziesięć tysięcy mil i wystarczą przynajmniej na następne pięć tysięcy.

Droga była zryta kołami wozów, co oznaczało, że jest często używana. W niższych miejscach wyłożono ją kłocami drewna, tworząc twardą, solidną nawierzchnię; po deszczu wozy nie grzęzły w błocie. Zatem tak wygląda przyszłe miasto? Duży kościół wcale nie musi świadczyć o gościnności; może być dowodem ambicji. Takie jest ryzyko wydawania sądów na dowolny temat, pomyślał Bajarz. Każdy skutek ma tysiące możliwych przyczyn, a każda przyczyna tysiące skutków. Zastanowił się, czy nie zanotować tej myśli, ale zrezygnował. Nie było na niej żadnych śladów prócz odcisków jego własnej duszy - ani znaków niebios, ani piekieł. Wiedział zatem, że nie została mu dana. Sam wymusił tę myśl. Nie mogła więc być proroctwem, czyli nie mogła być prawdziwa.

Droga kończyła się na łąkach niedaleko rzeki. Bajarz poznał to po zapachu płynącej wody - miał dobry nos. Wokół stało kilka domów, zaś na największym, bielonym, piętrowym budynku wisiał niewielki szyld z napisem "Weaver".

Szyld na domu oznacza zwykle, że właściciele chcą, by ludzie rozpoznawali to miejsce, choćby nigdy wcześniej go nie widzieli. Inaczej mówiąc, oznacza dom otwarty dla obcych. Bajarz podeszedł więc do drzwi i zapukał.

- Chwileczkę! - krzyknął ktoś ze środka.

Bajarz czekał na werandzie. Z jednej strony dostrzegł kilka wiszących koszy, z których wyrastały splecione liście rozmaitych ziół. Rozpoznał niektóre, użyteczne dla pewnych kunsztów, jak leczenie, znajdowanie, zamykanie i przypominanie. Zauważył też, że oglądane z punktu u podstawy drzwi kosze tworzą idealny heksagram. Efekt był tak wyraźny, że Bajarz przykucnął, a potem położył się na werandzie, by przyjrzeć się dokładniej. Plamy farby na koszach, wymalowane dokładnie we właściwych miejscach, dowodziły, że to nie przypadek. Miał do czynienia ze znakomitym, skierowanym ku drzwiom urokiem ochronnym.

Próbował zgadnąć, czemu ktoś miałby stawiać taki potężny znak, a potem go ukrywać. Bajarz był chyba jedyną osobą w okolicy, która mogła odczuć powiew mocy od czegoś tak pasywnego jak heksagram. Zatem jedyną osobą, która mogła coś zauważyć.

Leżał ciągle i zastanawiał się, gdy ktoś otworzył drzwi.

- Aż tak jesteś zmęczony, przybyszu? - zapytał męski głos.

Bajarz zerwał się.

- Podziwiałem wasze kosze z ziołami. Piękny wiszący ogród.

- To mojej żony - wyjaśnił mężczyzna. - Krząta się przy nich bez przerwy. To ona je zawiesiła.

Czy ten człowiek kłamał? Nie, uznał Bajarz. Nie ukrywał, że kosze tworzyły heksagram wzmacniany splecionymi pędami. Po prostu nie wiedział. Ktoś - pewnie żona, skoro to jej ogród - ochraniał dom, a mąż nie miał o tym pojęcia.

- Wydały mi się bardzo odpowiednie - stwierdził Bajarz.

- Zastanawiałem się, jak ktoś mógł tu dotrzeć, skoro nie słyszałem wozu ani konia.

Ale po waszym wyglądzie poznaję, żeście przyszli pieszo.

- Istotnie, sir.

- A wasz worek nie jest dość pełny, by pomieścić rzeczy na handel.

- Nie handluję rzeczami, sir.

- A czym? Czym można handlować, jeśli nie rzeczami?

- Na przykład pracą - odparł Bajarz. - Pracuję na jedzenie i nocleg.

- Za starzy jesteście, by być włóczęgą.

- Urodziłem się w pięćdziesiątym siódmym, więc mam jeszcze dobre siedemnaście lat, zanim zużyję moje siedem krzyżyków. Poza tym, posiadam pewne talenty.

Mężczyzna jakby się skurczył. Nie ciało. Raczej oczy zapadły się w głęb, gdy mówił:

- Żona i ja sami wszystko robimy, jako że nasi synowie są jeszcze całkiem mali. Nie potrzebujemy pomocy.

Za jego plecami pojawiła się kobieta, właściwie dziewczyna; tak młoda, że twarz jej, choć poważna, nie stała się jeszcze surowa i nie okryła zmarszczkami. Trzymała na ręku dziecko.

- Mamy dość, Armor, by zaprosić gościa na kolację...

Mąż spojrzał niechętnie, lecz stanowczo.

- Moja żona bardziej jest wielkoduszna ode mnie, przybyszu. Powiem wam wprost: wspomnieliście, że macie pewne talenty. Według mojego doświadczenia oznacza to, że jesteście uzdolnieni w sztukach tajemnych. Nie pozwolę na takie rzeczy pod chrześcijańskim dachem.

Bajarz spojrzał na niego nieprzyjaźnie, potem nieco mniej wrogo na żonę. Więc tak się rzeczy miały: ona używała uroków i takich czarów, jakie mogła ukryć przed mężem, a on zdecydowanie odrzucał wszelką magię. Bajarz zastanowił się, co by spotkało żonę, gdyby

mąż odkrył kiedyś prawdę? Mężczyzna, Armor, nie miał chyba morderczych skłonności, ale trudno przewidzieć, jaka przemoc popłynie w żyłach, gdy fala gniewu nie napotka tamy.

- Rozumiem waszą ostrożność, sir - powiedział.

- Widzę, że otoczyliście się czarem ochronnym - stwierdził Armor.

- Samotny, pieszy wędrowiec w dziczy, który dotarł aż tutaj... Musieliście jakoś oddalać od siebie Czerwonych.

Bajarz uśmiechnął się i ściągnął kapelusz, odsłaniając łysą czaszkę.

- Oto prawdziwa osłona, która oślepi ich odbitym splendorem słońca - oświadczył. - Za mój skalp nie dostanę okupu.

- Szczerze mówiąc, Czerwoni są tu spokojniejsi niż gdzie indziej - przyznał Armor. - Jednooki Prorok zbudował sobie miasto na drugim brzegu Wobbish i uczy swoich, żeby nie pili alkoholu.

- Dobra to rada dla wszystkich - stwierdził Bajarz. I pomyślał: Czerwony, który nazywa siebie prorokiem. - Zanim stąd odejdę, muszę porozmawiać z tym człowiekiem.

- Z wami nie zechce mówić - odparł Armor. - Chyba że zmienicie kolor skóry. Od kilku już lat nie przemówił do żadnego Białego. Wtedy miał swoją pierwszą wizję.

- Czy zabije mnie, jeśli będę próbował?

- Raczej nie. Uczy swoich, żeby nie zabijali białych ludzi.

- To również dobra rada.

- Dobra dla Białych, ale dla Czerwonych może się okazać nie najlepsza. Są ludzie, jak choćby ten tak zwany gubernator Harrison z Carthage City, którzy mają jak najgorsze plany wobec Czerwonych, przyjaznych czy nie. - Wciąż miał niechętną minę, ale jednak mówił, i to szczerze. Bajarz ufał ludziom, którzy przed nikim nie kryją swego zdania, nawet przed obcymi, czy wręcz przed wrogami. - W każdym razie - mówił dalej Armor - nie wszyscy Czerwoni wierzą w słowa Proroka. Ci, co popierają Ta-Kumsawę, sprawiają wiele kłopotów nad Hio, więc sporo ludzi przenosi się na północ, w górę Wobbish. Nie zabraknie wam domów, które chętnie przyjmą żebraka. Za to także możecie podziękować Czerwonym.

- Nie jestem żebrakiem, sir - zaprotestował Bajarz. - Mówilem przecież, że z chęcią stanę do pracy.

- Ze swoimi talentami i ukrytymi sztuczkami, zapewne.

Niechęć tego człowieka była wyraźnym przeciwieństwem delikatności i gościnności jego żony.

- A na czym polega wasz talent, panie? - zapytała. - Sądząc z mowy, jesteście człowiekiem wykształconym. Nie nauczycielem chyba?

- Imię zdradza mój talent. Bajarz. Handlarz Opowieści. Mam talent do różnych historii.

- Do ich wymyślania? W tej okolicy nazywamy to kłamstwem. - Im większą przychylność okazywała Bajarzowi żona, tym większy chłód demonstrował mąż.

- Mam talent do zapamiętywania opowieści. I te tylko powtarzam, sir, w których prawdziwość wierzę. A trudno mnie przekonać. Jeśli opowiecie mi swoje historie, a ja wam opowiem swoje, obaj się wzbogacimy na wymianie, ponieważ żaden nie straci tego, z czym zaczynał.

- Nie znam żadnych historii - burknął Armor, choć przecież opowiedział już jedną o Proroku i drugą o Ta-Kumsawie.

- To smutna nowina, a jeśli prawdziwa, to w istocie trafiłem do niewłaściwego domu.
- Bajarz rozumiał, że to rzeczywiście nie jest dom dla niego. Gdyby nawet Armor ustąpił i wpuścił go do środka, Bajarz byłby otoczony podejrzliwością. Nie potrafił żyć, gdy ciągle ktoś patrzył na niego niechętnie. - Bądźcie zdrowi.

Armor jednak nie chciał go puścić tak łatwo. Słowa Bajarza uznał za wyzwanie.

- Dlaczego to niby smutne? Prowadzę spokojne, zupełnie zwyczajne życie.

- Życie człowieka nigdy nie jest dla niego zwyczajne - odparł Bajarz. - A jeśli tak twierdzi, jest to historia z rodzaju tych, których nigdy nie opowiadam.

- Zarzucacie mi kłamstwo? - zapytał Armor.

- Pytam, czy znacie miejsce, gdzie chętniej powitają mój talent.

Bajarz dostrzegł coś, czego Armor nie mógł zauważyć. Kobieta palcami prawej dłoni rzuciła ukojenie, zaś lewą chwyciła męża za rękę. Zrobiła to płynnie i mężczyzna rozluźnił się natychmiast. Kobieta wyszła przed niego.

- Przyjacielu - odpowiedziała. - Jeśli wstąpicie na drogę za tamtym wzgórzem i podążycie nią aż do końca, miniecie dwa potoki, oba z mostami, a wreszcie traficie do domu Alvina Millera. Wiem, że was tam przyjmą.

- Ha - rzekł Armor.

- Dziękuję - powiedział Bajarz. - Ale skąd możecie o tym wiedzieć?

- Przyjmą was na tak długo, jak tylko zechcecie i nigdy nie odepchną, póki chętni będziecie do pracy.

- Chętny jestem zawsze, milady.

- Zawsze chętny? - powtórzył Armor. - Nikt nie jest zawsze chętny. Myślałem, że mówicie tylko prawdę.

- Mówię tylko to, w co wierzę, że jest prawdą. Nie mam pewności, czy jest nią w istocie. Jak nikt z ludzi.

- Dlaczego więc zwracacie się do mnie "sir", kiedy nie jestem szlachcicem, a do niej "lady", chociaż jest równie prosta jak ja?

- Bo nie wierzę w szlachectwo nadane przez króla. Oto dlaczego. On czyni człowieka szlachcicem, gdy jest mu winien przysługę. Nie dba, czy człowiek ów godny jest rycerskiego tytułu. A każda z metres króla zostaje "lady" za to, co robi w królewskiej pościeli. Tak to używają słów Kawalerowie: co drugie jest kłamstwem. Lecz żona wasza, sir, zachowała się jak prawdziwa dama, szlachetna i gościnna. Wy zaś jak prawdziwy rycerz, broniąc swego domostwa przed tym, czego najbardziej się lękacie.

Armor roześmiał się głośno.

- Tak słodka jest wasza mowa, że będziecie musieli przez pół godziny lizać sól, by usunąć z ust smak cukru.

- To mój talent - wyjaśnił Bajarz. - Ale gdy nadejdzie właściwa chwila, potrafię przemówić inaczej, wcale nie słodko. Przyjemnego wieczoru wam, waszej żonie, dzieciom i waszemu chrześcijańskiemu domowi.

Bajarz ruszył po trawie, przez pastwiska. Krowy nie zwracały na niego uwagi, ponieważ naprawdę miał czar ochronny, choć nie z tych, jakie mógłby dostrzec Armor. Usiadł na chwilę w słońcu, żeby rozgrzać rozum i sprawdzić, czy nie pojawi się jakaś myśl. Ale się nie pojawiła. Po południu prawie nigdy nie miał ciekawych myśli. Przysłowie mówi: "Myśl rankiem, działaj w południe, jedz wieczorem, śpij nocą". Dziś już za późno na myślenie. Za wcześnie na jedzenie.

Podążył ścieżką wiodącą do kościoła, który stał na sporym wzgórku, w pewnej odległości od pastwisk. Gdybym był prawdziwym prorokiem, pomyślał, wiedziałbym już, czy zostanę tutaj dzień, tydzień czy miesiąc. I czy Armor zostanie moim przyjacielem, na co mam nadzieję, czy wrogiem, czego się obawiam. Czy jego żona uzyska swobodę korzystania ze swej mocy. I wiedziałbym, czy kiedyś spotkam tego Czerwonego Proroka.

Tyle że to bzdura. Do czegoś takiego wystarczy żagiew. Wiele razy widział, jak żagwie tego dokonują. Zawsze nappełniało go to lękiem, gdyż człowiek nie powinien wiedzieć, co go czeka na ścieżce życia. Nie, on pragnął innego daru, daru prorocstwa. Chciał widzieć nie drobne sprawy kobiet i mężczyzn w ich zakątkach świata, ale raczej wydarzenia w wielkiej skali, kierowane przez Boga. Albo przez Szatana - Bajarz nie był wybredny. Obaj dobrze wiedzieli, co zamierzają, więc każdy z nich musiał wiedzieć to i owo o przyszłości.

Oczywiście, przyjemniej byłoby słyszeć głos Boga. Ślady Szatana, na jakie dotąd natrafił, były bolesne - wszystkie, choć każdy na swój sposób.

Dzień był ciepły, więc drzwi kościoła stały otworem, a Bajarz wpadł do środka razem z muchami. Kościół był równie piękny od wewnątrz co od zewnątrz. Wyraźnie szkockiego obrządku, więc urządzone z prostotą, ale tym przyjemniejszy: przestronny i szeroki, z bielonymi ścianami i szybami w oknach. Nawet ławki i ambonę zrobiono z jasnego drzewa. Ołtarz był jedyną ciemną plamą w całym kościele, więc w naturalny sposób przyciągał wzrok. A że Bajarz miał talent do takich spraw, dostrzegł na nim ślady mokrego dotyku.

Podszedł wolno. Podszedł, bo musiał wiedzieć na pewno; wolno, bo coś takiego nie powinno się znaleźć w chrześcijańskim kościele.

Z bliska jednak nie mógł się mylić. To były takie same ślady, jakie widział na twarzy tego człowieka z Bekane, który zamęczył swoje dzieci na śmierć i chciał zrzucić winę na Czerwonych. Takie same, jakie dostrzegł na klindze miecza, który ściał głowę George'a Washingtona. Przypominały cienką warstewkę brudnej wody, niewidoczną, jeśli nie spojrzało się pod odpowiednim kątem, w odpowiednim świetle. Ale dla Bajarza były widoczne zawsze - miał wyczulone oko.

Wyciągnął dłoń i ostrożnie przytknął palec do najczystszej miejsca. Z najwyższym wysiłkiem utrzymał go tam przez jedną chwilę, tak go parzył. Ręka aż po ramię drżała z bólu.

- Witajcie w domu bożym - odezwał się jakiś głos.

Bajarz odwrócił się, ssąc bolący palec. Nowo przybyły nosił szaty kapłana obrządku szkockiego - tu, w Ameryce, nazywali ich prezbiterianami.

- Chyba nie wbiliście sobie drzazgi? - zapytał.

Łatwiej byłoby odpowiedzieć: Tak, wbilem sobie drzazgę. Ale Bajarz opowiadał tylko historie, w które wierzył.

- Pastorze - rzekł. - Diabeł położył rękę na tym ołtarzu.

Sztuczny uśmiech kapłana zniknął natychmiast.

- Skąd wiecie, że to ślad dłoni diabelskiej?

- To dar boży - wyjaśnił Bajarz. - Widzę.

Pastor przyjrzał mu się z uwagą, niepewny, czy powinien uwierzyć.

- Możecie więc także stwierdzić, gdzie spoczęła dłoń anioła?

- Chyba dostrzegłbym ślady, gdyby działały tu duchy dobra. Widywałem już takie znaki.

Pastor umilkł, jakby chciał zadać bardzo ważne pytanie, ale obawiał się odpowiedzi. Potem drgnął; pragnienie wiedzy wyraźnie go opuściło.

- Nonsens - oświadczył. - Możecie oszukiwać prostych ludzi, ale ja kształciłem się w Anglii. Nie zwiedzie mnie gadanie o tajemnych mocach.

- Ach tak? Jesteście człowiekiem wykształconym.

- I wy także, sądząc z wymowy. Na południu Anglii, o ile mogę to ocenić.

- Akademia Sztuk Lorda Protektora - potwierdził Bajarz. - Jestem dyplomowanym rytownikiem. Ponieważ należycie do obrządku szkockiego, ośmiele się twierdzić, że pewnie widzieliście moje ryciny w podręczniku dla szkółek niedzielnych.

- Nie zwracam uwagi na takie rzeczy - odparł pastor. - Ryciny to strata papieru, który winien być przeznaczony na słowa prawdy. Chyba że ukazują rzeczy, które artysta widział na własne oczy, na przykład anatomię. To, co stworzyła jego wyobraźnia, nie większe ma u mnie poważanie od tego, co sam mogę sobie wyobrazić.

Bajarz podążył do samych źródeł tej tezy.

- A gdyby artysta był jednocześnie prorokiem?

Pastor przymknął oczy.

- Dni proroków minęły. Wszyscy, którzy podają się za proroków, są szarlatanami, jak ten odszczepieńczy, pogański, zapity Czerwony za rzeką. Nie wątpię, że gdyby Bóg zesłał dar proroczy na jednego choćby artystę, wkrótce mielibyśmy setki kreślarzy i pacykarzy, którzy chcieliby uchodzić za proroków. Zwłaszcza gdyby mogli liczyć na lepszą zapłatę.

Bajarz odpowiedział łagodnie, lecz nie mógł pozwolić, by skryte oskarżenie pozostało bez odpowiedzi.

- Człowiek, który za płacę głosi słowo boże, nie powinien krytykować innych, pragnących zarabiać na życie odkrywaniem prawdy.

- Ja zostałem wyświęcony - odparł pastor. - Nikt nie wyświęca artystów. Sami się wyświęcają.

Tego właśnie Bajarz się spodziewał. Gdy tylko kapłan poczuł lęk, że jego przekonania nie potrafią się same obronić, odwołał się do wyższego autorytetu. Rozsądna argumentacja nie była możliwa, gdy sędzią stawał się autorytet. Bajarz wrócił do najważniejszej kwestii.

- Diabeł położył rękę na tym ołtarzu - przypomniał. - Sparzyłem się w palec, kiedy próbowałem go dotknąć.

- Mnie jakoś nigdy nie sparzył.

- Nic dziwnego. Wy jesteście wyświęceni.

Bajarz nie próbował nawet ukryć wzgardy, co wyraźnie rozgniewało pastora. Bajarzowi nie przeszkadzało, gdy ktoś się na niego gniewał. To znaczyło, że słuchał i przynajmniej częściowo wierzył.

- Powiedźcie więc, skoro tak bystre macie oczy - rzekł kapłan. - Powiedźcie, czy tego ołtarza dotknął kiedy posłaniec Boga?

Wyraźnie uważał to pytanie za rodzaj testu. Bajarz nie miał pojęcia, jaka odpowiedź zostanie uznana za poprawną. Zresztą, to bez znaczenia; i tak powiedziałby prawdę.

- Nie.

To była błędna odpowiedź. Pastor uśmiechnął się tryumfalnie.

- To wszystko? Jesteście pewni, że nie dotknął?

Bajarz zastanowił się, czy pastor wierzy, że jego własne wyświęcone ręce pozostawiły znaki woli bożej. Lepiej natychmiast wyjaśnić tę kwestię.

- Na ogół kapłani nie zostawiają śladów jasności na tym, czego dotyczą. Nieliczni tylko są dostatecznie świątobliwi.

Ale pastor nie myślał o sobie.

- Dość już powiedziałeś. Wiem, że jesteś oszustem. Wynoś się z mojego kościoła.

- Nie jestem oszustem. Mogę się mylić, ale nigdy nie kłamię.

- A ja nigdy nie wierzę takiemu, który twierdzi, że nigdy nie kłamię.

- Człowiek zawsze zakłada, że inni są równie cnotliwi jak on. Twarz pastora poczerwieniała ze złości.

- Wynoś się, bo cię sam wyrzucę.

- Chętnie stąd pójde - zapewnił Bajarz. Żwawo ruszył do drzwi. - Mam nadzieję nigdy nie wracać do kościoła, którego kaznodzieja nie dziwi się, że Szatan dotykał jego ołtarza.

- Nie zdziwiłem się, bo ci nie uwierzyłem.

- Uwierzycie. Myślicie też, że dotykał go anioł. Oto historia, która waszym zdaniem jest prawdziwa. A ja wam mówię, że żaden anioł nie mógł dotknąć ołtarza nie zostawiając śladów, których bym nie dostrzegł. A widzę tu tylko jeden ślad.

- Kłamca! Ty sam jesteś wysłannikiem diabła. Chcesz praktykować swoją czarną magię w domu bożym! Przepędzam cię! Odejdź! Zaklinam cię, byś odszedł!

- Myślałem, że kapłani nie używają zaklęć.

- Wynocha! - Ostatnie słowo pastor wykrzyknął głośno, a żyły wystąpiły mu na szyi.

Bajarz wcisnął na głowę kapelusz i wyszedł. Słyszał, jak drzwi za nim zamykają się z trzaskiem.

Maszerował przez wyschniętą, jesienną trawę, aż znalazł drogę prowadzącą do domu, o którym mówiła kobieta. Gdzie podobno go przyjmą.

Bajarz nie był tego taki pewny. Nigdy nie próbował więcej niż trzech wizyt w jednym miejscu. Jeśli po trzech próbach nie znalazł domu, gdzie przyjmowali go pod swój dach, szedł dalej. Tym razem pierwszy przystanek był wyjątkowo nieudany, a drugi okazał się jeszcze gorszy.

Niepokój jednak nie wynikał tylko z niedobrych początków. Jeśli nawet w tym trzecim domu padną na twarze i będą całować jego stopy, Bajarz niezbyt radośnie witał perspektywę pozostania w tej okolicy. Oto miasto tak chrześcijańskie, że szanowany obywatel nie pozwala w swym domu używać sił tajemnych... a ołtarz w kościele nosi diabelskie ślady. A jeszcze gorsze było wszechobecne oszustwo. Tajemne siły działały przed samym nosem Armora, wykorzystywane przez osobę, którą kochał i której ufał najbardziej. A w kościele pastor był przekonany, że to Bóg, nie diabeł wziął w posiadanie jego ołtarz. Czego Bajarz mógł oczekiwać w tym domu na wzgórzu, jeśli nie jeszcze większego szaleństwa i fałszu? Ludzie o zwichniętych charakterach szukają podobnych sobie - wspomnienia Bajarza świadczyły o tym dobitnie.

Kobieta mówiła prawdę: nad potokami przerzucono mosty. Ale nawet to nie było dobrym znakiem. Most przez rzekę to konieczność; most nad szerokim strumieniem to uprzejmość dla wędrowców. Ale po co budować solidne mosty nad potoczkami tak wąskimi, że nawet taki starzec jak Bajarz potrafiłby je przeskoczyć nie mocząc stóp? Mosty były mocne, zakotwiczone w ziemi daleko od brzegów. I oba miały dachy kryte porządną strzechą. Ludzie płacą pieniądze za noclegi w gospodach, które nie są tak szczelne i suche.

Oznaczało to z pewnością, że ludzie na końcu drogi byli przynajmniej równie dziwni jak ci, których Bajarz zostawił za sobą. Powinien chyba zawrócić. Rozwaga nakazywała odwrót.

Lecz rozwaga nie była jego mocną stroną. Całe lata temu Stary Ben powiedział mu: "Dojdiesz kiedyś do samej bramy piekieł, Bill. Żeby tylko sprawdzić, czemu diabeł ma takie paskudne zęby". Musiał istnieć jakiś powód, by zbudować te mosty. Bajarz wyczuwał, że będzie to opowieść warta zapamiętania.

Odległość okazała się mniejsza, niż myślał. Kiedy już miał wrażenie, że droga zagłębi się w nieprzebytą puszcę, ta skręciła ostro na północ i zaraz potem zobaczył najładniejsze gospodarstwo, jakie widział - nawet w spokojnych, zasiedlonych regionach New Orange i Pensylwanii. Dom był spory i zadbane, zbudowany z obrobionych bali by pokazać, że ma przetrwać długo. Stały tam stodoły, szopy, klatki i kojce - wszystko razem tworzyło prawie

całą wioskę. Smuga dymu wznosząca się pół mili dalej dowodziła, że nie do końca się pomylił. W pobliżu stało inne gospodarstwo, korzystające ze wspólnej drogi, a to oznaczało, że mieszka tam ktoś z rodziny. Prawdopodobnie dzieci z żonami. Uprawiają wspólnie ziemię, co wszystkim daje korzyści. To dobrze, gdy bracia dorastając lubią się wzajemnie, a potem uprawiają nawzajem swoje pola.

Bajarz zawsze zmierzał wprost do domu: lepiej od razu zawiadomić o swoim przybyciu, niż kręcić się dookoła i zostać uznanym za złodzieja. Kiedy jednak szedł do drzwi, poczuł, że nagle głupieję i zupełnie nie pamięta, co właściwie chciał zrobić. To był czar ochronny tak silny, że Bajarz nie zdawał sobie sprawy, jak mocno jest odpychany, póki nie znalazł się w połowie drogi do kamiennego budynku nad strumieniem. Zatrzymał się przestraszony. Sądził, że nikt nie ma takiej mocy, by go zawrócić bez jego wiedzy. To miejsce było równie niezwykle jak dwa poprzednie i nie chciał z nim mieć nic wspólnego.

Gdy jednak spróbował wrócić drogą, którą przyszedł, zjawisko się powtórzyło. Znowu szedł w dół pagórka, w stronę kamiennego budynku.

Znów się zatrzymał.

- Kimkolwiek jesteś i czegokolwiek pragniesz - wymruczał. - Pójdę tam z własnej woli albo nie pójdę wcale.

Nacisk od razu zmienił się w lekką bryzę, popychającą go delikatnie w stronę budynku. Wiedział jednak, że jeśli zechce, może zawrócić. Pod wiatr, owszem, ale zdoła to zrobić. Uspokoił się. Ten, kto na niego wpływał, nie zamierzał go zniewolić. A to, jak wiedział, różni dobre zaklęcia od zamaskowanych kajdan dręczyciela.

Ścieżka skręciła lekko w lewo, wzdłuż potoku. Teraz Bajarz widział wyraźnie, że kamienny budynek jest młynem. Dostrzegł koryto młynówki i wysokie koło w miejscu, gdzie miała spływać woda. Nie płynęła. Zrozumiał dlaczego, kiedy podszedł bliżej i zajrzał przez szerokie wrota. Młyn nie został zamknięty na zimę, ale po prostu nigdy nie miał mąki. Wszystkie tryby były na miejscu, brakowało tylko wielkiego, okrągłego młyńskiego kamienia. Przygotowano jedynie fundament z ubitych równo kamieni - gładki, wyczekujący i gotów do pracy.

Był gotów od bardzo dawna. Cała konstrukcja miała przynajmniej pięć lat, sądząc po winoroślach i mchach na ścianach budynku. Wystawienie takiego młyna kosztowało z pewnością mnóstwo pracy. Mimo to wykorzystywano go jak zwykłą stodołę.

Tuż za wrotami kołysał się wóz, gdzie na sianie przewracało się dwóch chłopców. Zwykle przyjazne popychanki; chłopcy byli najwyraźniej braćmi. Starszy miał jakieś

dwanaście, młodszy dziewięć lat. Starszy nie mógł się powstrzymać od śmiechu i tylko dlatego młodszy nie został jeszcze wyrzucony z wozu i za wrota. Nie zauważyli Bajarza.

Nie zauważyli także mężczyzny z widłami w ręku, stojącego na skraju poddasza. Przyglądał się im. Bajarz sądził z początku, że przygląda się z ojcowską dumą. Ale z bliska zauważył, jak ten człowiek trzyma widły: niby oszczep gotów do rzutu. Przez jedną chwilę Bajarz widział oczyma duszy, co ma się zdarzyć: ciśnięte widły uderzają jednego z chłopców, zabijając go z pewnością - jeśli nie zginie natychmiast, to wkrótce umrze od gangreny czy krwotoku brzucha.

To, co zobaczył Bajarz, było morderstwem.

- Nie! - krzyknął. Wbiegł przez wrota, stanął obok wozu i spojrzał na mężczyznę.

Mężczyzna wbił widły i cisnął do wozu wielką porcję siana. Niemal zasypał obu chłopców.

- Przywiozłem was tutaj, żebyście pracowali, niedźwiadki, a nie zawiązywali się nawzajem w supły - zawołał wesoło, drażniąc się z nimi wyraźnie. Mrugnął na Bajarza. Zupełnie, jakby jeszcze przed chwilą nie miał śmierci w oczach.

- Witaj, młody człowieku - powiedział.

- Nie taki młody - odparł Bajarz. Zdjął kapelusz, by naga czaszka wyjawiała jego wiek. Chłopcy wygrzebali się spod siana.

- Na co pan krzyczał? - zapytał młodszy.

- Bałem się, że komuś stanie się krzywda.

- Bijemy się tak przez cały czas - wyjaśnił starszy. - Dajcie rękę. Mam na imię Alvin, tak samo jak tata. - Uśmiech chłopca był zaraźliwy. Choć wystraszony ciemnymi sprawami, na jakie się dziś natknął, Bajarz musiał odpowiedzieć uśmiechem i ująć wyciągniętą dłoń. Alvin Junior ścisnął mu palce jak dorosły mężczyzna. Był silny. Bajarz powiedział to głośno.

- Och, podał wam rybią rękę. Kiedy próbuje ściskania albo wykręcania, rozgniata kości jak malinę. - Młodszy chłopak też wyciągnął rękę. - Mam siedem lat, a Al Junior ma dziesięć.

Wyglądali na więcej. Obaj pachnieli brzydko, kwaśno i ostro, jak zwykle zmęczeni zabawą chłopcy. Bajarzowi to nie przeszkadzało. To ojciec go niepokoił. Czy tylko wyobraźnia podpowiedziała Bajarzowi, że chce zabić synów? Jakież ojciec potrafiłby podnieść morderczą rękę na takich miłych chłopców?

Mężczyzna zostawił widły na poddaszu, zsunął się po drabinie i teraz szedł do Bajarza rozkładając ręce, jakby chciał go uścisnąć.

- Witaj, przybyszu - powiedział. - Jestem Alvin Miller, a to moi dwaj najmłodsi synowie, Alvin Junior i Calvin.

- Cally - poprawił młodszy z chłopców.

- Jest niezadowolony, że nasze imiona się rymują - wyjaśnił Alvin Junior. - Alvin i Calvin. Widzicie, nazwali go podobnie, bo mieli nadzieję, że wyrośnie na taki wspaniały okaz mężczyzny jak ja. Szkoda, że nic z tego nie wyszło.

Calvin pchnął go z udawanym gniewem.

- Z tego, co wiem, on był pierwszą próbą. Dopiero przy mnie wszystko poszło jak należy.

- Zwykle wołamy ich Al i Cally - wtrącił ojciec.

- Zwykle wołasz nas: "cicho bądź" i "chodź no tutaj" - zauważył Cally.

Al Junior pchnął go w ramię, przewracając przy tym na ziemię. Na co ojciec przyłożył but do tylnej części ciała starszego syna i posłał koziołkującego przez wrota. Wszystko w zabawie. Nikomu nic się nie stało. Jak mogłem sądzić, że szykuje się tu morderstwo?

- Przynosicie wiadomość? Może list? - zapytał Alvin Miller. Chłopcy wybiegli na łąkę i wrzeszczeli coś do siebie, więc dorośli mogli porozmawiać w spokoju.

- Niestety - odparł Bajarz. - Jestem zwykłym wędrowcem. Młoda dama w miasteczku powiedziała, że znajdę tu dach nad głową. W zamian za uczciwą pracę, jaką zlecicie moim rękom.

Alvin Miller wyszczerzył zęby.

- Zobaczymy, czy te ręce nadają się do ciężkiej pracy. Wysunął ramię, ale nie po to, by uścisnąć dłoń gościa. Chwycił Bajarza poniżej łokcia i ustawił prawą stopę przy jego stopie. - Dacie radę mnie przerzucić?

- Zanim zaczniemy, powiedzcie tylko, czy lepszą kolację dostanę, jeśli was przerzucę, czy jeśli was nie przerzucę.

Alvin Miller odchylił głowę i zawył jak Czerwony.

- Jak was zwa, przybyszu?

- Bajarz.

- A więc, panie Bajarzu, mam nadzieję, że lubicie smak ziemi, bo pokosztujecie jej, zanim spróbujecie czegoś innego.

Bajarz poczuł, jak zaciska się uchwyt na jego przedramieniu. Ręce miał mocne, ale nie aż tak. Jednak ta zabawa nie polegała tylko na sile. Potrzebny był również spryt, a tego Bajarz miał co nieco. Cofał się lekko pod naporem Alvina Millera, choć tamten nie użył

jeszcze całej swej siły. Potem nagle Bajarz szarpnął mocno do tyłu, ciągnąc za sobą Millera. Zwykle wystarczało to, by przewrócić większego mężczyznę, wykorzystując przeciw niemu jego własną siłę. Lecz Alvin Miller był przygotowany, pociągnął w przeciwnym kierunku i przerzucił Bajarza tak daleko, że ten wylądował wśród kamieni tworzących fundament brakującego młyńskiego kamienia.

W starciu nie było cienia złośliwości, jedynie zamięłowanie do współzawodnictwa. Bajarz nie zdążył jeszcze dobrze upaść, a już Miller pomagał mu się podnieść, pytając, czy nic sobie nie złamał.

- Cieszę się, że nie położyliście jeszcze kamienia - oświadczył Bajarz. - Inaczej pakowalibyście mi teraz mózg z powrotem do czaszki.

- Co? Człowieku, jesteście w okręgu Wobbish! Tutaj nikt nie potrzebuje mózgu.

- Przegrałem - przyznał Bajarz. - Czy to znaczy, że nie pozwolicie mi zapracować na nocleg i posiłek?

- Zapracować? Nie, drogi panie. Na coś takiego się nie zgodzę. - Ale uśmiech na jego twarzy przeczył surowym słowom. - Nie, nie. Możecie pracować, jeśli macie ochotę, bo człowiek lepiej się czuje, kiedy płaci za to, z czego korzysta. Ale prawda jest taka, że pozwoliłbym wam zostać, choćbyście mieli złamane obie nogi i w niczym nie mogli pomóc. Zaraz przy kuchni czeka na was łóżko, a mogę postawić prosiaka przeciw jagodom, że chłopcy zawiadomili już Faith, by przygotowała dodatkową misę do kolacji.

- To bardzo uprzejme z waszej strony.

- Nie ma o czym gadać. Na pewno nic sobie nie złamaliście? Porządnie grzmotnęliście o te kamienie.

- W takim razie powinniście sprawdzić, czy nie pękł który z kamieni.

Alvin roześmiał się znowu, klepnął go w ramię i razem ruszyli do domu.

Taki to był dom. W samym piekle nie słyszało się chyba głośniejszych wrzasków i krzyków. Miller spróbował przedstawić wszystkie dzieci. Cztery starsze dziewczynki były jego córkami. Każda czymś zajęta, równocześnie prowadziła głośnie dyskusję z każdą z sióstr z osobna, przechodząc od kłótni do kłótni, gdy praca zmuszała ją do przenoszenia się z pokoju do pokoju. Wrzeszczące niemowlę było wnukiem, podobnie jak raczkująca czwórka, bawiąca się pod i na stole w Okrągłe Głowy i Kawalerów. Żona Millera, Faith, nie zwracała na to wszystko uwagi. Szykowała kolację. Od czasu do czasu wyciągała rękę, by dać po łapach któremuś z dzieci, ale poza tym nie przerywała pracy... ani jednostajnego potoku poleceń, wymówek, gróźb i skarg.

- Jak możecie w tym wszystkim zachować jeszcze rozsądek? - zdziwił się Bajarz.

- Rozsądek? - powtórzyła. - Myślicie, że ktoś rozsądny wytrzymałby w tym domu?

Miller wprowadził Bajarza do jego pokoju. Tak to określił: "wasz pokój, jak długo macie ochotę w nim zostać". Było tam duże łóżko z poduszką i kocem, a pół ściany przylegało do komina, więc chłód mu nie groził. Podczas wszystkich wędrówek Bajarzowi jeszcze nigdy nie zaproponowano takiego łóżka.

- Dajcie słowo, że waszym prawdziwym imieniem nie jest Prokrust - zażartował.

Miller nie zrozumiał aluzji, ale dostrzegł minę Bajarza. Na pewno już takie widywał.

- Nie kładziemy naszych gości w najgorszym pokoju, Bajarzu. Kładziemy ich w najlepszym. I nie mówmy już o tym.

- W takim razie musicie mi pozwolić wziąć się jutro do pracy.

- Och, jeśli tylko umiecie używać rąk, znajdzie się mnóstwo roboty. A jeśli nie wstydzicie się kobiecej pracy, żonie też przyda się pomoc. Zobaczymy jeszcze.

Po czym Miller wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Drzwi częściowo tylko tłumiły domowe hałasy, ale Bajarzowi taka muzyka nie przeszkadzała. Było dopiero popołudnie, jednak nie mógł się powstrzymać. Odstawił swój tobołek, ściągnął buty i położył się na łóżku. Zaszeleścił siennik, przykryty materacem z pierza. Legowisko było głębokie i miękkie, siano świeże, a wiszące przy kamieniach komina zioła roztaczały zapach tymianku i rozmarynu. Czy w Filadelfii miałem kiedyś takie miękkie łóżko? pomyślał Bajarz. Albo jeszcze wcześniej, w Anglii? Chyba nie, od czasu, kiedy opuściłem łono matki.

W tym domu nikt nie ukrywał tajemnych mocy; wymalowany nad drzwiami heksagram był wyraźnie widoczny. Bajarz rozpoznał wzór. To nie uspokajacz, umieszczony dla stłumienia wszelkiego gwałtu w duszy, która tu spała. Ani ostrzeżenie, ani znak ochronny. Nie miał bronić domu przed gościem ani gościa przed domem. Prosty i czysty, tkwił tu dla wygody. I był idealnie, perfekcyjnie wykreślony, dokładnie we właściwych proporcjach. Trudno jest narysować dokładny heksagram, gdyż składa się z trójkątów. Bajarz nie pamiętał, czy widział kiedyś dokładniejszy.

Nie był więc zaskoczony, kiedy leżąc czuł, jak rozluźniają się mięśnie - jak gdyby łóżko i cały pokój usuwały z ciała zmęczenie dwudziestu pięciu lat włóczęgi. Pomyślał, że kiedy umrze, chciałby, aby grób był równie wygodny jak to łóżko.

Kiedy Alvin Junior szarpnął go za ramię, cały dom pachniał szalwią, pieprzem i smażoną wołowiną.

- Macie akurat dość czasu, żeby iść do wygodki i umyć ręce. Kolacja gotowa.

- Musiałem zasnąć - wyznał Bajarz.

- Po to narysowałem ten heksagram - wyjaśnił chłopiec. - Dobrze działa, prawda?

I pędem wybiegł z pokoju.

Niemal natychmiast do uszu Bajarza dobiegł dziewczęcy głos, wykrzykujący pod adresem Ala najstraszniejsze groźby. Kłótnia trwała w najlepsze, gdy Bajarz szedł do wygodki, a kiedy wracał, wciąż słyszał wrzaski - choć miał wrażenie, że teraz krzyczy inna siostra.

- Przysięgam Alu Juniorze, że kiedy dziś zaśniesz, przyszyję ci skunksa do stóp.

Z tej odległości nie dosłyszał odpowiedzi chłopca, ale wywołała ona kolejną falę pogroźek.

Bajarz słyszał już w życiu krzyki. Czasem wyrażały miłość, a czasem nienawiść. Jeśli nienawiść, starał się odejść jak najszybciej. W tym domu mógł zostać.

Umywszy ręce i twarz był dostatecznie czysty, by Faith powierzyła mu noszenie na stół bochenków chleba - "tylko trzymajcie chleb z daleka od tej waszej dzikiej koszuli". Potem, z miską w dłoni, zajął miejsce w kolejce. Cała rodzina ruszyła do kuchni, wracając z większą częścią prosiaka podzielonego między domowników.

To Faith, nie Miller, poprosiła jedną z dziewcząt o zmówienie modlitwy. Bajarz zauważył, że Miller nawet nie przymknął oczu, choć wszystkie dzieci schyliły głowy i złożyły ręce. Jak gdyby modlitwa była czymś, co toleruje, ale nie popiera. Bajarz bez pytania wiedział, że stosunki Alvina Millera z pastorem tego pięknego kościoła układają się fatalnie. Pomyślał nawet, że Millerowi spodobałoby się przysłowie z jego książki: "Jak gąsienica najpiękniejsze liście wybiera dla złożenia jaj, tak kapłan kładzie swą klątwę na najwspanialszych rozkoszach".

Na czas posiłku krzyki ucichły, co zaskoczyło Bajarza. Każde z dzieci kolejno opowiadało, co zrobiło tego dnia. Wszyscy słuchali, czasem coś radząc albo chwając. Wreszcie, kiedy mięso było tylko wspomnieniem, a Bajarz wycierał chlebem ostatnie ślady sosu, Miller zwrócił się do niego, jak przedtem do wszystkich członków rodziny.

- A wasz dzień, Bajarzu? Czy minął szczęśliwie?

- Przeszedłem kilka mil przed południem i wdrapałem się na drzewo. Zobaczyłem wieżę i trafiłem do miasta. Tam dobry chrześcijanin obawiał się moich tajemnych zdolności, choć żadnych mu nie pokazałem. Tak samo jak kapłan, choć twierdził, że nie wierzy, bym jakieś posiadał. Szukałem jednak posiłku i miejsca do spania, a także szansy, by na nie zapracować. Młoda kobieta zapewniła, że rodzina mieszkająca na końcu pewnego traktu przyjmie mnie pod swój dach.

- To pewnie nasza córka, Eleanor - stwierdziła Faith.

- Tak - przyznał Bajarz. - Teraz widzę, że ma oczy matki, zawsze spokojne, choćby nie wiem co się działo.

- Nie, przyjacielu. Te oczy po prostu widziały już tak wiele, że niełatwo mnie zaniepokoić.

- Mam nadzieję, że zanim odejdę usłyszę opowieść o tych chwilach.

Faith odwróciła głowę, nakładając plaster sera na kromkę chleba dla wnuka.

Bajarz dalej opowiadał o swoim dniu. Nie chciał pokazać, że brak odpowiedzi wprowadził go w zakłopotanie.

- Trakt okazał się niezwykły. Były na nim zadane mosty nad potokami, które dziecko mogłoby przejść w bród, a mężczyzna przeskoczyć. Mam nadzieję usłyszeć historię tych mostów zanim odejdę,

I znowu wszyscy unikali jego wzroku.

- A kiedy wyszedłem z lasu, znalazłem młyn bez młyńskiego kamienia, dwóch chłopców uprawiających zapasy na wozie, młynarza, który zgotował mi najgorszy rzut w moim życiu, i rodzinę, która przyjęła mnie pod swój dach i oddała najlepszy pokój w domu, choć byłem obcym i nie wiedzieli, czy jestem dobrym, czy złym człowiekiem.

- Oczywiście, że jesteście dobrym - zawołał Al Junior.

- Mogę o coś spytać? W swoim czasie spotkałem wielu gościnnych ludzi i mieszkałem w wielu szczęśliwych domach, ale żaden nie był szczęśliwszy od tego, ani nikt tak się nie cieszył z mojego przybycia.

Przy stole zapadła cisza. Wreszcie Faith podniosła głowę i posłała mu uśmiech.

- To dobrze, że uważacie nas za szczęśliwych - powiedziała. - Ale wszyscy pamiętamy inne czasy i może nasze obecne szczęście tym jest słodsze, że zaprawione wspomnieniem zgryzoty.

- Ale dlaczego przyjęliście takiego człowieka jak ja? Tym razem odpowiedział sam Miller.

- Ponieważ kiedyś sami byliśmy obcy, a dobrzy ludzie nas przyjęli.

- Przez pewien czas żyłem w Filadelfii i to nasuwa mi pewne pytanie: czy nie jesteście przypadkiem ze Stowarzyszenia Przyjaciół?

Faith pokręciła głową.

- Jestem prezbiterianką. Moje dzieci również.

Bajarz spojrzał na Millera.

- Ja jestem nikim - wyjaśnił gospodarz.

- Chrześcijanin to nie nikt.

- Chrześcijaninem też nie jestem.
- Aha - zrozumiał Bajarz. - Zatem deistą, jak Tom Jefferson.

Dzieci zamruczały na wzmiankę o sławnym człowieku.

- Bajarzu, jestem ojcem kochającym swoje dzieci, mężem kochającym żonę, farmerem płacącym swe długi i młynarzem bez młyńskiego kamienia. - Miller wstał od stołu i wyszedł. Usłyszeli trzask zamykanych drzwi.

Bajarz zwrócił się do Faith.

- Pani, obawiam się, że musisz żałować mojego przybycia.
- Zadzajecie okropnie dużo pytań - odparła.

- Powiedziałem wam moje imię, a moje imię mówi, czym się zajmuję. Kiedy tylko wyczuję dobrą opowieść, która jest ważna i prawdziwa, pragnę ją usłyszeć. A kiedy jej wysłucham i w nią uwierzę, zapamiętuję na zawsze i opowiadam innym, gdziekolwiek pójdę.

- Tak zarabiacie na życie? - zapytała któraś z dziewcząt.

- Zarabiam pomagając naprawiać wozy, kopać rowy, prząść nici i robiąc wszystko, co trzeba zrobić. Ale pracą mojego życia są historie. Wymieniam je sztuka za sztukę. W tej chwili sądzicie może, że nie macie ochoty mi o niczym opowiadać. Nie szkodzi. Nigdy nie zabieram historii, która nie została opowiedziana z własnej chęci. Nie jestem złodziejem. Ale dziś już znalazłem historię: o wszystkim, co mi się dziś zdarzyło. O najbardziej życzliwych ludziach i najbardziej miłym łóżku między Mizzipy i Alph.

- Gdzie jest Alph? Czy to rzeka? - zapytał Cally.
- Co, chcecie posłuchać historii?

Tak, zawołały dzieci nieskładnym chórem.

- Ale nie o rzece Alph - oświadczył Al Junior. - To nie jest prawdziwe miejsce.

Bajarz spojrzał na niego szczerze zaskoczony.

- Skąd wiedziałeś? Czytałeś zebrane przez lorda Byrona poezje Coleridge'a?

Al Junior rozejrzał się niepewnie.

- Nie mamy tu zbyt wielu książek - wtrąciła Faith. - Pastor daje im lekcje z Biblii, żeby nauczyli się czytać.

- Więc skąd wiedziałeś, że rzeka Alph nie istnieje naprawdę?

Al Junior skrzywił się jakby chciał powiedzieć: nie zadawajcie mi pytań, na które nie znam odpowiedzi.

- Chciałbym usłyszeć historię o Jeffersonie. Mówiliście o nim, jakbyście go znali.

- Znałem go, naturalnie. I Toma Paine, i Patricka Henry'ego zanim go powiesili, i widziałem miecz, który ściął głowę George'a Washingtona. Widziałem nawet króla Roberta

II, zanim w tysiąc osiemset pierwszym Francuzi zatopili jego statek, a jego samego posłali na dno morza.

- Tam, gdzie jego miejsce - mruknęła Faith.

- Jeśli nie głębiej - orzekła któraś ze starszych dziewcząt. - Amen. W Appalachach mówią, że miał na rękach tyle krwi, że nawet kości zabarwiły mu się na brązowo. Najbardziej żarłoczne ryby nie chciały ich obgryzać. Dzieci roześmiały się.

- A jeszcze bardziej niż o Tomie Jeffersonie - dodał Al Junior - chciałbym posłuchać o największym czarodzieju Ameryki. Założę się, że znaliście Bena Franklina.

Po raz kolejny chłopiec go zadziwił. Skąd mógł wiedzieć, że ze wszystkich historii najbardziej lubił opowiadać te o Benie Franklinie?

- Czy znałem? Tak, trochę. - Bajarz wiedział, że jego ton obiecuje wszelkie historie, o jakich tylko zamarzą. - Mieszkałem z nim jakieś sześć lat, a każdej nocy rozstawaliśmy się na osiem godzin... nie mogę powiedzieć, żebym naprawdę dużo o nim wiedział.

Al Junior pochylił się nad stołem, otwierając szeroko oczy. Zapomniał o mruganiu.

- Czy naprawdę był stwórcą?

- Wszystkie historie w odpowiednim czasie - odparł Bajarz. - Dopóki wasz tato i mama zechcą mnie gościć, a ja będę wierzył, że jestem użyteczny, zostanę i będę opowiadał historie dniem i nocą.

- Najpierw o Benie Franklinie - nie ustępował Alvin Junior. - Czy to prawda, że ściągnął z nieba błyskawicę?

Rozdział 10

Wizje

Alvin Junior przebudził się spocony z lęku przed koszmarem. Był tak rzeczywisty, że chłopiec dyszał, jakby próbował ucieczki. Ale wiedział, że nie zdoła uciec. Leżał z zamkniętymi oczami i bał się je otworzyć; wiedział, że gdy to zrobi, koszmar nie zniknie. Dawno temu, jako mały chłopiec płakał głośno. Ale kiedy próbował wytłumaczyć wszystko tacie i mamie, odpowiadali: "To przecież nic, synu. Czy aż tak strasznie boisz się niczego?" Nauczył się więc tłumić szloch i nigdy nie płakał, kiedy przychodził sen.

Otworzył oczy pozwalając, by koszmar skrył się w kątach pokoju. Wtedy nie musiał na niego patrzeć. To wystarczy. Siedź tam i daj mi spokój, nakazał bezgłośnie.

Wtedy zrozumiał, że jest już biały dzień, a mama przyszykowała czystą koszulę, sukienne spodnie i marynarkę. Ubranie na niedzielne wyjście do kościoła. Wolałby raczej powrót koszmara niż takie przebudzenie.

Alvin Junior nienawidził niedzielnych poranków. Nienawidził tego ubrania, w którym nie mógł usiąść na ziemi ani przykłęknąć na trawie, ani nawet się schylić, bo zawsze coś się przekreśliło i mama przypominała, że powinien okazywać trochę szacunku dla święta. I nienawidził chodzenia na palcach, ponieważ trwał dzień Pański, a w taki dzień nie powinno być zabaw ani hałasów. Ale najbardziej nienawidził samej myśli o tym, że będzie musiał siedzieć w twardej ławce z przodu, a wielbny Thrower, patrząc mu w oczy, będzie wygłaszał kazanie o ogniach piekielnych czekających na bezbożnych, którzy lekceważą prawdziwą religię, wierząc raczej w słaby ludzki rozum. Każdej niedzieli było to samo.

Zresztą Alvin wcale nie lekcewał religii. Lekcewał tylko wielbego Throwera. Wszystko przez te godziny w szkole, zwłaszcza teraz, po zbiorach. Alvin Junior dobrze czytał i prawie zawsze podawał dobre wyniki, kiedy przychodziło coś policzyć. Ale Throwerowi to nie wystarczało. Musiał ich przy okazji uczyć religii. Inne dzieci - Szwedzi i Holendrzy z górnego biegu rzeki i Szkoci i Anglicy z dolnego - dostawali najwyżej po razie, kiedy pyskowali albo trzy razy z rzędu, gdy nie umieli odpowiedzieć. Ale na Alvina Juniora Thrower podnosił swoją trzcinkę przy każdej okazji. I nigdy nie chodziło o naukę, a zawsze o religię.

Oczywiście, położenia Alvina nie poprawiał fakt, że Biblia wydawała mu się bardzo zabawna i to w najbardziej nieodpowiednich momentach. Tak właśnie powiedział Measure,

kiedy Alvin uciekł ze szkoły i schował się w domu Davida. Measure znalazł go tuż przed kolacją.

- Gdybyś się nie śmiał, kiedy on czyta Biblię, to byś tak często nie obrywał.

Ale to naprawdę było śmieszne. Kiedy Jonatan wystrzelił w niebo te wszystkie strzały i chybił. Albo kiedy Jeroboam wystrzelił za mało strzał z okna. Albo jak faraon wynajdywał różne chytne sztuczki, żeby zatrzymać Izraelitów. A Samson był taki głupi, że powiedział Dalili o swojej tajemnicy, choć przecież już dwa razy go zdradziła.

- Nie mogę się powstrzymać.

- Pomyśl, że będziesz miał bąble na siedzeniu - poradził Measure. - To powinno zepsuć ci humor.

- Ale nigdy nie pamiętam. Dopiero kiedy już się zaśmieję.

- W takim razie do piętnastego roku życia nie będziesz chyba potrzebował krzesła. Bo mama nie pozwoli ci zostawić tej szkoły, Thrower nie popuści, a nie możesz bez końca chować się u Davida.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ kryć się przed wrogiem to jakby oddać mu zwycięstwo.

Czyli Measure nie będzie go osłaniał; Alvin musi wrócić do domu i dostać lanie od taty, bo wszystkich przestraszył, uciekając i chowając się tak długo. A jednak Measure mu pomógł. Przyjemnie było wiedzieć, że ktoś jeszcze uważa Throwera za wroga Alvina. Wszyscy inni stale powtarzali, jaki Thrower jest wspaniały, pobożny i wykształcony. I taki dobry, że chce napoić dzieci z fontanny swej mądrości. Alvinowi niedobrze się od tego robiło.

Potem Alvin lepiej nad sobą panował w czasie lekcji, więc rzadziej dostawał trzcinką. W niedzielę jednak staczał najcięższe walki. W niedzielę siedział słuchając Throwera i na przemian miał ochotę tarzać się ze śmiechu albo wstać i zawołać: "To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem od dorosłego". Miał nawet wrażenie, że tato nie zbilby go za mocno, bo tato nie miał o pastora najlepszej opinii. Ale mama... nigdy by mu nie wybaczyła bluźnierstwa w domu Pana.

Niedzielne poranki służyły chyba do tego, by dać grzesznikom posmak pierwszego dnia wieczności w piekle.

Mama pewnie nie pozwoli dzisiaj Bajarzowi opowiedzieć nawet króciutkiej historii, chyba że z Biblii. Ale Bajarz jakoś nigdy nie opowiadał historii z Biblii, więc Alvin Junior uznał, że nie ma na co liczyć.

Ze schodów dobiegło wołanie mamy.

- Alvinie Juniorze, co niedzielę guzdrzesz się po trzy godziny. Mam już tak dosyć czekania, że chyba gołego zagonię cię do kościoła.

- Nie jestem goły! - krzyknął Alvin. Ale że miał na sobie nocną koszulę, jego sytuacja była prawdopodobnie jeszcze gorsza, niż gdyby był nagi. Ściągnął flanelową koszulę, zawiesił na kołku i zaczął się ubierać najszybciej, jak tylko potrafił.

To zabawne. W każdy inny dzień wystarczyło sięgnąć tylko po ubranie i zawsze trafiał na to, czego potrzebował: koszula, spodnie, skarpety, buty. Zawsze były pod ręką. Ale w niedzielę rano miał wrażenie, że ubranie przed nim ucieka. Sięgał po koszulę, a trafiał na spodnie. Chciał wziąć pończochę, a chwycił but. I tak bez przerwy. Zupełnie jakby ubranie nie chciało się na niego włożyć równie mocno, jak on nie chciał mieć go na sobie.

Dlatego kiedy mama z hukiem otworzyła drzwi, nie było wyłączną winą Alvina, że nawet nie zdążył wciągnąć spodni.

- Spóźniłeś się na śniadanie! I ciągle jesteś półnagi. Jeśli myślisz, że z twojego powodu cała rodzina spóźni się do kościoła, to lepiej...

- Pomyśl o czymś innym - dokończył Alvin.

Przecież to nie jego wina, że zawsze powtarzała to samo. Ale zezłościła się. To co, miał udawać zaskoczenie, po raz dziewięćdziesiąty od lata słysząc te same słowa? Już się szykowała, żeby mu spuścić lanie, albo zawołać tatę, żeby to zrobił mocniej, gdy nagle w drzwiach stanął Bajarz. Przybył na ratunek.

- Pani Faith - powiedział. - Chętnie wyprawię go do kościoła, jeżeli tylko chcecie z pozostałymi wyjść wcześniej.

Mama natychmiast odwróciła głowę, by Bajarz nie spostrzegł, jak bardzo jest wściekła. Alvin od razu rzucił na nią ukojenie - prawą ręką, żeby nie zauważyła. Gdyby się zorientowała co robi, złamałaby mu rękę, a była to jedyna groźba, w którą Alvin naprawdę wierzył. Bez dotknięcia ukojenie nie działało zwykle za dobrze, ale teraz udało się całkiem nieźle, bo mama i tak próbowała przed Bajarzem wyglądać na spokojną.

- Nie chcę wam sprawiać kłopotu - powiedziała.

- To żaden kłopot, pani Faith - zapewnił Bajarz. - I tak niewiele robię, by wam odplacić za gościnność.

- Niewiele! - rozdrażnienie już prawie całkiem zniknęło z jej głosu. - Mąż twierdzi, że wykonujecie pracę dwóch silnych mężczyzn. A kiedy opowiadacie maluchom historie, w domu jest tak spokojnie i cicho, jak nie było od... od zawsze. - Obejrzała się na Alvina, lecz teraz jej gniew był raczej udawany niż prawdziwy. - Będziesz robił, co Bajarz ci powie, i przyjdiesz szybko do kościoła?

- Tak, mammo. Jak najszybciej.

- Więc dobrze. Dziękuję wam, Bajarzu. Jeśli zmusicie to chłopaczysko do posłuszeństwa, dokonacie rzeczy, która nie udała się jeszcze nikomu od dnia, kiedy nauczył się mówić.

- Okropny z niego bachor - wtrąciła stojąca na korytarzu Mary.

- Zamknij buzię, Mary - rzuciła mama. - Bo wepchnę ci dolną wargę do nosa i przypnę, żeby już tak została.

Alvin odetchnął z ulgą. Kiedy mama zaczynała rzucać nierealne groźby, to nie była już zła. Mary zadarła nos i przedefilowała korytarzem, ale chłopiec się nią nie przejmował. Uśmiechnął się do Bajarza, a Bajarz też się uśmiechnął.

- Trudno ci się ubrać do kościoła, chłopcze? - zapytał.

- Wolałbym raczej okryć się słoniną i wejść w stado głodnych niedźwiedzi.

- Więcej ludzi przeżyło kościół niż spotkanie z niedźwiedziami. - Ale niedużo więcej.

Wkrótce był już ubrany. Namówił Bajarza, by poszli skrótem: przez las i wzgórze za domem, zamiast drogą dookoła. Na dworze było zimno, dość długo już nie padało, a na śnieg jeszcze się nie zanosilo, więc nie będzie błota i mama nawet się nie domyśli. A czego mama nie wie, to nie może Alvinowi zaszkodzić.

- Twój ojciec nie poszedł z mamą, Callym i dziewczętami - zauważył Bajarz.

- Nie chodzi do kościoła - wyjaśnił Alvin. - Mówi, że wielbny Thrower to dureń. Oczywiście wtedy, kiedy mama nie słyszy.

- Przypuszczam.

Stanęli na szczycie pagórka i ponad łąkami spojrzeli w stronę kościoła. Wzgórze, na którym się wznosił, skrywało miasteczko Vigor Kościół. Szron zaczynał dopiero topnieć na pożółklej jesiennej trawie, więc budynek wydawał się najbielszym obiektem w świecie bieli. Błyszczał w słońcu jakby sam był słońcem. Alvin widział zajeżdżające wozy i konie wiązane do palików na łące. Gdyby się pospieszyli, zdążyliby pewnie przed pierwszym hymnem.

Ale Bajarz nie ruszał z miejsca. Usiadł na pniu i zaczął recytować wiersz. Alvin słuchał uważnie, gdyż wiersze Bajarza często miały w sobie prawdziwą moc.

O, jakże się zadziwilem

Wchodząc do Ogrodu Miłości:

Kaplicę zbudowano tam, gdzie niegdyś

W zieleni igrałem beztroski.

Jej wrota mocno zamknięte.
"Nie będziesz" wypisane na wrotach.
Spojrzałem na Ogród, który zawsze
Barwami tyloma migotał.

Tam, gdzie się niegdyś szło po kwiatach,
Teraz ciężkie kamienie nad, grobami.
Kapłani w czarnych szatach szli, by radość oplatać
I tęsknotę moją cierniami.

Tak, Bajarz miał talent, to pewne. Kiedy mówił, cały świat zmieniał się przed oczami Alvina. Łąki i drzewa były jak krzyk wiosny: żywa żółć i zieleń z dziesiątkami tysięcy kwiatów. Zaś biała kaplica pośrodku nie błyszczała już, a przybrała barwę zwietrzałej, kredowej bieli starych kości.

- Radość oplatać i tęsknotę moją cierniami - powtórzył chłopiec. - Rozumiem, że nie poważacie religii.

- Oddycham religią - odparł Bajarz. - Pragnę wizji, poszukuję śladów boskiej ręki. Ale więcej znajduję śladów nieprzyjaciela. Trafiam na plamy lśniącego śluzu, które parzą, gdy ich dotykam. Bóg pozostaje na uboczu, Alu Juniorze, ale Szatan wśród ludzi nie musi obawiać się upadku.

- Thrower mówi, że kościół jest domem Boga.

Bajarz siedział nieruchomo i milczał. Wreszcie Alvin zapytał wprost.

- Widzieliście ślady diabła w tym kościele?

Al nauczył się już, że Bajarz nigdy nie kłamie. Ale kiedy wołał nie udzielać prawdziwej odpowiedzi, mówił wiersz. Teraz też tak zrobił.

Ty chora jesteś, rózo!
Robak, co w nocy leci
Niewidzialny - w ciemności,
W wichurze i zamieci,

Nawiedził twego łoża
Purpurowe wesele
I jego mroczna miłość

Twoje życie spopieli.

Alvin miał dość wykrętnych odpowiedzi.

- Gdybym chciał posłuchać czegoś, czego nie rozumiem, to bym czytał Izajasza.

- To muzyka dla moich uszu, chłopcze, że porównujesz mnie do największego z proroków.

- Co z niego za prorok, kiedy nikt nie pojmuje tego, co napisał. - A może chciał, żebyśmy wszyscy stali się prorokami.

- Nie zależy mi na prorokach - oświadczył Alvin. - O ile wiem, wszyscy kończą tak samo martwi, jak zwykli ludzie.

- Każdy umiera - odparł Bajarz. - Ale niektórzy umarli żyją dalej w swych słowach.

- Słowa nigdy nie są rzetelne. Kiedy coś zrobię, to mam rzecz, którą zrobiłem. Na przykład kosz. Nawet jeśli się połamie, to mam połamany kosz. Ale kiedy coś powiem, wszystko przekręca. Thrower bierze moje własne słowa, przestawia je i sprawia, że znaczą coś całkiem przeciwnego, niż myślałem.

- Spójrz na to inaczej, Alvinie. Jeśli zrobisz jeden kosz, nigdy nie stanie się czymś więcej niż jednym koszem. Ale słowa można powtarzać i znowu powtarzać, aż trafią do ludzkich serc tysiące mil od miejsca, gdzie je wypowiedziałeś. Słowa mogą rosnąć, gdy rzeczy są zawsze tylko tym, czym są.

Alvin spróbował to sobie wyobrazić i w myślach natychmiast pojawił się obraz. Niewidzialne jak powietrze słowa spływały z warg Bajarza i rozbiegały się między ludźmi. Rosły, ale wciąż były niewidzialne.

I nagle wizja uległa przemianie. Zobaczył słowa wybiegające z ust pastora. Były niby drżenie powietrza, rozprzestrzeniające się wszędzie i sączące we wszystko - aż nagle obraz stał się jego koszmarem: strasznym snem przeżywanym każdej nocy i przekłuwającym serce aż po kręgosłup tak, że chłopiec pragnął umrzeć. Świat wypełniał się niewidzialnym, drżącym nic, które wsiąkało w każdą rzecz i rozsadzało ją od wewnątrz. Alvin widział, jak to drżenie toczy się ku niemu niby ogromna kula, i cały czas rośnie. Wiedział ze swego snu, że nawet jeśli zaciśnie pięści, nic rozrzedzi się i przesaczy między palcami; jeśli zamknie usta i oczy, przycisnie się do twarzy, wcieknie do nosa i uszu, a potem...

Bajarz potrząsnął nim mocno. Bardzo mocno. Alvin otworzył oczy. Drżenie powietrza cofnęło się na skraj pola widzenia. Tam właśnie tkwiło prawie cały czas, czekając tuż poza zasięgiem wzroku, czujne jak łasica i gotowe uskoczyć, gdyby odwrócił głowę.

- Co z tobą, chłopcze? - zapytał Bajarz. - Zupełnie nagle ogarnęło cię przerażenie. Jakbyś oglądał straszną wizję.

- To nie była wizja - odparł Alvin. - Raz już miałem wizję i wiem, jak wygląda.

- Naprawdę? Jaka to była wizja?

- Jaśniejący Człowiek. Nikomu o tym nie mówiłem i wolę teraz nie zaczynać.

Bajarz nie naciskał.

- A co widziałeś przed chwilą, jeśli nie wizję?

- To nic. - Powiedział prawdę, choć wiedział, że to żadne wyjaśnienie. Ale nie chciał o tym mówić. Wszyscy się z niego śmiali, że tak się boi niczego.

Ale Bajarz nie pozwolił się zbyć.

- Przez całe życie szukałem prawdziwej wizji, Alu Juniorze. A teraz ty ją zobaczyłeś, w jasny dzień, z otwartymi oczami. Zobaczyłeś coś tak strasznego, że przestałeś oddychać. Powiedz mi, co to było.

- Mówiłem! To było nic! - A potem dodał ciszej: - Nic, ale mogę to widzieć. Jakby powietrze się trzęsło.

- Nic, ale nie jest niewidzialne?

- Przedostaje się do wszystkiego. Sący w najmniejszą szparkę, a potem niszczy. Drży i drży, aż pozostaje tylko pył. A potem trzęsie tym pyłem, a ja próbuję to powstrzymać, ale rośnie i rośnie, przetacza się po wszystkim i w końcu wypełnia całe niebo i całą ziemię.

Alvin nie mógł się opanować. Dygotał z zimna, choć był ubrany grubo jak niedźwiedź.

- Ile razy to już widziałeś?

- Nachodzi mnie odkąd pamiętam. Zwykle po prostu myślę o czym innym i to się cofa.

- Gdzie?

- W tył. Znika z oczu. - Alvin najpierw przyklęknął, a potem usiadł wyczerpany. Usiadł wprost na wilgotnej trawie, w niedzielnych spodniach, ale nawet tego nie zauważył. - Kiedy mówiliście o rozprzestrzeniających się słowach, znowu to zobaczyłem.

- Sen, który wciąż powraca, próbuje przekazać prawdę - oświadczył Bajarz.

Był bardzo podekscytowany całą sprawą. Alvin nie wierzył, by Bajarz sobie wyobrażał jakie to straszne.

- To nie jest jedna z waszych historii, Bajarzu.

- Ale będzie. Kiedy tylko ją zrozumiem.

Usiadł obok chłopca i milczał długo. Alvin czekał, bawiąc się żdźbłem trawy. Wreszcie mu się znudziło.

- Może nie potraficie wszystkiego zrozumieć - mruknął. - Może to tylko moje szaleństwo. Może tracę rozum.

- Słuchaj. - Bajarz nie zwrócił uwagi na słowa Alvina. - Wymyśliłem znaczenie. Teraz o tym opowiem i zobaczymy, czy zdołam uwierzyć.

Alvin nie lubił, kiedy go ignorowano.

- A może to wy dostajecie obłądu? Myśleliście o tym kiedy, Bajarzu?

Bajarz machnął ręką na te wątpliwości.

- Cały wszechświat jest tylko snem w umyśle Boga, a dopóki on śpi, wierzy w ten sen i wszystko pozostaje rzeczywiste. To co widzisz, to Bóg, który się budzi. Budzi się stopniowo, a jego świadomość przesącza się w sen i rozkłada wszechświat. Aż wreszcie Bóg usiądzie, przetrze oczy i powie: "Ależ miałem sen; szkoda, że nie pamiętam, co w nim było". W tej właśnie chwili wszyscy znikniemy. - Spojrzał z zaciekawieniem na Alvina. - Co ty na to?

- Jeśli w to wierzycie, Bajarzu, to jesteście patentowanym durniem, jak mówi Armor-of-God.

- Tak mówi? - Bajarz wyciągnął nagle rękę i chwycił chłopca za rękę. Alvin był tak zaskoczony, że upuścił przedmiot, który trzymał w dłoni. - Nie! Podnieś to! Spójrz, co zrobiłeś!

- Wielkie nieba, bawiłem się tylko.

Bajarz podniósł z ziemi to, co upuścił Alvin. Był to maleńki koszyk średnicy może dwóch centymetrów, wpleciony z jesiennych traw.

- Zrobiłeś to.

- Pewnie tak.

- A dlaczego?

- Po prostu: zrobiłem.

- Nawet o tym nie myślałeś?

- To nie jest żaden koszyk, widzicie przecież. Robiłem takie dla Cally'ego. Kiedy był mały, nazywał je chrapaszczowymi koszami. Prędko się rozlatują.

- Zobaczyłeś wizję niczego, więc musiałeś zrobić coś.

Chłopiec spojrzał na koszyk.

- Chyba tak.

- Zawsze to robisz?

Alvin przypomniał sobie poprzednie wizje drżącego powietrza.

- Zawsze robię różne rzeczy - oznajmił. - To o niczym nie świadczy.

- Ale nie czujesz się dobrze, dopóki czegoś nie zrobisz. Kiedy nawiedzi cię wizja niczego, nie zaznasz spokoju, póki czegoś nie poskładasz.

- Może zwyczajnie muszę to odpracować.

- A nie zwyczajnie pracować, prawda? Rąbanie drzewa nie wystarczy, wybieranie jajek, noszenie wody czy koszenie trawy nie przynoszą ulgi.

Teraz Alvin zaczynał dostrzegać odkrytą przez Bajarza prawidłowość. Starzec miał rację. Chłopiec budził się ze snu i nie mógł sobie znaleźć miejsca, dopóki czegoś nie splótł, nie ułożył stogu siana albo z łusek kukurydzy nie zrobił lalki dla jakiejś bratanicy. To samo, kiedy wizja przychodziła w dzień: nie szła mu praca, póki nie zbudował czegoś, czego przedtem nie było, choćby stosu kamieni albo kawałka muru.

- Zgadłem, prawda? Robisz to za każdym razem?

- Na ogół.

- Więc powiem ci imię tego niczego. To Niszczyciel.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Ani ja, aż do dzisiaj. To dlatego, że woli pozostawać w ukryciu. Jest wrogiem wszystkiego, co istnieje. Chce rozbić każdą rzecz na kawałki, a te kawałki na mniejsze kawałki, aż nic nie pozostanie.

- Jeśli rozbijecie coś na kawałki, a te kawałki na mniejsze kawałki, to nie dostaniecie niczego - zauważył Alvin. - Dostaniecie mnóstwo bardzo małych kawałków.

- Siedź cicho i słuchaj opowieści - przerwał mu Bajarz.

Alvin był przyzwyczajony do tych słów. Bajarz wypowiadał je do Alvina Juniora częściej niż do kogokolwiek innego, nawet do bratanków.

- Nie chodzi mi o dobro i zło - wyjaśnił Bajarz. - Nawet diabeł nie może wszystkiego zniszczyć, bo sam przestałby istnieć, jak wszystko. Najgorsze nawet istoty nie pragną zniszczenia wszystkiego; one chcą tylko wyzyskiwać wszystko dla własnej korzyści.

Alvin nie słyszał nigdy wcześniej słowa "wyzyskiwać", ale brzmiało paskudnie.

- Zatem w wielkiej wojnie między Niszczycielem i wszystkim pozostałym, Bóg i diabeł powinni stanąć po jednej stronie. Ale diabeł o tym nie wie i dlatego często służy Niszczycielowi.

- Chcecie powiedzieć, że diabeł sam siebie atakuje?

- Moja historia nie dotyczy diabła - odparł Bajarz. Kiedy zaczynał opowiadać, był niezmienny jak deszcz. - W wielkiej wojnie z Niszczycielem wszyscy mężczyźni i kobiety

powinni być sprzymierzeńcami. Ale ich wspólny wróg jest niewidzialny, więc nikt się nie domyśla, że nieświadomie mu służy. Nie rozumieją, że wojna jest sprzymierzeńcem Niszczyciela, ponieważ rozbija wszystko, czego dosięgnie. Nie pojmują, że pożar, mord, zbrodnia, chciwość i lubieżność zrywają kruche więzy, które z istot ludzkich tworzą narody, miasta, rodziny, przyjaciół i dusze.

- Musicie naprawdę być prorokiem - stwierdził Alvin. - Nie zrozumiałem ani słowa.

- Prorokiem... - mruknął Bajarz. - Ale to twoje oczy widziały. Teraz pojmuję cierpienie Aarona: głosić słowa prawdy, ale nigdy nie przeżyć własnej wizji.

- Strasznie poważnie traktujecie moje sny.

Bajarz umilkł. Siedział z łokciami na kolanach, wspierając na dłoniach posępną twarz. Alvin próbował odgadnąć, o czym właściwie opowiadał starzec. Z całą pewnością to, co widział w złych snach, nie było rzeczą. Nie było czymś. Więc to pewnie poezja mówić o Niszczycielu jak o osobie. Ale może i prawda; może Niszczyciel nie jest tylko tworem jego wyobraźni, ale istnieje naprawdę, a Alvin jest jedynym człowiekiem, który może go zobaczyć. Może cały świat znalazł się w strasliwym niebezpieczeństwie, a zadaniem Alvina jest walczyć, odepchnąć je i powstrzymać. Z całą pewnością Alvin nie mógł znieść tego snu i starał się go odpędzić. Ale jeszcze nie wymyślił w jaki sposób.

- Powiedzmy, że wam uwierzę - rzekł. - Powiedzmy, że istnieje coś takiego jak Niszczyciel. Przecież zupełnie nic nie mogę na to poradzić.

Na twarz Bajarza wypłynął lekki uśmiešek. Starzec pochylił się i podniósł z trawy mały chrabąszczowy koszyk.

- Czy to wygląda jak zupełnie nic?

- To tylko kępka trawy.

- To była kępka trawy - sprostował Bajarz. - I jeśli rozedrzesz ten koszyk, znowu się nią stanie. Ale teraz, w tej chwili, jest czymś więcej.

- Chrabąszczowym koszem. Wielkie rzeczy.

- Czymś, co zbudowałeś.

- No pewnie. Trawa sama z siebie tak nie rośnie.

- A kiedy to zbudowałeś, odepchnąłeś Niszczyciela.

- Niezbyt daleko - westchnął chłopiec.

- Nie - przyznał Bajarz. - Ale o stworzenie jednego chrabąszczowego koszyka. O tyle właśnie musiał się cofnąć.

Nagle wszystko się ułożyło. Cała historia, którą próbował opowiedzieć Bajarz. Alvin znał wiele przeciwieństw tego świata: dobro i zło, światło i ciemność, wolność i niewola,

miłość i nienawiść. Ale najgłębiej tkwiło stwarzanie i niszczenie. Tak głęboko, że mało kto dostrzegał, iż jest to najważniejsze przeciwieństwo. On jednak zauważał i dlatego stał się wrogiem Niszczyciela. Dlatego Niszczyciel nawiedzał go we śnie. W końcu, Alvin miał talent. Talent do tworzenia porządku, nadawania rzeczom kształtu, jaki mieć powinny.

- W mojej prawdziwej wizji chodziło chyba o to samo.

- Nie musisz mi opowiadać o Jaśniejącym Człowieku - uspokoił go Bajarz. - Nie chcę wścibiać nosa w nie swoje sprawy.

- To znaczy, że wścibiacie nas całkiem przypadkiem?

Po takiej uwadze w domu oberwałby w buzię, ale Bajarz tylko się uśmiechnął.

- Zrobiłem coś złego i nawet tego nie wiedziałem - wytłumaczył Alvin. - Jaśniejący Człowiek przyszedł i stanął przy łóżku. Najpierw ukazał mi wizję tego, co zrobiłem, żebym wiedział, że postąpiłem źle. Mówię wam, płakałem nad własną niegodziwością. Ale potem pokazał mi, do czego może służyć mój talent i teraz pojmuję, że chodzi o to samo, o czym wy mówiliście. Widziałem kamień oderwany od skały. Był zupełnie okrągły, a kiedy przyjrzałem się dokładniej, zobaczyłem cały świat z lasami, zwierzętami, morzami, rybami i wszystkim. Do tego powinienem używać talentu: żeby naprawiać.

Oczy Bajarza błyszczały.

- Jaśniejący Człowiek ukazał ci taką wizję - westchnął. - Wizję, za którą ja oddałbym życie.

- Tylko dlatego, że wykorzystałem talent, by dla własnej przyjemności skrzywdzić innych. Złożyłem wtedy obietnicę, moje najważniejsze ślubowanie: że nigdy nie użyję talentu dla własnego dobra. Tylko dla innych.

- Dobra obietnica - pochwalił Bajarz. - Szkoda, że wszyscy ludzie nie złożą takiego ślubu i nie dotrzymają go potem.

- W każdym razie stąd wiem, że to... ten Niszczyciel nie jest wizją. Jaśniejący Człowiek też nie był. Pokazał mi wizję, ale on sam przy moim łóżku był prawdziwy.

- A Niszczyciel?

- Też jest prawdziwy. On nie istnieje tylko w mojej głowie. On jest naprawdę.

Bajarz pokiwał głową. Nie odrywał spojrzenia od twarzy chłopca.

- Muszę tworzyć rzeczy - stwierdził Alvin. - Szybciej, niż on je rozbija.

- Nikt nie potrafi tak szybko budować. Gdyby wszyscy ludzie na świecie przerobili całą ziemię na miliony milionów milionów cegieł i przez wszystkie dni życia stawiali z nich mur, ten mur rozpadałby się szybciej, niż oni by go budowali. Niektóre części nawet przed budową.

- To bez sensu. Mur nie może runąć, zanim się go nie zbuduje.

- Gdyby robili to dostatecznie długo, cegły rozpadałyby się w chwili, kiedy by je podnosili. Ich dłonie zgniłyby i jak śluz ściekły z kości, aż wreszcie cegły, kości i ciało razem byłyby tylko jednolitym pyłem. A wtedy Niszczyciel by kichnął i rozproszył ten pył w nieskończoność, żeby nigdy nie zebrał się na powrót. Wszechświat stałby się zimny, spokojny, cichy i ciemny, a Niszczyciel mógłby wreszcie odpocząć.

Alvin starał się zrozumieć, o czym mówił Bajarz. Jak wtedy, kiedy w szkole Thrower opowiadał o religii. Alvin z doświadczenia wiedział, że takie myślenie jest rzeczą ryzykowną, ale nie umiał się powstrzymać. Tak jak od zadawania pytań, nawet gdy doprowadzały ludzi do wściekłości.

- Jeśli rzeczy rozpadają się szybciej, niż są budowane, to w jaki sposób cokolwiek jeszcze istnieje? Dlaczego Niszczyciel jeszcze nie wygrał? Co my tu robimy?

Bajarz nie był wielbnym Throwerem. Nie zdenerwował się. Zmarszczył tylko brwi i pokręcił głową.

- Nie wiem. Ale masz rację: nie powinno nas być. Nasze istnienie jest niemożliwe.

- Ale przecież jesteśmy, gdybyście jeszcze tego nie zauważyli. Co to za głupia historia: musimy patrzeć na siebie, żeby się przekonać, że nie jest prawdziwa?

- Przyznaję, że jest to problem.

- Myślałem, że opowiadacie tylko historie, w które sami wierzycie.

- Wierzyłem, kiedy ją opowiadałem.

Wyglądał tak załóżnie, że Alvin wyciągnął rękę i położył mu dłoń na ramieniu, ponieważ płaszcz starca był taki gruby, a dłoń taka lekka, nie był pewien, czy Bajarz w ogóle poczuł jego dotknięcie.

- Ja też wierzyłem. W niektóre fragmenty. Przez chwilę.

- A więc jest w niej trochę prawdy. Może niewiele, ale trochę. - Bajarz odetchnął z ulgą,

Alvinowi to nie wystarczyło.

- To, że w coś wierzycie, nie dowodzi jeszcze, że to prawda. Bajarz szeroko otworzył oczy. No i doigrałem się, pomyślał Alvin.

Teraz się na mnie wścieknie, tak samo jak Thrower. Wszystkich denerwuję.

Nie był zaskoczony, kiedy Bajarz ujął w dłonie jego twarz i przemówił z taką mocą, jakby chciał wbić słowa głęboko w czoło chłopca.

- Wszystko, w co można uwierzyć, jest odbiciem prawdy.

I te słowa rzeczywiście przeniknęły głęboko. Alvin zrozumiał, choć nie potrafił wytłumaczyć, co zrozumiał. Wszystko, w co można uwierzyć, jest odbiciem prawdy. Jeśli coś wydaje mi się prawdziwe, to zawiera prawdę, choć może nie jest prawdziwe do końca. A kiedy przemyślę to dokładnie, może odróżnię prawdziwe fragmenty od fałszywych, i...

Alvin pojął jeszcze coś. We wszystkich sporach z Throwerem chodziło zawsze o to samo: gdy coś nie miało dla niego sensu, wtedy w to nie wierzył i żadne cytaty z Biblii nie mogły go przekonać. A teraz Bajarz zapewniał, że słusznie czynił, nie wierząc w to, co nie miało sensu.

- Panie Bajarzu, czy to znaczy, że jeśli w coś nie wierzę, to nie może być prawda?

Bajarz uniósł brew i przytoczył kolejne przysłowie:

- Nie da się tak przekazać prawdy, by ją zrozumieć i nie uwierzyć. Alvin miał już dość przysłów.

- Czy chociaż raz odpowiecie mi wprost?

- Przysłowie jest szczerą prawdą, mój chłopcze. Nie będę jej naginał, by dopasować do zmieszanego umysłu.

- Jeżeli mam zmieszany umysł, to tylko z waszej winy. Całe to gadanie o ceglach rozpadających się przed zbudowaniem muru...

- Nie uwierzyłeś mi?

- Może i tak. Sam wiem, że gdybym chciał zapleść całą trawę na łące w chrabąszczowe kosze, trawa by zwiędła i zgniła, zanim bym dotarł do końca. A gdybym zaczął budować stodoły ze wszystkich drzew stąd aż do Szumiącej Rzeki, drzewa by uschły i padły, zanim bym doszedł do ostatnich. Nie można zbudować domu z przegniłych bali.

- Chciałem powiedzieć: ludzie nie mogą tworzyć trwałych konstrukcji z nietrwałych elementów. To jest prawo. Ale to, co powiedziałeś, jest przysłowiem na temat tego prawa: nie można zbudować domu z przegniłych bali.

- Wymyśliłem przysłowie?

- Kiedy tylko wrócimy do domu, zapiszę je w swojej książce.

- W zamkniętej części? - zapytał Alvin. A potem przypomniał sobie, że widział tę książkę tylko raz, kiedy podglądał przez szczelinę w podłodze, a Bajarz notował coś przy świecy w swoim pokoju na dole.

Bajarz spojrzał surowo.

- Mam nadzieję, że nigdy nie próbowałeś otworzyć tych klamer?

Chłopiec był urażony. Owszem, mógł podglądać, ale nigdy by się tam nie zakradł.

- Wiem, że nie chcecie, bym czytał tę część. To lepsze zabezpieczenie niż jakieś głupie kłamry. Jeśli tego nie wiecie, to nie jesteście moim przyjacielem. Nie podpatruję waszych tajemnic.

- Tajemnic? - roześmiał się Bazarz. - Zamykam tę część, bo tam wpisuję moje własne notatki. Po prostu nie chcę, żeby inni pisali na tych kartkach.

- Czy inni ludzie wpisują coś na początku?

- Wpisują.

- A co? Czy ja też mogę coś wpisać?

- Wpisują jedno zdanie o najważniejszej rzeczy, jakiej dokonali albo jaką widzieli na własne oczy. To zdanie wystarczy, żebym zapamiętał ich historię. A kiedy trafię do innego miasta, do innego domu, mogę otworzyć książkę, przeczytać zdanie i opowiedzieć.

Ahdnowi przyszedł do głowy zadziwiający pomysł. Przecież Bazarz mieszkał z Benem Franklinem.

- Czy Ben Franklin wpisał coś do waszej książki?

- Napisał w niej pierwsze zdanie.

- O najważniejszej rzeczy, jakiej dokonał?

- Właśnie tak.

- I co to było?

Bazarz wstał.

- Chodźmy do domu, chłopcze, to ci pokażę. A po drodze opowiem historię, która wyjaśni, co napisał.

Alvin poderwał się żywo, chwycił starca za rękaw i niemal zaciągnął z powrotem na ścieżkę.

- Chodźmy szybciej!

Nie wiedział, czy Bazarz postanowił nie iść do kościoła, czy zwyczajnie zapomniał, że tam właśnie się wybierali. Niezależnie od powodu, Alvin był zachwycony skutkiem. Niedziela bez kościoła to niedziela, kiedy warto żyć. Jeśli dodać do tego historie Bazarza i własnoręczny zapis Stwórcy Bena, otrzyma się dzień niemal doskonały.

- Nie ma pośpiechu, mój chłopcze. Nie umrę do południa i ty też nie, a opowiadanie historii wymaga czasu.

- Czy pisał o czymś, co stworzył? - spytał Alvin. - O czymś najważniejszym?

- Właściwie tak.

- Wiedziałem! Dwuogniskowe okulary? Piecyk?

- Ludzie stale mu powtarzali: Ben, jesteś prawdziwym Stwórcą. Ale on zawsze zaprzeczał. Tak, jak zaprzeczał, że jest czarownikiem. Nie mam talentu do mocy tajemnych, mawiał. Po prostu biorę kawałki różnych rzeczy i składam je lepiej. Były już piece, zanim zrobiłem swój piecyk. Były okulary, zanim zrobiłem swoje okulary. Przez całe życie niczego naprawdę nie stworzyłem. Nie tak, jak by to zrobił rzeczywisty Stwórca. Daję wam dwuogniskowe okulary. Stwórca dałby nowe oczy.

- Uważał, że niczego nie stworzył?

- Spytałem go o to tego samego dnia, kiedy zaczynałem pisać swoją książkę. Powiedziałem: Ben, jaka jest najważniejsza rzecz, którą stworzyłeś? A on znowu zaczął powtarzać to, co ci przed chwilą powiedziałem, że niby niczego naprawdę nie stworzył. Więc mówię mu: nie wierzę ci, Ben, wcale nie wierzę. A on na to: Bill, odkryłeś mój sekret. Istnieje jedna rzecz, którą stworzyłem i jest to najważniejsza rzecz, jaką dane mi było oglądać.

Bajarz umilkł. Człapał zboczem wśród suchych liści, szeleszczących głośno pod stopami.

- No, co to było?

- Nie chcesz zaczekać, aż wrócimy i będziesz mógł sam przeczytać?

Wtedy Alvin się zezłościł, naprawdę zezłościł, o wiele bardziej niż chciał.

- Nienawidzę, kiedy ludzie coś wiedzą i nie chcą powiedzieć.

- Nie masz się o co gniewać, mój chłopcze. Powiem ci. Napisał tak: "Jedyną rzeczą, jaką naprawdę stworzyłem, są Amerykanie".

- Przecież to bez sensu. Amerykanie się rodzą.

- Nie masz racji, Alvinie. Dzieci się rodzą. Takie same w Anglii jak w Ameryce. Więc to nie urodziny czynią je Amerykanami.

Alvin zastanowił się przez sekundę.

- Muszą się urodzić w Ameryce.

- To mniej więcej prawda. Ale jeszcze pięćdziesiąt lat temu dziecka urodzonego w Pensylwanii nikt nie nazywał amerykańskim dzieckiem. Było dzieckiem pensylwańskim. A dzieci urodzone w Nowym Amsterdamie były Holendrami, w Bostonie - Jankesami, a w Charlestonie - Jakobinami, Kawalerami albo jeszcze kimś innym.

- Nadal są - zauważył chłopiec.

- W istocie, mój mały, ale są również czymś więcej. Te nazwy, myślał Ben, te nazwy dzielą nas na Wirgińczyków, Orangijczyków, Rhode-Islandczyków, na Białych i Czerwonych, na kwaków, papistów, purytanów i prezbiterian, na Holendrów, Szwedów, Francuzów i Anglików. Stary Ben zrozumiał, że Wirgińczyk nigdy nie zaufa całkowicie

człowiekowi z Netticut, i że biały człowiek nie zaufa czerwonemu. Ponieważ są inni. I powiedział sobie: jeśli mamy tyle nazw, które nas dzielą, to czemu nie stworzyć jeszcze jednej, by nas łączyła? Próbował wielu używanych już wcześniej. Koloniści, na przykład. Ale nie chciał nazywać nas Kolonistami, bo wciąż oglądalibyśmy się na Europę. Zresztą, przecież Czerwoni nie byli kolonistami. Podobnie Czarni, którzy przybyli jako niewolnicy. Rozumiesz problem?

- Szukał nazwy, która określałaby nas wszystkich.

- Właśnie. I tylko jedno mamy ze sobą wspólnego. Wszyscy żyjemy na jednym kontynencie. W Ameryce Północnej. Myślał, czy nie nazwać nas Północnoamerykanami, ale to było za długie. Zatem...

- Amerykanie.

- Ta nazwa określa rybaka na poszarpanym wybrzeżu Nowej Anglii i barona rządzącego swymi niewolnikami w południowo-zachodniej części Dryden. Wodza Mohawków w Irrakwie i holenderskiego kupca w Nowym Amsterdamie. Stary Ben wiedział, że kiedy ludzie zaczną się uważać za Amerykanów, stworzą naród. Nie skrawek jakiegoś wymęczonego, europejskiego kraju, ale jeden nowy naród na nowym lądzie. Zaczął więc używać tego słowa we wszystkich swoich pismach. Almanach Biednego Ryszarda pełen był opisów, jak to Amerykanie to i Amerykanie tamto. A Stary Ben pisał do wszystkich listy, tłumacząc na przykład, że konflikt o władzę nad jakimś terytorium jest problemem, który Amerykanie powinni wspólnie rozwiązać. Europejczycy nie mogą rozumieć, co jest potrzebne Amerykanom. Dlaczego Amerykanie mają ginąć w europejskich wojnach? Dlaczego Amerykanów mają wiązać europejskie precedensy sądowe? W ciągu pięciu lat od Nowej Anglii do Jacobii nie było chyba nikogo, kto nie uważałby się przynajmniej częściowo za Amerykanina.

- Przecież to tylko nazwa.

- Ale nazwa, którą się określamy. I na tym kontynencie dotyczy wszystkich, którzy zechcą ją przyjąć. Stary Ben włożył wiele ciężkiej pracy w to, by ta nazwa dotyczyła jak największej liczby ludzi. Nie pełnił żadnej funkcji, był tylko szefem poczty, a jednak w pojedynkę zmienił nazwę w naród. Król rządził Kawalerami na południu, a ludzie Lorda Protektora władali Nową Anglią na północy. Bill dostrzegł chaos, nadciągającą wojnę i Pensylwanię w samym jej środku. Chciał zapobiec tej wojnie i wykorzystał nazwę "Amerykanie", by do niej nie dopuścić. Sprawił, że Nowa Anglia bała się urazić Pensylwanię, a Kawalerowie kłaniali się w pas, żeby uzyskać od Pensylwanii wsparcie. To Ben apelował o

utworzenie Amerykańskiego Kongresu, który ustaliłby zasady handlu i wprowadził jednolite prawo.

- To było tylko sześć stanów - wtrącił Alvin.

- Stary Ben nie pozwolił podpisać Konwencji, dopóki Irrakwa nie zostanie dołączona jako siódmy stan z trwałymi granicami, gdzie Czerwoni sami będą sobą rządzić. Wielu było takich, co pragnęli narodu ludzi białych, ale Stary Ben nie chciał o tym słyszeć. Jediną drogą osiągnięcia pokoju, twierdził, jest połączenie wszystkich Amerykanów jako równych sobie. Dlatego jego Konwencja nie dopuszcza do niewolnictwa ani nawet poddaństwa. Dlatego nie pozwala, by jedna religia była ważniejsza od innych. Dlatego zabrania rządowi zamykania gazet i krępowania wolnego słowa. Biali, Czarni i Czerwoni; papiści, purytanie i prezbiterianie; bogaci, biedni, żebracy i złodzieje - wszyscy żyjemy według tych samych praw. Jeden naród, stworzony z jednego słowa. - Amerykanie.

- Teraz rozumiesz, czemu uznał to za swe największe dzieło? - A dlaczego sama Konwencja nie jest ważniejsza?

- Konwencja to tylko słowa. Nazwa "Amerykanie" jest ideą, która te słowa stworzyła.

- Ale wciąż nie obejmuje Jankesów i Kawalerów. I nie zapobiegła wojnie, bo ludzie z Appalachów nadal walczą przeciwko królowi.

- Ależ ona obejmuje wszystkich tych ludzi, Alvinie. Pamiętasz historię George'a Washingtona w Shenandoah? Był wtedy lordem Potomac i prowadził największą armię króla Roberta przeciwko bandzie tych biednych obdartusów, która była wszystkim, co pozostało Benowi Arnoldowi. Nikt nie miał wątpliwości, że rankiem Kawalerowie lorda Potomac zdobędą mały fort i przypieczętują klęskę górskiej rebelii Toma Jeffersona. Ale lord Potomac walczył u boku tych górali w wojnach z Francuzami. A Tom Jefferson był jego przyjacielem z dawnych dni. Jego serce nie mogło znieść myśli o zbliżającej się bitwie. Kim był król Robert, że miało się dla niego polać tyle krwi? Rebelianci chcieli tylko dostać na własność swoją ziemię i żeby król nie oddawał ich pod władzę baronów, którzy wyciskaliby z nich podatki, a w końcu zmienili w niewolników równie pewnie, jak Czarnych w Koloniach Korony. Nie spał przez całą noc.

- Modlił się - podpowiedział Alvin.

- Tak twierdzi Thrower - odparł ostro Bajarz. - Ale nikt nie wie na pewno. Kiedy rankiem przemówił do żołnierzy, ani słowem nie wspomniał o modlitwie. Mówił za to o słowie, które stworzył Ben Franklin. Nocą napisał do króla list, w którym rezygnował z dowództwa i zrzekał się ziemi i tytułów. Nie podpisał go "lord Potomac". Podpisał: "George Washington". Rano wyszedł i stanął przez królewskimi żołnierzami w niebieskich płaszczach.

Powiedział im, co uczynił. I jeszcze, że mogą wybierać, każdy z nich, czy będą posłuszni swym oficerom i ruszą do bitwy, czy wolą pomaszerować w obronie wielkiej Deklaracji Wolności Toma Jeffersona. Powiedział: " Wybór należy do was, ale co do mnie..."

Alvin znał te słowa, jak każdy mężczyzna, kobieta i dziecko na całym kontynencie. Teraz lepiej rozumiał ich znaczenie. Wykrzyczał je głośno:

- "Mój amerykański miecz nie przeleje ani kropli amerykańskiej krwi!".

- A kiedy większa część armii odeszła, spośród ludzi lojalnych wobec króla wybrał najstarszego oficera i polecił, by go aresztował. "Złamałem daną królowi przysięgę", powiedział. "Zrobiłem to dla większego dobra, ale jednak złamałem i zapłacę za zdradę". Zapłacił; zapłacił szyją rozrąbaną mieczem. Ale ilu ludzi poza królewskim dworem uważa go za zdrajcę?

- Ani jeden.

- A czy król potrafił od tamtego dnia wygrać choćby jedną bitwę przeciwko Appalachom?

- Ani jednej.

- Żaden z ludzi na polu bitwy w Shenandoah nie był obywatelem Stanów Zjednoczonych. Żaden nie uznawał Konwencji Amerykańskiej. A jednak kiedy Washington powiedział o amerykańskich mieczach i amerykańskiej krwi, zrozumieli, że to określenie odnosi się do nich. Powiedz mi, Alvinie Juniorze, czy stary Ben nie miał racji, kiedy uznał, że jedno słowo było najważniejszą rzeczą, jaką stworzył?

Alvin chciał odpowiedzieć, ale właśnie wtedy weszli na werandę. Zanim zdążyli dojść do drzwi, te otworzyły się nagle, a w progu stała mama. Patrzyła groźnie. Od razu poznał z jej miny, że wpadł w tarapaty. I wiedział dlaczego.

- Chciałem iść do kościoła, mamo!

- Wielu martwych chce iść do nieba - odparła. - I też tam nie trafiają.

- To moja wina, pani Faith - wtrącił Bajarz.

- Z całą pewnością nie wasza, Bajarzu.

- Zaczęliśmy rozmawiać, pani Faith, i chyba zaprzątnąłem uwagę chłopca.

- On się już urodził zaprzątnięty. - Mama nie odrywała wzroku od twarzy Alvina. - Ma to po ojcu. Jeśli się mu nie założy uzdy i siodła, i nie pojedzie na nim do kościoła, nigdy tam nie dotrze. A jeśli mu się nie przybije butów do podłogi, to po minucie już jest za drzwiami. Dziesięcioletni chłopiec, który nienawidzi Pana, to dla jego matki aż nadto wystarczający powód, by zaprzagnęła, żeby się nigdy nie urodził.

Jej słowa trafiły Alvina w samo serce.

- To straszna rzecz pragnąć czegoś takiego - rzekł Bajarz. Mówił bardzo cicho i wreszcie mama przeniosła wzrok na starca.

- Nie pragnę tego - powiedziała po chwili milczenia.

- Przepraszam, mamó - odezwał się Alvin Junior.

- Wejdz. Wysłałam z kościoła, żeby cię poszukać i teraz już nie zdążę wrócić przed końcem kazania.

- Rozmawialiśmy o tylu rzeczach, mamó. O moich snach, o Benie Franklinie, o...

- Teraz chcę słyszeć tylko jedno: jak śpiewasz hymn. Nie byłeś w kościele, więc będziesz siedział w kuchni i śpiewał hymny, a ja zabiorę się do szykowania obiadu.

I tak Alvin nie zobaczył zapisu Starego Bena w książce Bajarza. W każdym razie jeszcze przez wiele godzin. Mama kazała mu śpiewać i pracować aż do obiadu. A po obiedzie tato, duzi chłopcy i Bajarz zaczęli planować jutrzejszą wyprawę do granitowej góry po młyński kamień.

- Robię to dla was - oświadczył Bajarzowi tato. - Więc lepiej się z nami zabierzcie.

- Nigdy was nie prosiłem, żebyście przywieźli kamień.

- Od waszego przybycia nawet dzień nie minął, byście nie wspomnieli, jaka to szkoda, że taki piękny młyn służy za zwykłą stodołę, gdy ludzie w okolicy potrzebują dobrej mąki.

- O ile pamiętam, powiedziałem to tylko raz.

- No, może - zgodził się tato. - Ale ile razy was widzę, od razu myślę o kamieniu.

- Bo żałujecie, że nie było tego kamienia na miejscu, kiedyście mną cisnęli o ziemię.

- On wcale nie żałuje! - zaprotestował głośno Cally. - Bo wtedy już byście nie żyli.

Bajarz tylko się uśmiechnął, a po nim tato. I dalej rozmawiali. Potem żony przyprowadziły bratanków i bratanice na niedzielną kolację. Maluchy tyle razy kazały Bajarzowi śpiewać śmieszna piosenkę, że Alvin zacząłby chyba krzyczeć, gdyby jeszcze raz usłyszał chóralne "Ha ha hi".

Dopiero po kolacji, kiedy dzieci poszły do domu, Bajarz przyniósł swoją książkę.

- Zastanawiałem się już, czy w ogóle macie ją zamiar otworzyć - powiedział tato.

- Czekałem na odpowiednią chwilę.

I Bajarz wytłumaczył, jak ludzie opisywali w książce swe najważniejsze dzieła.

- Mam nadzieję, że mnie nie każecie niczego zapisywać.

- Nie pozwoliłbym wam. Jeszcze nie. Nie opowiedzieliście mi historii waszego najważniejszego czynu. - Głos Bajarza przycichł. - A może tego najważniejszego jeszcze nie dokonaliście?

Tato wyglądał, jakby się trochę zezłościł, a może trochę przestraszył. W każdym razie wstał i podszedł bliżej.

- Pokażcie, co jest w tej książce. Co ludzie uważali za takie ważne.

- Och - zdziwił się Bajarz. - Umiecie czytać?

- Musicie wiedzieć, że jankeskie wykształcenie odebrałem w Massachusetts, zanim jeszcze się ożeniłem i zostałem młynarzem w Zachodnim Hampshire. Długo przed moim przyjazdem tutaj. Może to i niewiele w porównaniu z londyńskim wykształceniem, ale nie napiszecie takiego słowa, którego bym nie przeczytał. Chyba że po łacinie.

Bajarz nie odpowiedział. Otworzył tylko książkę i tato przeczytał pierwsze zdanie.

- "Jedyną rzeczą, jaką naprawdę stworzyłem, są Amerykanie". - Spojrzał ze zdziwieniem. - Kto to napisał?

- Stary Ben Franklin.

- O ile słyszałem, jedyny Amerykanin, jakiego stworzył, był z nieprawego łoża.

- Może Al Junior później wam to wytłumaczy.

Alvin przecisnął się przed nich, by popatrzeć na pismo Starego Bena. Niczym się nie różniło od pisma innych ludzi. Alvin był nieco rozczarowany, choć sam nie wiedział, czego się właściwie spodziewał. Czy litery powinny być złote? Jasne, że nie. Nie ma powodu, by słowa wielkiego człowieka wyglądały na papierze inaczej niż słowa głupca.

Mimo to nie potrafił stłumić uczucia zawodu zwyczajnością pisma. Wyciągnął rękę i przewrócił stronę, potem drugą, wreszcie zaczął przerzucać je szybko. Wszędzie to samo. Wyblakły atrament na pożółkłym papierze.

Z książki błysnęło światło i oślepiło go na moment.

- Nie baw się - powiedział tato. - Jeszcze wyrwiesz kartkę. Alvin obejrzał się na Bajarza.

- Co to za strona, która świeci? - zapytał. - Co jest na niej napisane?

- Świeci? - powtórzył Bajarz.

Wtedy Alvin już wiedział, że tylko on dostrzegł blask.

- Znajdź tę stronę - poprosił Bajarz.

- Podrzej ją - ostrzegł tato.

- Będzie uważał - uspokoił go Bajarz.

Ale tato był wyraźnie zagniewany.

- Alwinie Juniorze, powiedziałem, żebyś zostawił tę książkę.

Alvin chciał posłuchać, ale poczuł na ramieniu dłoń Bajarza.

Starzec przemówił cichym głosem, ale chłopiec czuł, jak palce mężczyzny układają się w znak ochronny.

- Chłopak coś zobaczył. Chcę, żeby mi to odszukał.

Ku zdumieniu Alvina, tato ustąpił.

- Jeśli wam nie przeszkadza, że będziecie mieli książkę całą potarganą przez tego nieuważnego leniucha... - mruknął i zamilkł.

Alvin wziął książkę i zaczął ostrożnie przewracać kartki, jedną po drugiej. Wreszcie rozbłysło światło, które z początku go oślepiło, ale stopniowo przygasło. Jaśniało tylko jedno zdanie. Litery płonęły.

- Widzicie, jak się palą? - zapytał Alvin.

- Nie - odparł Bajarz. - Ale czuję dym. Dotknij słów, które płoną dla ciebie.

Alvin ostrożnie położył palec na początku zdania. Zdziwił się, gdyż ogień nie był gorący, chociaż rozgrzewał. Ogrzał go aż do kości.

Chłopiec zadrżał, gdy ciało opuściły ostatnie resztki jesiennego chłodu. Uśmiechnął się, tak jasne stało się jego wnętrze. Ale niemal w tej samej chwili płomień zgasł, wystygł i zniknął.

- Co tam jest napisane? - spytała mama.

Stała przy stole naprzeciw nich. Nie umiała za dobrze czytać, a w dodatku patrzyła na napis dołem do góry.

Bajarz przeczytał.

- "Narodził się Stwórca".

- Nie było żadnego Stwórcy - zaprotestowała mama. - Od czasu tego, który wodę zmienił w wino.

- Może nie, ale ona tak napisała.

- Kto napisał?

- Taka mała dziewczynka. Mniej więcej pięć lat temu.

- A jaką historię przypomina to zdanie?

Bajarz pokręcił głową.

- Mówiliście przecież, że nie pozwalacie ludziom nic wpisywać, dopóki nie poznacie ich historii.

- Nie widziałem, kiedy to pisała. Zobaczyłem dopiero na następnym postoju.

- Więc skąd wiecie, że to ona? - zdziwił się Alvin.

- Na pewno ona. Nikt inny nie potrafiłby otworzyć uroku, który kładłem wtedy na książkę.

- I nie wiecie, co to znaczy? Nie możecie nawet wytłumaczyć, czemu widziałem płonące litery?

Bajarz znowu pokręcił głową.

- Była córką oberżysty, o ile dobrze pamiętam. Rzadko się odzywała, a kiedy już coś mówiła, to wyłącznie prawdę. Nie kłamała nigdy, nawet z uprzejmości. Uważali ją tam za jędzę. Ale, jak powiada przysłowie: Jeśli zawsze mówisz to, co myślisz, źli ludzie będą cię unikać. Czy coś w tym rodzaju.

- Jak miała na imię? - spytała mama.

Alvin spojrzał na nią zaskoczony. Przecież nie widziała ognistych liter, więc czemu była taka strasznie ciekawa, kto je napisał?

- Przykro mi - odparł Bajarz. - W tej chwili nie przypominam sobie jej imienia. A gdybym nawet pamiętał, nie powiedziałbym.

I nie zdradzę, czy wiem, gdzie mieszkała. Nie chcę, żeby ludzie jej szukali i męczyli pytaniami, na które może woli nie odpowiadać. Powiem tyle: ona była zagwiał i patrzyła oczami prawdy. Jeśli napisała, że narodził się Stwórca, wierzę jej. Dlatego zostawiłem w książce te słowa.

- Chciałbym kiedyś posłuchać jej historii - oświadczył Alvin. - I dowiedzieć się, czemu te litery płonęły.

Podniósł głowę; mama i Bajarz nieruchomo patrzeli sobie w oczy.

I wtedy, na skraju pola widzenia, gdzie prawie, ale niezupełnie mógł go zobaczyć, wyczuł Niszczyciela: drżał niewidzialny, czekając, by rozbić świat na kawałki. Nie myśląc nawet co robi, Alvin wyciągnął ze spodni przód koszuli i zawiązał rogi na węzeł. Niszczyciel zafalował i zniknął mu z oczu.

Rozdział 11

Kamień młyński

Bajarz obudził się, kiedy ktoś szarpnął go za ramię. Za oknem wciąż panowała noc, ale trzeba było się zbierać. Usiadł i przeciągnął się. Ostatnio prawie wcale nie czuł bólu mięśni. Na pewno dzięki miękkiemu łóżku. Mógłbym się do tego przyzwyczaić, pomyślał. Chętnie bym tutaj zamieszkał.

Bekon był tak tłusty, że wyraźnie słyszał dobiegające z kuchni skwierczenie. Miał właśnie wciągnąć buty, gdy Mary zastukała w drzwi.

- Mogę się już pokazać, mniej więcej - zawołał Bajarz. Weszła, trzymając w ręku parę długich, grubych pończoch. - Sama je zrobiłam - powiedziała.

- Nawet w Filadelfii nie dostałbym takich grubych skarpet.

- Zimy w dolinie Wobbish są mroźne i... - Zawstydzila się, spuściła głowę i wybiegła z pokoju.

Bajarz wciągnął pończochy, potem buty. Nie miał wyrzutów sumienia, przyjmując takie prezenty. Pracował ciężko jak wszyscy i wiele zrobił, przygotowując tę farmę do zimy. Był niezłym dekarzem - lubił się wspinać i nie miał zawrotów głowy. Dlatego własnymi rękami zapewnił domowi, stodołom, kurnikom i szopom szczelne i solidne dachy.

Poza tym, bez niczyjego polecenia, przygotował młyn na przyjęcie kamienia. Osobiście załadował zalegające tam siano, pełne pięć wozów. Bliźniacy, którzy nie gospodarzyli jeszcze całkiem samodzielnie, jako że obaj ożenili się dopiero zeszłego lata, rozładowywali wozy w wielkiej stodole. Załatwili wszystko, a Miller nawet nie dotknął wideł. Bajarz tego dopilnował. Zresztą Miller nie nalegał.

Inne sprawy nie szły tak dobrze. Ta-Kumsaw i Czerwoni Shaw-Nee przepędzali z okolic Carthage tylu osadników, że nawet tutaj wszyscy trzęśli się ze strachu. Owszem, Prorok miał na drugim brzegu to swoje wielkie miasto z tysiącami Czerwonych, a wszyscy oni zapewniali, że nigdy już i z żadnych powodów nie przyłożą ręki do wojny. Lecz wielu Czerwonych myślało podobnie jak Ta-Kumsaw: że Białych trzeba zepchnąć na brzeg Atlantyku i wypędzić z powrotem do Europy, na statkach albo i bez. Mówiono o wojnie. Chodziły słuchy, że Bill Harrison z Carthage aż nazbyt chętnie rozdmuchuje płomień wrogości. Nie wspominając już o Francuzach z Detroit, zawsze zachęcających Czerwonych

do napadów na amerykańskich osadników zajmujących ziemie, które Francja uznawała za część Kanady.

Mieszkańcy Vigor Kościół o niczym innym nie rozmawiali, ale Bajarz wiedział, że Alvin Miller nie traktuje całej sprawy poważnie. Uważał Czerwonych za wioskowych błaznów, którzy chcą tylko wypić tyle whisky, ile wpadnie im w ręce. Bajarz spotykał się już z takim podejściem, ale wyłącznie w Nowej Anglii. Jankesi nie mogli jakoś zrozumieć, że wszyscy Czerwoni mający choć trochę oleju w głowie, już dawno przenieśli się do stanu Irrakwa. Przejrzeliby na oczy, gdyby zobaczyli, że Irrakwa wprowadza wszędzie maszyny parowe ściągnięte prosto z Anglii, a w okolicy Jezior Palców pewien Biały nazwiskiem Eli Whitney buduje im fabrykę, produkującą karabiny dwadzieścia razy szybciej niż jakakolwiek inna. Pewnego dnia Jankesi się obudzą i przekonają, że nie wszyscy Czerwoni myślą tylko o whisky. Niektórzy będą musieli się zdrowo pospieszyć, żeby nadrobić straty.

Na razie jednak Miller nie przejmował się opowieściami o wojnie.

- Wszyscy wiedzą, że w puszczy siedzą Czerwoni - mawiał. - Nie można im zabronić włóczenia się po okolicy, ale jak dotąd nie zniknął mi ani jeden kurczak. Nie widzę problemu.

- Jeszcze bekonu? - zapytał teraz, podsuwając Bajarzowi deskę z przysmażonymi plastrami.

- Nie jestem przyzwyczajony, by jadać takie sute śniadania. Odkąd do was przybyłem, więcej zjadam na jeden posiłek, niż wcześniej przez cały dzień.

- Musicie nabrać trochę ciała - oświadczyła Faith.

Położyła mu na talerz dwie gorące bułeczki posmarowane miodem.

- Nie zmieszczę już ani kęsa - protestował Bajarz.

Bułeczki zniknęły z talerza.

- Mam je - zawołał Alvin Junior.

- Nieładnie tak sięgać przez stół - zwrócił mu uwagę ojciec. - Zresztą, nie dasz rady zjeść obu.

Al Junior w zdumiewająco krótkim czasie wykazał fałsz tego twierdzenia. Potem wszyscy zmyli z rąk ślady miodu, włożyli rękawice i wyszli do wozu. Kiedy na wschodzie zajaśniał pierwszy brzask, nadjechali David i Calm. Ich farmy leżały bliżej miasta niż gospodarstwo rodziców. Al Junior wdrapał się na wóz, między narzędzia, liny, namioty i prowiant - wyprawa miała potrwać kilka dni.

- Czekamy na Measure'a i bliźniaków? - zapytał Bajarz.

Miller wskoczył na kozioł.

- Measure pojechał przodem. Ma zrąbać kilka drzew na sanie. A Wastenot i Wantnot zostają tutaj. Będą krążyć od domu do domu. - Wyszczерzył zęby. - Nie mogę zostawić kobiet bez ochrony, kiedy tyle się mówi o dzikich Czerwonych buszujących po okolicy.

Bajarz uśmiechnął się. Dobrze wiedzieć, że Miller nie jest taki naiwny.

Od kamieniołomu dzieliła ich spora odległość. Po drodze minęli szczątki wozu z pękniętym młyńskim kamieniem.

- To nasza pierwsza próba - wyjaśnił Miller. - Ale oś wyschła i zakleszczyła się przy zjeździe z tego pagórka. W rezultacie wóz pękł pod ciężarem kamienia.

Dotarli do niewielkiej rzeczki. Miller opowiedział, jak dwa kolejne kamienie próbowali spławić na tratwach. Ale obie tratwy przechyliły się i zatoneły.

- Mieliśmy pecha - stwierdził.

Jednak wyraz jego twarzy wskazywał, że uważa to za działanie skierowane osobiście przeciw sobie. Jak gdyby ktoś specjalnie się starał, by nie dowieźli kamienia.

- Dlatego teraz użyjemy sań na rolkach - wtrącił z tyłu Al Junior. - Nic nie odpadnie, nic się nie złamie, a gdyby nawet, to przecież tylko belki. Nie braknie nowych na zamianę.

- Byle tylko nie spadł deszcz - mruknął Miller. - Albo śnieg.

- Niebo jest czyste - zauważył Bajarz.

- Niebo jest kłamcą. Kiedy mam coś zrobić, woda zawsze wchodzi mi w paradę.

Kiedy dotarli do kamieniołomu, słońce stało już wysoko, choć sporo czasu zostało jeszcze do południa. Oczywiście, droga powrotna potrwa o wiele dłużej. Measure zrąbał już sześć solidnych młodych drzew i około dwudziestu mniejszych. David i Calm natychmiast przystąpili do pracy; ścinali gałęzie i obrabiali pnie tak, by były możliwie okrągłe i gładkie. Ku zdumieniu Bajarza, Al Junior chwycił torbę z narzędziami kamieniarskimi i ruszył w stronę skał.

- Gdzie idziesz? - zawołał starzec.

- Muszę znaleźć odpowiednie miejsce - odparł Alvin.

- On ma oko na kamienie - wyjaśnił Miller.

Ale chyba nie mówił wszystkiego.

- A kiedy znajdziesz kamień, co wtedy zrobisz? - zapytał Bajarz.

- Wyciosam go. - Alvin kroczył po ścieżce z dumą chłopca, któremu powierzono zadanie godne mężczyzny.

- Ma też niezłą rękę do kamieni - dodał Miller.

- Przecież skończył dopiero dziesięć lat!

- Pierwszy kamień wyciosał, kiedy miał sześć.

- Mówicie, że to talent?
- Nic nie mówię.
- Powiedzcie mi jedno, Alu Millerze. Nie jesteście przypadkiem siódmym synem?
- Czemu pytacie?

- Siódmy syn siódmego syna rodzi się z wiedzą o tym, jak rzeczy wyglądają pod powierzchnią. Tak mówią ci, którzy znają się na takich sprawach. Dlatego może zostać dobrym różdżkarzem.

- Tak mówią?

Measure stanął przed ojcem i oparł ręce na biodrach. Spojrzał z rozdrażnieniem.

- Tato, co złego w tym, że mu powiesz? Wszyscy w okolicy i tak przecież wiedzą.
- Może uważam, że ten Bajarz już wie za dużo jak na mój gust.
- To niewdzięczność mówić coś takiego do człowieka, który tyle razy okazał się przyjacielem.

- Nie musi mi mówić niczego, czego nie powinienem wiedzieć, jego zdaniem - wtrącił Bajarz.

- W takim razie ja wam powiem - zdecydował Measure. - Tak, tato jest siódmym synem.

- I Alvin Junior także - domyślił się Bajarz. - Mam rację? Nie wspominaliście o tym, ale jeśli syn dostaje imię ojca i nie jest pierworodny, to musi być siódmym synem.

- Nasz najstarszy brat, Vigor, utonął w Hatrack ledwie kilka minut po urodzinach Alvina - wyjaśnił Measure.

- Hatrack... - powtórzył Bajarz.

- Znacie to miejsce?

- Znam wszystkie miejsca. Ale wydaje mi się, że powinienem pamiętać tę nazwę. Nie mam pojęcia dlaczego. Siódmy syn siódmego syna. Czy wyczaruje ze skały młyński kamień?

- Nie mówimy o tym w taki sposób - odparł Measure.

- Wyciosa go - wtrącił Miller. - Jak każdy kamieniarz.

- To duży chłopiec, ale jeszcze chłopiec - zauważył Bajarz.

- Powiedzmy, że kiedy on tnie kamień, to skała jest odrobinę bardziej miękka, niż kiedy ja próbuję ciąć - wyjaśnił Measure.

- Byłbym wdzięczny - stwierdził Alvin Miller - gdybyście zostali tutaj i pomogli przy wygladzaniu pni. Potrzebne będą solidne, mocne sanie i gładkie, równe belki.

Wprawdzie nie powiedział tego wprost, ale ton głosu mówił całkiem wyraźnie: Zostańcie tutaj i nie pytajcie zbyt wiele o Alę Juniora.

Bajarz pracował więc obok Davida, Calma i Measure'a przez cały ranek i sporą część popołudnia. Cały czas słyszeli równe brzęknięcia metalu o kamień. Kamieniarska robota Ala Juniora nadawała rytm ich pracy, choć żaden nie wspomniał o tym głośno.

Bajarz nie był jednak człowiekiem, który może pracować w milczeniu. Ponieważ jego towarzysze nie zdradzali chęci do rozmowy, przez cały czas opowiadał im historie. A że byli dorosłymi ludźmi, nie dziećmi, opowiadał nie tylko o przygodach, bohaterskich czynach i poległych herosach.

Prawie całe popołudnie poświęcił na sagę Johna Adamsa. Opowiedział, jak tłum w Bostonie spalił mu dom, kiedy Adams wywalczył uniewinnienie dziesięciu kobiet oskarżonych o czary. Jak Alex Hamilton zaprosił go na wyspę Manhattan, gdzie razem założyli kancelarię prawniczą. Jak po dziesięciu latach przekonali rząd holenderski, by wyraził zgodę na nieograniczoną imigrację osadników anglojęzycznych; Anglicy, Szkoci, Walijczycy i Irlandczycy stworzyli większość w Nowym Amsterdamie i New Orange oraz znaczącą mniejszość w Nowych Niderlandach. Jak w 1780 roku doprowadzili do uznania angielskiego za drugi język urzędowy - w samą porę, by holenderskie kolonie stały się trzema z początkowych siedmiu stanów złączonych Konwencją Amerykańską.

- Założę się, że Holendrzy znienawidzili tych biedaków - westchnął David.

- Za dobrzy byli z nich politycy - odparł Bajarz. - Obaj nauczyli się mówić po holendersku lepiej od większości Holendrów, a dzieci kształcili w holenderskich szkołach. Byli holenderscy po same uszy; kiedy Alex Hamilton kandydował na gubernatora Nowego Amsterdamu, a John Adams na prezydenta Stanów Zjednoczonych, lepiej im szło w holenderskich okręgach Nowych Niderlandów niż między Szkotami i Irlandczykami.

- Ciekawe, czy gdybym kandydował na burmistrza, skłoniłbym tych Szwedów i Holendrów znad rzeki, żeby na mnie głosowali? - zastanowił się David.

- Nawet ja bym na ciebie nie głosował - zażartował Calm.

- A ja bym głosował - oznajmił Measure. - Mam nadzieję, że kiedyś naprawdę wystartujesz w wyborach na burmistrza.

- On nie może - zaprotestował Calm. - Vigor Kościół nie jest nawet porządnym miastem.

- Ale będzie - zapewnił Bajarz. - Widywałem już takie rzeczy. Kiedy uruchomicie młyn, nie minie wiele czasu, a przynajmniej trzystu ludzi zamieszka między tym młynem a Vigorem Kościół.

- Tak myślicie?

- W tej chwili farmerzy trzy, może cztery razy do roku przyjeżdżają do składu Armora. Ale jeśli będą mogli dostać mąkę, zaczną się zjawiać częściej. Przez jakiś czas będą też wybierać wasz młyn spośród wszystkich innych w okolicy, bo macie porządne drogi i solidne mosty.

- Jeśli młyn przyniesie jakieś pieniądze - rzekł Measure - tato sprowadzi z Francji buhrstonowe żarna. Mieliśmy takie w West Hampshire, zanim powódź zniosła młyn. A buhrstonowe żarno to miałka, biała mąka.

- A biała mąka oznacza dobry interes - dokończył David. - My, starsi, jeszcze to pamiętamy. - Uśmiechnął się tęsknie. - Byliśmy tam kiedyś prawie bogaci.

- Właśnie - podjął Bajarz. - Kiedy zacznie się ruch, to już nie będzie tylko skład, kościół i młyn. Tu, w Wobbish, jest dobra, biała glina. Jakiś garncarz otworzy interes i zacznie dla całej okolicy produkować gliniane i kamionkowe naczynia.

- Dobrze, żeby się z tym pospieszył - westchnął Calm. - Moja żona ma już serdecznie dość jedzenia na blaszanych talerzach.

- Tak rosną miasta - mówił dalej Bajarz. - Dobry sklep, kościół, potem młyn, potem garncarnia. Cegielnia też, przy okazji. A kiedy miasto już się rozwinie...

- David może zostać burmistrzem - dokończył Measure.

- Nie ja - zaprotestował David. - Cała ta polityka to za dużo na mój rozum. Armor na pewno zechce. Ja nie.

- Armor chce być królem - mruknął Calm.

- Jesteś niesprawiedliwy.

- Ale to prawda. Próbowaliby zostać Bogiem, gdyby sądził, że to stanowisko jest wolne.

- Calm i Armor niezbyt się lubią - wyjaśnił Bajarzowi Measure.

- Co to za mąż, który nazywa żonę czarownicą? - mruknął rozgoryczony Calm.

- Dlaczego tak ją nazywa? - zdziwił się Bajarz.

- Teraz już tego nie robi - odparł Measure. - Obiecała, że nie będzie ich więcej używać. Wiecie, żadnych swoich talentów przy kuchni. To straszne, że kobieta musi prowadzić gospodarstwo jedynie z pomocą własnych rąk.

- Wystarczy - przerwał David.

Bajarz pochwycił kątem oka jego ostrzegawcze spojrzenie.

Najwyraźniej nie ufali mu dostatecznie, by zdradzić prawdę. Dlatego Bajarz wołał od razu wyjaśnić, że już ją poznał.

- Mam wrażenie, że korzysta z talentów częściej, niż Armor podejrzewa. Na werandzie jest taki sprytny heksagram z koszy ziół. A w dniu, kiedy przybyłem do miasta, na moich oczach rzuciła na niego ukojenie.

Praca na moment zamarła. Nikt na niego nie spojrzał, ale przez sekundę nie robili nic. Przetrawiali fakt, że Bazarz znał sekret Eleanor i nie zdradził go obcym. Ani Armorowi-of-God Weaverowi.

Czym innym jednak była jego wiedza, a czym innym ich potwierdzenie. Dlatego bez słowa wrócili do zestawiania belek i wiązania sań.

Bazarz przerwał ciszę, wracając do zasadniczego wątku.

- To tylko kwestia czasu, zanim w tych zachodnich krainach zamieszka dość ludzi. Wtedy określą się jako stany i zechcą przyłączyć do Konwencji Amerykańskiej. Kiedy to nastąpi, potrzebni będą uczciwi ludzie na stanowiska.

- W tej dziczcy nie znajdziecie Hamiltonów, Adamsów ani Jeffersonów - westchnął David.

- Może nie. Ale jeśli wy, miejscowi, nie wybieriecie własnego rządu, to z pewnością znajdzie się masa ludzi z miasta, którzy chętnie zrobią to za was. Właśnie tak Aaron Burr został gubernatorem Suskwahenny, zanim w dziewięćdziesiątym dziewiątym zastrzelił go Daniel Boone.

- Mówicie, jakby go zamordował - zaprotestował Measure. - To był uczciwy pojedynek.

- Moim zdaniem - odparł Bazarz - pojedynek to po prostu dwóch morderców, którzy uzgodnili, że po kolei będą próbowali się zabić.

- Nie wtedy, kiedy jeden jest swoim chłopem ze wsi, a drugi kłamliwym, miejskim oszustem.

- Nie chcę, żeby jakiś Aaron Burr został gubernatorem Wobbish - oświadczył David. - Bill Harrison w Carthage City jest do niego podobny. Wolę już głosować na Armora niż na niego.

- A ja wolałbym głosować na ciebie niż na Armora - stwierdził Bazarz.

David burknął coś niewyraźnie. Wiązał belki sań, oplatając liną wyrąbane w nich nacięcia. Bazarz robił to samo po drugiej stronie. Kiedy skończył, zaczął wiązać dwa końce liny.

- Zaczekajcie z tym - zawołał Measure. - Sprowadzę Ala Juniora. I pobiegł z boczem w stronę kamieniołomu.

Bazarz wypuścił linę.

- Alvin Junior wiąże węzły? Wydawało mi się, że dorośli mężczyźni zwiążą je mocniej.

- On ma talent - uśmiechnął się David.

- A wy nie macie?

- Parę mamy.

- David ma talent do dam - poinformował Calm.

- A Calmowi stopy same tańczą kadryla. I nikt nie umie tak grać na skrzypkach. Nie zawsze do rytmu, ale ostro posuwa smykami.

- Measure jest świetnym strzelcem. Ma oko na rzeczy tak dalekie, że większość ludzi ich nie dostrzega.

- Mamy różne talenty. Bliźniaki jakoś wiedzą, kiedy szykują się kłopoty. I zawsze zjawiają się tam na czas.

- A tato składa rzeczy razem. To on zestawia deski, kiedy robimy meble.

- A kobiety mają talenty do kobiecych spraw.

- Ale nie ma drugiego takiego jak Al Junior - podsumował Calm.

David poważnie skinął głową.

- Rzecz w tym, Bajarzu, że on jakby o tym nie wiedział. Wiecie, jakby był zdziwiony, kiedy coś dobrze pójdzie. I zawsze jest bardzo dumny, kiedy damy mu jakąś pracę. Nie widziałem jeszcze, żeby zadzierał nosa, bo ma więcej talentu niż inni.

- Dobry chłopak - orzekł Calm.

- Trochę niezgrabny - dodał David.

- Nie niezgrabny - zaprotestował Calm. - To zwykle nie jego wina.

- Powiedzmy, że wokół niego częściej trafiają się wypadki. - Ale nie nazwałbym go jonaszem - stwierdził Calm.

- Nie. Jonaszem bym go nie nazwał.

Bajarz zauważył, że jednak obaj wypowiedzieli to słowo. Nie komentował tej nieostrożności. W końcu to trzeci głos utwierdza pecha. Milczenie będzie najlepszym lekarstwem na nieuwagę. Szybko zresztą zrozumieli swoją pomyłkę. Nie odzywali się.

Po chwili wrócił Measure z Alvinem Juniorem. Bajarz nie ośmielił się odezwać trzecim głosem, gdyż brał wcześniej udział w rozmowie. Jeszcze gorzej, gdyby to Al przemówił, ponieważ to jego powiązano z jonaszem. Dlatego Bajarz spojrzał na Measure'a i uniósł brew, dając mu znać, że ma coś powiedzieć.

Measure sądził, że Bajarz zadaje mu pytanie, więc odpowiedział:

- Nie. Tato zostanie na noc przy skale. Na straży.

Bajarz słyszał, jak David i Calm oddychają z ulgą. Trzeci głos nie miał na myśli jonasza, a zatem Al Junior był bezpieczny.

Teraz dopiero Bajarz mógł się spokojnie zastanowić. Dlaczego Alvin Miller uważa, że powinien zostać w kamieniołomie na straży?

- Co może się stać? Nie słyszałem jeszcze, żeby Czerwoni ukradli skałę.

Measure mrugnął do niego.

- Czasem zdarzają się tu bardzo dziwne rzeczy. Zwłaszcza młyńskim kamieniom.

Al żartował już z Davidem i Calmem, zawiązując przy tym supły na linie. Starał się ściągnąć je najmocniej jak potrafił, Bajarz widział jednak, że nie w samym węźle objawia się talent chłopca. Kiedy Al Junior zaciągał liny, te jakby skręcały się i wgryzały w drewno na wszystkich nacięciach; silniej wiązały sanie. Rzecz była dość subtelna i gdyby Bajarz specjalnie się nie przyglądał, niczego by nie zauważył. Ale tak było. Co Al Junior połączył, trzymało się mocno.

- Są takie mocne, że mogłyby służyć za tratwę - stwierdził chłopiec. Cofnął się o krok, by lepiej podziwiać swoje dzieło.

- Tym razem popłyną po twardej ziemi - odparł Measure. - Tato mówił, że nawet siusiać do wody więcej nie będzie.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, więc zaczęli szykować ognisko. Przy pracy było im ciepło, ale na noc potrzebowali ognia, by odstraszyć zwierzęta i odpędzić jesienny chłód.

Miller nie zszedł nawet na kolację. Kiedy Calm wstał, by zanieść ojcu jedzenie, Bajarz zaproponował, że z nim pójdzie.

- Nie wiem - wahał się Calm. - Nie musicie przecież.

- Ale chcę.

- Tato... tato nie lubi, kiedy w takiej chwili przy skale zbiera się tłum ludzi. - Calm był wyraźnie zmieszany. - Jest młynarzem i to jest jego kamień.

- Nie jestem tłumem ludzi - odparł Bajarz. Calm więcej się nie odzywał i Bajarz ruszył za nim pod górę.

Po drodze minęli miejsca, gdzie wyciosano poprzednie dwa kamienie. Z odłamków usypano gładką rampę od skalnej ściany do poziomu gruntu. Bajarz wiele razy widział, jak wyciosują młyński kamień, ale taką metodę oglądał po raz pierwszy. Otwory były idealnie okrągłe, prosto w skałę. Na ogół odłupuje się cały blok i obrabia go dopiero na ziemi. Jest kilka powodów, by tak postępować, a najważniejszy, że nie da się odłupać od skały tylnej powierzchni kamienia. Chyba że razem z całym blokiem. Calm nie zwolnił kroku, więc

Bajarz nie mógł przyjrzeć się dokładnie, ale z tego co widział, kamieniarz w żaden sposób nie mógł odkuć kamienia od skalnego podłoża.

W nowym miejscu wszystko wyglądało podobnie. Miller zagrabiał skalne odpryski i układał z nich rampę. Bajarz zatrzymał się i w ostatnich promieniach słońca oglądał ścianę. W ciągu jednego dnia, pracując sam, Al Junior wygładził przód i odłupał skałę na całym obwodzie. Kamień był wypolerowany, choć nadal trzymał się skalnej ściany. Co więcej, Al wyciął centralny otwór, w który miała wejść główna oś mechanizmu młyna. Wszystko było gotowe. I nikt, w żaden sposób, nie potrafiłby wcisnąć dłuta tak, by odciąć tylną powierzchnię.

- Ten chłopak naprawdę ma talent - stwierdził Bajarz.

Miller mruknął potakująco.

- Słyszałem, że chcecie spędzić tu noc.

- Dobrze słyszeliście.

- Nie przeszkadza wam towarzystwo?

Calm przewrócił oczami.

Po chwili jednak Miller wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcecie.

Calm spojrzał na Bajarza, szeroko otwierając oczy, jakby chciał powiedzieć: Zdarzają się cuda. Zostawił kolację Millera i odszedł. Mężczyzna odłożył grabie.

- Jedliście już?

- Nazbieram drew na ognisko - odparł Bajarz. - Póki jeszcze jest widno. Wy jedzcie.

- Uważajcie na węże - ostrzegł Miller. - Powinny już zasnąć na zimę, ale nigdy nie wiadomo.

Bajarz uważał na węże, ale żadnego nie spotkał. Wkrótce płonęło solidne ognisko, a w nim kłoc drewna, który powinien wystarczyć na całą noc.

Leżeli obaj w blasku ognia, owinięci kocami. Bajarz pomyślał, że Miller mógłby wybrać do spania bardziej miękką ziemię, parę metrów dalej od skały. Widocznie jednak ważniejsze było, by ani na chwilę nie spuszczać kamienia z oczu.

Bajarz zaczął mówić. Cicho, ale wytrwale opowiadał, jak ciężko musi być ojcom, którzy z nadzieją patrzą na synów, a przecież nie wiedzą, kiedy spadnie śmierć i odbierze im dziecko. Wybrał właściwy temat, gdyż po chwili zaczął mówić Alvin Miller. Opowiedział, jak jego najstarszy syn, Vigor, zginął w Hatrack zaraz po przyjściu na świat Alvina Juniora. A potem opisał z tuzin przypadków, kiedy Al Junior cudem uniknął śmierci.

- Zawsze woda - stwierdził na koniec. - Nikt mi nie wierzy, ale to prawda. Zawsze woda jest przyczyną.

- Problem w tym - odparł Bajarz - czy woda jest zła i chce zabić dobrego chłopaka? Czy jest dobra i próbuje zniszczyć złą moc?

Takie pytanie doprowadziłoby niektórych ludzi do wściekłości, ale Bajarz już dawno przestał zgadywać, kiedy Alvin Miller wybuchnie gniewem. Tym razem nie wybuchł.

- Sam się zastanawiałem - wyznał. - Przyglądałem mu się uważnie. Oczywiście, chłopak ma talent, który sprawia, że ludzie go kochają. Nawet siostry. Znęca się nad nimi bezlitośnie od kiedy jest dość duży, żeby im napluć do talerza. Ale każda z nich zawsze znajdzie jakiś powód, żeby coś dla niego zrobić. Nie tylko na święta. Owszem, zaszyją mu czasem skarpety, wysmarują sadzą siedzenie w wygodce albo nawtykają szpilek do nocnej koszuli. Ale wszystkie oddałyby za niego życie.

- Pewni ludzie - rzekł Bajarz - mają dar zdobywania miłości, choć na nią nie zasługują.

- Też się tego bałem. Ale chłopak nie wie, że ma taki dar. Nie zmusza ludzi, żeby robili to, co chce. Pozwala mi się karać, kiedy nabroi. A przecież, gdyby tylko zechciał, mógłby mnie powstrzymać.

- Jak?

- Wie dobrze, że kiedy czasem na niego patrzę, widzę Vigora, mojego pierworodnego. Wtedy nie mógłbym go skrzywdzić, nawet dla jego dobra.

Może to prawda, pomyślał Bajarz. Ale z pewnością nie cała prawda.

Bajarz szturchnął ogień sprawdzając, czy kłoc się zapalił. W chwilę później usłyszał opowieść, dla której tu przyszedł.

- Znam pewną historię - zaczął Miller. - Może się nada do waszej książki.

- Spróbujcie - zachęcił Bajarz.

- Ale nie mnie się przytrafiła.

- To musi być coś, co sami widzieliście. Słyszałem już najbardziej zwariowane historie, które ktoś słyszał od przyjaciela, ten od swojego przyjaciela i tak dalej.

- Widziałem na własne oczy. Trwa to już całe lata i nawet rozmawiałem z tym człowiekiem. To jeden ze Szwedów. Mieszka w dole rzeki i mówi po angielsku tak samo dobrze jak ja. Kiedy przyjechał mniej więcej rok po nas, pomagaliśmy mu stawiać chatę i stodołę. Już wtedy mu się przyglądałem. Widzicie, on ma chłopaka, takiego szwedzkiego blondasa. Wiecie, jacy oni są.

- Włosy prawie białe?

- Białe jak szron w porannym słońcu. I błyszczące. Piękny chłopak.

- Wyobrażam go sobie.

- No więc ten chłopak... tata naprawdę go kochał. Bardziej niż życie. Znać tę biblijną opowieść o ojcu, co sprawił synowi długą szatę z rękawami?

- Słyszałem.

- On tak właśnie kochał dzieciaka. Ale widziałem raz, jak szli razem brzegiem rzeki. Ojciec jakby się potknął, wpadł na chłopca i popchnął go do wody. Mały złapał jakiś pień, a ja razem z ojcem wyciągnęliśmy go na brzeg. To straszna rzecz widzieć, że ojciec mógł zabić swojego ukochanego syna. Nie zrobiłby tego umyślnie, rozumiecie, ale chłopak nie byłby od tego bardziej żywy, ani ojciec mniej winny.

- Domyślałem się, że ojciec nigdy by sobie nie darował.

- Pewnie, że nie. A jednak wkrótce potem, kiedy znowu go zobaczyłem, rąbał drzewo. Tak się zamachnął siekierą, że gdyby chłopak się nie potknął i nie upadł akurat wtedy, trafiłby go obuchem w głowę. Nie widziałem jeszcze, żeby kto przeżył coś takiego.

- Ani ja.

- Próbowałem pojąć, co się dzieje. O czym ten ojciec myśli. Poszedłem do niego któregoś dnia i mówię: Nels, musisz bardziej uważać. Jeśli będziesz tak wymachiwał siekierą, to kiedyś odrąbiesz chłopakowi głowę. A Nels mi na to: Panie Miller, to nie był przypadek. Tak zdębiałem, że chyba czknięcie niemowlaka by mnie przewróciło. Jak to nie był przypadek? A on tłumaczy: Nie wiecie nawet, jak mi ciężko. Wydaje mi się czasem, że może czarownica rzuciła na mnie klątwę albo diabeł mnie opętał. Pracuję sobie i myślę, jak bardzo kocham dzieciaka, aż nagle chcę go zabić. Pierwszy raz mnie naszło, kiedy był jeszcze całkiem mały. Stałem na schodach i trzymałem go na rękach, a to było jak głos w moich myślach. Mówił: Zrzuć go. I chciałem to zrobić, chociaż wiedziałem, że to najstraszniejszy uczynek na świecie. Bardzo chciałem go zrzucić, tak jak czasem chłopcy koniecznie chcą żuka roznieść kamieniem. Chciałem patrzeć, jak czaszka pęka mu na podłodze. Stłumiłem tę chęć, przełknąłem ją i trzymałem chłopca tak mocno, że prawie go udusiłem. Kiedy ułożyłem dziecko w kołysce, wiedziałem, że już więcej nie będę go wnosił po schodach. Ale przecież nie mogłem go tak zostawić. To był mój synek. Rósł mądry, dobry i piękny. Musiałem go kochać. Jeśli nie przychodziłem, płakał, że tatuś nie chce się z nim bawić. Ale kiedy byłem przy nim, wracały te pragnienia. Nie codziennie, ale wiele razy na dzień, czasem tak szybko, że robiłem to zanim zrozumiałem, co się dzieje. Jak wtedy, kiedy wrzuciłem go do rzeki. Żle stanąłem i potknąłem się, ale już kiedy stawiałem nogę wiedziałem, że trafię na korzeń, że się potknę i że go przewrócę. Wiedziałem, ale nie miałem czasu, by się zatrzymać. I wiem, że

pewnego dnia się nie powstrzymam. To nie będzie umyślne, ale pewnego dnia, kiedy będę miał chłopaka pod ręką... pewnego dnia go zabiję. Miller podniósł dłoń, jakby chciał otrzeć łzy.

- Czy to nie dziwne? - zapytał. - Że człowieka męczą takie uczucia wobec własnego syna?

- Czy ten człowiek ma innych synów?

- Kilku. Dlaczego?

- Zastanawiałem się, czy nie odczuwa chęci, by ich także pozabijać.

- Nigdy, ani śladu. Spytałem go o to, prawdę mówiąc. Powiedział, że ani trochę.

- I co, panie Miller? Co mu poradziliście? Miller odetchnął głęboko kilka razy.

- Nie wiedziałem, co mu poradzić. Są sprawy za trudne, żeby mógł je zrozumieć ktoś taki jak ja. Na przykład to, że woda próbuje zabić mojego Alvina. Albo ten Szwed ze swoim synem. Być może rodzą się czasem dzieci, którym nie jest pisane dorosnąć. Nie sądzicie, Bajarzu?

- Myślę, że rodzą się dzieci tak ważne, że ktoś... jakaś moc... pragnie je zabić. Zawsze są jednak inne siły, może potężniejsze, które chcą, by dzieci żyły.

- Więc czemu te siły się nie ujawniają? Czemu jakaś potęga nie zstąpi z nieba i nie powie... nie zstąpi do tego biedaka ze Szwecji i nie powie: Nie lękaj się; twój syn jest bezpieczny, nawet przed tobą.

- Może te siły nie przemawiają głośno i nie używają słów. Może objawiają się tylko w tym, co czynią.

- Tylko jedna siła objawia się na tym świecie: siła, która zabija.

- Nie wiem, jak z tym małym Szwedem - stwierdził Bajarz. - Ale waszego syna ochrania chyba jakaś potężna moc. Z tego, co mówiliście, to przecież cud, że nie zginął już z dziesięć razy.

- To prawda.

- Myślę, że coś go strzeże.

- Nie dość czujnie.

- Woda nigdy go nie dostała, prawda? - Ale niewiele brakowało, Bajarzu.

- A co do syna tego Szweda, to wiem na pewno, że ktoś nad nim czuwa.

- Kto? - zdziwił się Miller.

- Jego własny ojciec.

- Ojciec jest jego wrogiem.

- Nie sędzę - odparł Bajarz. - Wiecie, ilu ojców zabija przypadkowo swoich synów? Wychodzą na polowanie i kula leci nie w tę stronę. Chłopak ginie zgnieciony przez wóz albo spada z wysoka. To się zdarza bez przerwy. Może tamci ojcowie nie widzieli, co się stanie. Ale ten Szwed jest bystry, on widzi i uważa na siebie. Zatrzymuje się na czas.

W głosie Millera zabrzmiał cień nadziei.

- Wynika z tego, że ojciec nie jest może całkiem zły.

- Gdyby był całkiem zły, panie Miller, chłopak już dawno by nie żył i leżał w ziemi.

- Może... może...

Miller zamyślił się głęboko. Myślał tak długo, że Bajarz przysnął lekko. Obudził się, gdy młynarz znowu mówił.

- ...i jest coraz gorzej, nie lepiej. Trudniej zwalczyć te uczucia. Całkiem niedawno stał sobie na poddaszu w... w swojej stodole i zrzucał siano. A na dole był jego syn. Wystarczyło upuścić widły. Najprostsza rzecz na świecie. Mógłby powiedzieć, że mu się wysliznęły. Nikt by się nie domyślił. Upuścić widły, by przebiły chłopaka na wylot. I on już miał to zrobić. Rozumiecie? Tak trudno było stłumić tę chęć, o wiele trudniej niż przedtem... i on zrezygnował. Chciał to zrobić, ustąpić. I właśnie w tej chwili we wrotach stanął jakiś obcy i krzyknął: Nie!, a ja odrzuciłem widły... Tak mi opowiadał: Odrzuciłem widły, ale tak się trząsałem, że ledwie mogłem chodzić. Wiedziałem, że obcy dostrzegł mord w moim sercu, że musiał mnie uznać za najgorszego człowieka pod słońcem, bo chciałem zabić własne dziecko. Nie domyślał się nawet, jak ciężko walczyłem przez wszystkie lata...

- Może obcy wiedział coś o mocach działających w sercu tego człowieka - wtrącił Bajarz.

- Tak myślicie?

- Nie mam pewności, ale obcy mógł też dostrzec, jak bardzo ojciec kocha chłopca. Może nie rozumiał z początku, ale w końcu pojął, że dziecko jest niezwykle i że ma potężnych wrogów. I może potem już wiedział, że chłopiec ma wielu nieprzyjaciół, ale ojciec do nich nie należy. I chciałby temu ojcu coś powiedzieć.

- Co chciałby powiedzieć? - Miller znowu przetarł oczy rękawem. - Jak myślicie, co ten obcy by powiedział?

- Powiedziałby może: Zrobiliście wszystko, co można, ale teraz wróg jest dla was za silny. Teraz powinniście wysłać chłopca gdzieś daleko. Do krewnych na wschodzie albo do terminu gdzieś do miasta. Ojcu byłoby ciężko, bo bardzo kocha syna, ale posłuchałby wiedząc, że prawdziwa miłość polega na usunięciu chłopca poza zasięg niebezpieczeństwa.

- Tak - mruknął Miller.

- Jeśli już o tym mówimy... - dodał Bajarz. - Może też powinniście odesłać gdzieś waszego Alvina.

- Może - zgodził się Miller.

- Tutaj zagraża mu woda, zgadza się? Ktoś go ochrania, albo coś. Ale może gdyby Alvin zamieszkał w innym miejscu...

- To część niebezpieczeństw przestałaby mu zagrażać - dokończył Miller.

- Pomyślcie o tym.

- To straszne - westchnął Miller. - Straszne, tak odesłać swojego chłopaka, żeby zamieszkał wśród obcych.

- Ale jeszcze straszniejsze złożyć go w ziemi.

- Tak. To najstraszniejsza rzecz na świecie. Złożyć w ziemi swoje dziecko.

Nie rozmawiali już i po chwili zasnęli obaj.

Ranek wstał chłodny i gruba warstwa szronu okryła ziemię. Miller nie pozwolił Alowi nawet podejść do skały, dopóki słońce nie wysuszyło szronu bez śladu. Całe przedpołudnie przygotowywali grunt pomiędzy skalną ścianą a saniami, by potem stoczyć kamień w dół.

Bajarz był zupełnie pewny, że Alvin musi wykorzystać tajemne siły, by oderwać kamień od skały. Nawet jeśli sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Bajarz był ciekaw. Chciał sprawdzić, jak potężne są te siły, chciał lepiej poznać ich naturę. A ponieważ Al Junior sam nie rozumiał, co właściwie robi, eksperyment musiał być odpowiednio przemyślany.

- Jak obciążacie kamień? - zapytał.

Miller wzruszył ramionami.

- Poprzednio używałem żarna buhrstonowego. One wszystkie mają obciąż sierpowy.

- Możecie pokazać?

Końcem grabi Miller wyrysował w szronie koło. Potem wykreślił serię łuków sięgających od środka do krawędzi. Między każdą parę wpisał krótszy łuk, zaczynający się przy krawędzi, ale dobiegający nie dalej niż dwie trzecie odległości do środka kręgu.

- Mniej więcej tak.

- Większość młyńskich kamieni w Pensylwanii i Suskwahenny ma obciąż kwartowy - stwierdził Bajarz. - Znacie to cięcie?

- Pokażcie.

Bajarz wyrysował drugie koło. Nie udało się za dobrze, gdyż szron już topniał, ale wystarczyło. Nakreślił proste linie zamiast łuków, od środka do krawędzi, i krótsze, oddzielające się od długich i też sięgające krawędzi.

- Niektórzy młynarze wolą taki obciąg, bo łatwiej o niego zadbać. Nacięcia są proste, więc przy ostrzeniu macie lekki, równy posuw.

- Faktycznie - zgodził się Miller. - Sam nie wiem. Przyzwyczailem się do tych zakrzywionych linii.

- Wasza decyzja. Nigdy nie byłem młynarzem, więc nie wiem. Mówię tylko, co widziałem.

- Cieszę się, że mi pokazaliście - zapewnił Miller. - Naprawdę.

Al Junior stał obok i przyglądał się obu rysunkom.

- Myślę, że kiedy dowieziemy kamień do domu, spróbuję kwartowego - oświadczył Miller. - Przy takim obciążu łatwiej chyba utrzymać czyste żarno.

Wreszcie ziemia wyschła i Al Junior podszedł do skalnej ściany. Reszta chłopców została na dole: zwijali obóz i szykowali konie. Tylko Miller i Bajarz widzieli, jak Alvin podniósł młotek. Zostało mu jeszcze trochę pracy, by wyciosać pełny obwód koła na właściwą głębokość.

Chłopak przyłożył dłuto do kamienia i uderzył młotkiem. Ku zdumieniu Bajarza, cały kawał skały długości może piętnastu centymetrów odpadł od ściany i rozsypał się na ziemi.

- Przecież ten kamień jest miękki jak węgiel - zawołał Bajarz. - Co z niego będzie za żarno?

Miller uśmiechnął się tylko i pokręcił głową.

Al Junior cofnął się o krok.

- To naprawdę twardy kamień, Bajarzu. Trzeba uderzyć we właściwe miejsce. Spróbujcie, to sami zobaczycie.

Podał mu dłuto i młotek. Bajarz chwycił je i podszedł do skały. Starannie przyłożył dłuto, lekko odchylając pod niewielkim kątem. Stuknął kilka razy na próbę, a potem uderzył z całej siły.

Dłuto wyskoczyło mu z ręki, a wstrząs był tak mocny, że upuścił młotek.

- Przepraszam - powiedział. - Robiłem to już kiedyś, ale chyba wyszedłem z wprawy.

- Nie, to ten kamień - wyjaśnił Al Junior. - Ma swoje humory. Lubi ustępować tylko w pewnych kierunkach.

Bajarz zbadał miejsce, gdzie uderzył. Nie znalazł nawet śladu. Potężny cios nie zostawił choćby zadrapania.

Al Junior podniósł narzędzia i przyłożył dłuto. Bajarzowi wydawało się, że umieścił je dokładnie w tym samym miejscu. Chłopiec jednak zachowywał się tak, jakby wybrał zupełnie inny punkt.

- Widzicie, trzeba ustawić pod odpowiednim kątem. O tak. Uderzył. Zadźwięczał metal, rozległ się trzask pękającej skały i zabębniły o ziemię okruchy.

- Teraz rozumiem, dlaczego sam wykonuje całą pracę - mruknął Bajarz.

- To chyba najszybszy sposób - zgodził się Miller.

Po kilku minutach Alvin zakończył pracę. Bajarz milczał. Patrzył tylko, co chłopiec teraz zrobi.

Al odłożył narzędzia, podszedł i objął wyciosany kamień. Prawą dłonią chwycił za krawędź, lewą wsunął głęboko w szczelinę po przeciwnej stronie. Przycisnął policzek do twardej powierzchni. Zamknął oczy. Wyglądał, jakby słuchał skały.

Zanucił cicho jakąś bezsensowną melodyjkę. Przesunął dłonie. Zmienił pozycję. Posłuchał drugim uchem.

- No wiecie - powiedział w końcu. - Aż trudno uwierzyć.

- W co uwierzyć? - spytał jego ojciec.

- Te ostatnie uderzenia musiały naprawdę potrząsnąć skałą. Tylna powierzchnia całkiem się odłupiała.

- To znaczy, że nic już kamienia nie trzyma? - upewnił się Bajarz.

- Chyba możemy go wyciągać - odparł Alvin. - Trzeba będzie trochę popracować z linami, ale powinniśmy go dostać bez większych kłopotów.

Przybyli bracia z linami i końmi. Alvin przesunął sznur za kamieniem. Chociaż ani jedno uderzenie dłuta nie trafiło w tylną powierzchnię, lina swobodnie opadła na miejsce. Potem następna i jeszcze jedna, i wkrótce ciągnęli wszyscy, najpierw z lewej, później z prawej, wolno wysuwając ciężki kamień z łożyska w skalnej ścianie.

- Gdybym tego nie widział na własne oczy... - mruknął Bajarz.

- Ale widzieliście - odparł Miller.

Kiedy wysunęli kamień na kilkanaście centymetrów, zmienili liny. Cztery przeciągnęli przez środkowy otwór i umocowali je do czekającego trochę wyżej zaprzęgu.

- Bez mocy potoczyłby się w dół - wyjaśnił Bajarzowi Miller. - Konie służą za kotwicę. Mają hamować ten ciężar.

- Rzeczywiście jest ciężki.

- Nie kładźcie się tylko na drodze.

Bardzo ostrożnie zaczęli toczyć kamień. Miller chwycił Alvina za ramię i zatrzymał z tyłu, z góry. Bajarz pomagał przy koniach, więc dopiero na dole, koło sań, mógł się przyjrzeć tylnej powierzchni.

Była gładka jak pupka niemowlaka. Równa jak lód w misie. I nacięta w obciąg kwartowy: proste linie sięgały od otworu w środku ku krawędziom.

Alvin zatrzymał się obok.

- Dobrze to zrobiłem? - zapytał.

- Tak.

- Mieliśmy straszne szczęście. Czułem, że kamień gotów jest pęknąć dokładnie wzdłuż tych linii. Zwyczajnie chciał tak pęknąć, zupełnie łatwo.

Bajarz przesunął palec po brzegu nacięcia. Zakłuło. Podniósł palec do ust, possał, poczuł smak krwi.

- Kamień ma piękną, ostrą krawędź - stwierdził Measure.

Zachowywał się, jakby codziennie widywał takie rzeczy, ale w oczach malował się podziw.

- Dobre cięcie - przyznał David.

- Jak dotąd najlepsze - dodał Calm.

Hamując linami, delikatnie ułożyli kamień na saniach, obciągniętą powierzchnią do góry.

- Zrobicie coś dla mnie, Bajarzu? - zapytał Miller.

- Jeśli potrafię.

- Zabierzcie Alvina do domu. Wykonał już swoje zadanie.

- Nie, tato! - Al podbiegł do ojca. - Nie możesz mnie teraz odesłać.

- Nie potrzebuję dziesięciolatków pod nogami, kiedy przewozimy kamień takich rozmiarów.

- Ale przecież go muszę pilnować. Muszę uważać, żeby się nie ukruszył ani nie pękł.

Starsi synowie spojrzeli na ojca wyczekująco. Bajarz zastanawiał się, czego chcieli bardziej. Byli już dorośli i na pewno nie czuli urazy o to, że Miller wyróżnia siódmego syna. I na pewno nie chcieli chłopca narażać. Ale zależało im, by kamień bezpiecznie dotarł na miejsce i zaczął swą służbę w młynie. Alvin z pewnością potrafił uchronić go przed zagrożeniem.

- Możesz jechać z nami do zachodu słońca - zdecydował w końcu Miller. - Kiedy będziemy już blisko, wrócisz z Bajarzem, żeby spędzić noc w łóżku.

- Zgoda - rzekł Bajarz.

Alvin Junior milczał, choć wyraźnie nie był zadowolony.

Przed południem sanie ruszyły w drogę. Dwa konie z przodu i dwa z tyłu zaprzężono do samego kamienia. Spoczywał na drewnianej platformie sań, a te toczyły się na siedmiu czy

ośmiu belkach jednocześnie. Platforma poruszała się, nasuwając na nowe, czekające z przodu kłoce. Kiedy belka pojawiała się z tyłu, któryś z chłopców wrywał ją natychmiast spod lin zaprzęgu hamującego, biegł naprzód i kładł ją tuż za zaprzęgiem ciągnącym. To oznaczało, że każdy przebiegał przynajmniej pięć mil na jedną milę drogi kamienia.

Bajarz również zamierzał nosić belki, ale David, Calm i Measure nie chcieli nawet o tym słyszeć. W końcu musiał ustąpić i pilnował zaprzęgu hamującego. Alvin usiadł na końskim grzbiecie. Miller poganiał zaprzęg ciągnący. Połowę drogi szedł tyłem sprawdzając, czy nie jadą za szybko, by chłopcy mogli nadążyć.

Mijały godziny. Miller zaproponował, by zatrzymali się i odpoczęli, ale jego synowie jakby nie znali zmęczenia. Bajarz dziwił się, że belki wytrzymują drogę. Żadna nie pękła na jakichś nierównościach albo od samego ciężaru. Ścierały się i wgniatały, ale nic więcej.

Gdy pływające w krwistych chmurach słońce opadło na dwa palce powyżej zachodniego horyzontu, Bajarz rozpoznał łąkę, która otworzyła się przed nimi. W ciągu jednego popołudnia pokonali całą drogę.

- Mam chyba najsilniejszych braci na świecie - wymruczał Alvin.

W to nie wątpię, pomyślał Bajarz. Ty, który bez pomocy wyciosałeś kamień, bo "znajdywałeś" właściwe pęknięcia skały, nie powinienes się dziwić, że twoi bracia mieli dokładnie tyle sił, ile wierzyłeś, że mają.

Jak tyle już razy, Bajarz znowu próbował zrozumieć istotę tajemnych sił. Na pewno istniało jakieś prawo natury, decydujące o ich użyciu. Stary Ben zawsze tak twierdził. Ale oto był chłopiec, który - jedynie dzięki wierze i pragnieniu - potrafił ciąć skałę jak masło i dawać siłę swym braciom. Istniała teoria, że ukryta moc bierze się z przyjaźni z żywiołem, ale który z nich mógłby dokonać tego wszystkiego? Ziemia? Powietrze? Ogień? Z pewnością nie woda, gdyż Bajarz wiedział, że każda z opowieści Millera jest prawdą. Dlaczego tak jest, że gdy Alvin czegoś zechce, sama ziemia ugnie się przed jego wolą, inni zaś mogą pragnąć, a nie spowodują nawet podmuchu bryzy?

Kiedy wtaczali kamień przez wrota młyna, potrzebowali już latarni.

- Równie dobrze możemy jeszcze dzisiaj ułożyć go na miejsce - oświadczył Miller.

Bajarz wyobrażał sobie, jakie straszne myśli przebiegały teraz przez jego głowę. Jeśli zostawi stojący kamień, ten rano z pewnością się potoczy i zmiażdży pewne dziecko, które niczego nie podejrzewając wybiegnie po wodę. Skoro już w cudowny sposób dotarli tu w ciągu jednego dnia, nie warto zostawiać żarna gdzie indziej niż na właściwym miejscu: na fundamencie ubitej ziemi i kamieni.

Wprowadzili do środka parę koni i zaprzęgli do kamienia tak samo jak wtedy, gdy w kamieniołomie układali go na saniach. Konie miały hamować ciężar, opuszczany lewarami na fundament.

Chwilowo młyński kamień spoczywał na ziemi tuż obok kręgu podstawy. Measure i Calm mocowali dźwignie pod zewnętrzną krawędzią, gotowi go podnieść i opuścić na miejsce. Kamień kołysał się lekko. David przytrzymywał konie, ponieważ gdyby szarpnęły za wcześniej i pociągnęły w złą stronę, nastąpiłaby katastrofa i kamień runąłby obciążoną powierzchnią na ziemię.

Bajarz stał z boku i patrzył, jak Miller dyryguje synami, wykrzykując całkiem niepotrzebnie "Ostrożnie tam" i "Równo". Od chwili, gdy wtoczyli kamień do młyna, Al Junior nie odstępował Bajarza. Jeden z koni trochę się spłoszył. Miller zareagował natychmiast.

- Calm, pomóż bratu przy koniach!

Odstąpił na krok.

Wtedy właśnie Bajarz zorientował się, że Alvin jednak nie stoi obok niego. Z miotłą w ręku podchodził do kamienia. Może zauważył jakieś luźne kamyki na fundamencie; musiał przecież je zamieść, prawda? Konie cofnęły się, liny zwisły luźno. Bajarz zrozumiał, że nic nie powstrzyma upadku, gdyby kamień miał upaść akurat teraz.

W rozsądnym świecie na pewno nic by się nie stało. Ale Bajarz wiedział już, że ten świat wcale nie jest rozsądny. Alvin Junior miał potężnego, niewidzialnego wroga, który nie przegapiłby takiej okazji.

Bajarz skoczył do przodu. Poczuł, jak drgnęła ziemia pod stopami, jak zapadł się ubity grunt. Niewiele, parę centymetrów, ale wewnętrzna krawędź kamienia obniżyła się właśnie o taki kawałek. W rezultacie szczyt wielkiego kręgu przesunął się ponad pół metra i to tak szybko, że nic już nie mogło go zahamować. Za chwilę młyński kamień runie na swoje miejsce na fundamencie, a Alvin Junior zostanie pod spodem, zmielony jak ziarno.

Bajarz krzyknął, złapał chłopca za ramię i szarpnął do tyłu. Dopiero wtedy Alvin zobaczył, co się dzieje. Bajarz miał dość siły, by odciągnąć go ponad metr, ale to nie wystarczało. Nogi chłopca wciąż leżały w cieniu kamienia, który opadał zbyt szybko, by można było coś jeszcze zrobić. Najwyżej patrzeć, jak miażdży te nogi. Bajarz wiedział, że takie obrażenia to śmierć. Tylko agonia trwa dłużej. Zawiódł.

Ale kiedy patrzył na morderczy upadek, dostrzegł w kamieniu pęknięcie, które w mgnieniu oka zmieniło się w szczelinę biegnącą przez cały krąg. Dwie połowy odskoczyły od siebie dokładnie tak daleko, by upaść, nie dotykając nawet nóg Alvina.

A kiedy Bajarz zobaczył padające przez tę szczelinę światło latarni, Alvin krzyknął:

- Nie!

Ktokolwiek inny pomyślałby, że chłopiec krzyczy, widząc nadchodzącą śmierć. Ale dla Bajarza, który leżał obok i przez szczelinę patrzył na oślepiającą jasność, ten krzyk oznaczał coś innego. Jak zwykle dzieci, Alvin nie dbał o niebezpieczeństwo. Krzyczał, by nie dopuścić do zniszczenia. Tyle się napracował, tyle się wszyscy namęczyli, żeby dowieźć kamień do domu. Nie mógł pozwolić, by pękł.

A ponieważ nie mógł na to pozwolić, nie zdarzyło się to. Połówki kamienia skoczyły do siebie jak igła skacze do magnesu i upadły złączone w całość.

Cień był większy niż rzeczywiste rozmiary kamienia. Ciężar nie zmiażdżył nóg Alvina. Lewa, ugięta noga znalazła się całkowicie poza krawędzią. Prawa jednak leżała w takiej pozycji, że kamień sięgnął pięć centymetrów poza goleń. Alvin cofał nogę, więc uderzenie pchnęło ją tym mocniej w stronę, w którą już się przesuwała. Kamień aż do kości zdarł skórę i mięśnie, ale nie przygniótł samej nogi. Pewnie nawet by się nie złamała, gdyby pod nią nie leżała w poprzek miotła. Przyciśnięte mocno kości pękły jak patyki. Ostre, białe końce przebiły skórę i znieruchomiały, ujmując kij niby szczęki imadła. Ale noga nie znalazła się pod kamieniem, a kości były złamane, nie zmiażdżone.

Powietrze dzwoniło od huku, od wrzasków oszołomionych mężczyzn i od przenikliwego krzyku chłopca, który jeszcze nigdy nie wydawał się taki mały i delikatny jak w tej chwili.

Zanim ktokolwiek zdążył podbiec, Bajarz przekonał się, że obie nogi Alvina spoczywają poza kamieniem. Chłopiec spróbował usiąść i spojrzeć na swoją ranę. Albo sam widok, albo ból wywołały wstrząs. Al zemdlał. Wtedy dotarł do nich ojciec. Nie stał najbliżej, ale biegł szybciej niż bracia. Bajarz chciał go pocieszyć. Sądził, że nic się nie stało, bo noga nie wyglądała na złamaną. Miller spróbował podnieść syna, ale kości nie pozwoliły. Choć nieprzytomny, chłopiec jęknął z bólu. Dopiero Measure zebrał siły, odciągnął nogę.

David trzymał już latarnię, więc kiedy Miller szedł z Alvinem na rękach, David biegł obok, oświetlając drogę. Measure i Calm chcieli pobiec za nimi, ale Bajarz ich zatrzymał.

- Tam są kobiety, David i wasz ojciec - powiedział. - Ktoś musi dopilnować spraw tutaj.

- Macie rację - przyznał Calm. - Tato nieprędka wróci do młyna.

Młodzi mężczyźni podważyli kamień drągami, a Bajarz wyciągnął kij miotły i liny, wciąż sięgające do otworu. Potem wszyscy trzej uprzątnęli z młyna cały sprzęt, odprowadzili

konie do stajni i pochowali narzędzia. Dopiero wtedy Bajarz wszedł do domu. Alvin Junior spał na jego łóżku.

- Mam nadzieję, że wam to nie przeszkadza - zawołała niespokojnie Anna.

- Ależ skąd.

Cally i pozostałe dziewczynki sprzątały po kolacji. W pokoju, który był kiedyś pokojem Bajarza, siedzieli Faith i Miller. Mieli zaciśnięte wargi i twarze szare jak popiół. Alvin leżał nieruchomo z obandażowaną nogą w łupkach.

David stał przy drzwiach.

- Czyste złamanie - szepnął Bajarzowi. - Ale te rany... boimy się infekcji. Stracił całą skórę z przodu goleni. Nie wiem, czy taka naga kość może się kiedyś wygoić.

- Przyłożyliście skórę na miejsce? - zapytał Bajarz.

- To, co zostało, mama przycisnęła i przyszyła.

- To dobrze.

Faith uniosła głowę.

- Więc znacie się też na leczeniu, Bajarzu?

- Tyle, ile człowiek może się nauczyć próbując pomagać innym, którzy też prawie nic nie wiedzą.

- Jak to się stało? - Miller nie mógł uwierzyć. - Dlaczego teraz, po tylu wypadkach, z których wyszedł cało? - Spojrzał na Bajarza. - Zaczynałem już wierzyć, że chłopak ma obrońcę.

- Ma.

- Czyli obrońca zawiódł.

- Nie zawiódł. Kiedy spadał kamień, przez jedną chwilę widziałem jak pęka, żeby nie dotknąć Alvina.

- Jak kalenica - szepnęła Faith.

- Mnie też się tak wydawało - wtrącił David. - Ale kiedy kamień spadł w całości, pomyślałem, że widziałem coś, czego bym pragnął, ale czego nie było.

- Teraz nie jest pęknięty - zauważył Miller.

- Nie - przyznał Bajarz. - Ponieważ Alvin Junior mu na to nie pozwolił.

- Chcecie powiedzieć, że złączył go z powrotem? Żeby spadł i zgniótł mu nogę?

- Chcę powiedzieć, że wcale nie myślał o nodze - odparł Bajarz. - Tylko o kamieniu.

- Mój synek, mój dzielny synek - szepnęła matka, delikatnie gładząc bezwładne ramię.

Palce Alvina wyprostowały się pod jej naciskiem, potem ugięły znowu.

- Czy to możliwe? - zdziwił się David. - Kamień rozpadł się, a potem zrósł, wszystko to w jednej chwili?

- Musi być możliwe - odpowiedział Bajarz. - Ponieważ się wydarzyło.

Faith znowu pogładziła palce syna. Tym razem jednak wyprostowały się sztywno, zacisnęły w pięść i wyprostowały znowu.

- Obudził się - zauważył ojciec.

- Przyniosę mu trochę rumu - zaproponował David. - Żeby stłumić ból.

Armor powinien mieć rum w swoim składzie.

- Nie - wymamrotał Alvin.

- Chłopiec mówi, że nie - powtórzył Bajarz.

- Co on może wiedzieć, kiedy jest nieprzytomny z bólu?

- Jeśli tylko potrafi, powinien zachować przytomność umysłu. Przyklęknął przy łóżku, tuż obok Faith, więc bliżej twarzy chłopca.

- Słyszysz mnie, Alvinie?

Alvin jęknął. To musiało znaczyć: tak.

- Więc słuchaj uważnie. Twoja noga bardzo ucierpiała. Kości były złamane, ale złożyliśmy je i zrosną się bez kłopotu. Jednak kamień zdarł skórę, a chociaż matka przyszyła ci ją, to i tak może umrzeć, spowoduje gangrenę i zabije cię. Większość chirurgów uciąłaby nogę, żeby ratować ci życie.

Alvin zaczął rzucać głową na boki, próbując krzyczeć. Wydobył z siebie tylko jęk:

- Nie, nie, nie.

- Sprawiacie mu tylko większy ból - odezwała się gniewnie Faith. Bajarz spojrzał na Millera, szukając poparcia.

- Nie męczcie chłopaka.

- Jest takie przysłowie - rzekł Bajarz. - Jabłoń nie pyta buka, jak ma rosnąć, ani lew konia, jak chwytac zwierzynę.

- Co to znaczy? - spytała Faith.

- Że nie powinienem go uczyć, jak ma wykorzystywać moce, których istoty nie potrafię sobie nawet wyobrazić. Ale ponieważ on nie wie jak to zrobić, to jednak muszę spróbować.

Miller zastanawiał się przez chwilę.

- Powiedzcie mu wszystko, Bajarzu. Lepiej, żeby wiedział jak z nim źle. Nieważne, zdoła się uleczyć czy nie.

Bajarz delikatnie ujął rękę chłopca.

- Alvinie, chcesz zachować tę nogę, prawda? Musisz więc myśleć o niej tak, jak myślałeś o kamieniu. Myśleć o skórze wrastającej w ciało i przyczepiającej się do kości, jak należy. Dokładnie sobie ją wyobrazić. Będziesz miał dużo czasu. Nie myśl o bólu. Myśl o nodze, jaką być powinna, całej i silnej.

Alvin leżał nieruchomo, zaciskając tylko z bólu powieki.

- Zrobisz to Alvinie? Spróbujesz?

- Nie.

- Musisz pokonać ból i wykorzystać własny talent. Talent czynienia rzeczy całością.

- Nie zrobię tego - oznajmił chłopiec.

- Dlaczego? - zapłakała Faith.

- Jaśniejący Człowiek - odparł Alvin. - Obiecałem mu.

Bajarz przypomniał sobie, jaką obietnicę złożył Alvin Jaśniejącemu Człowiekowi. Serce w nim zamarło.

- Co to za Jaśniejący Człowiek? - zdziwił się Miller.

- Wizja, którą przeżył, kiedy był jeszcze mały.

- Więc czemu do dzisiaj nic o niej nie wiedziałem?

- To było nocą, kiedy rozpadła się kalenica - wyjaśnił Bajarz. - Alvin obiecał, że nigdy nie użyje swej mocy dla własnej korzyści.

- Ale Alvinie - zawołała Faith. - Przecież nie chodzi o to, żebyś był bogaty albo coś takiego. Chodzi o twoje życie!

Chłopiec skrzywił się tylko z bólu i pokręcił głową.

- Możecie zostawić nas samych? - poprosił Bajarz. - Tylko na parę minut. Żebym mógł z nim porozmawiać.

Miller wypchnął Faith z pokoju, zanim jeszcze Bajarz dokończył zdania.

- Alvinie - zaczął starzec. - Musisz mnie wysłuchać, wysłuchać bardzo uważnie. Wiesz, że nie będę cię okłamywał. Przysięga to wielka rzecz i nikogo bym nie namawiał, żeby złamał słowo. Nawet dla ratowania własnego życia. Dlatego nie powiem ci, żebyś użył mocy dla swojej korzyści. Słyszysz mnie?

Alvin kiwnął głową.

- Ale pomyśl. Pomyśl o Niszczycielu, który krąży po świecie. Nikt nie widzi, jak czyni zło, jak rozbija i burzy. Nikt, oprócz jednego tylko chłopca. Kto jest tym chłopcem?

Wargi Alvina ułożyły się w słowo, choć nie dobiegł z nich żaden głos. Ja.

- I temu chłopcu darowano siłę, której nie jest w stanie zrozumieć. Siłę, by budować przeciw burzeniu nieprzyjaciela. I jeszcze coś, Alvinie: wolę budowania. Chłopiec na każde

pojawienie Niszczyciela odpowiada tworzeniem. Powiedz mi teraz, Alvinie, czy ci, co pomagają Niszczycielowi, są przyjaciółmi czy wrogami ludzkości?

- Wrogami - odpowiedziały wargi Alvina.

- Jeśli więc pomożesz Niszczycielowi pokonać najgroźniejszego przeciwnika, staniesz się wrogiem ludzkości. Prawda?

Udręka wyrwała głos z krtani chłopca.

- Wszystko przekręćcie.

- Właśnie że prostuję. Przysiękłeś nigdy nie używać swej mocy dla własnej korzyści. Jeśli jednak umrzesz, skorzysta tylko Niszczyciel. A jeśli przeżyjesz, jeśli ta noga będzie uleczone, stanie się to dla dobra wszystkich ludzi. Tak, Alvinie, będzie to korzyścią dla świata i wszystkiego, co się na nim znajduje.

Alvin jęknął z bólu, bardziej moralnego niż fizycznego.

- Twoja przysięga jest całkiem jasna: nigdy dla własnej korzyści. Dlaczego więc nie dopełnić tego przyrzeczenia innym? Przysięgnij, Alvinie, że całe życie poświęcisz, by walczyć przeciw Niszczycielowi. Jeśli wypełnisz tę przysięgę - a wiem, że tak, bo potrafisz dotrzymywać słowa - to ocalenie życia będzie czynem spełnionym dla dobra innych, a nie dla własnej korzyści.

Bajarz czekał i czekał, aż wreszcie Alvin skinął głową.

- Czy przyrzekasz, Alvinie Juniorze, że poświęcisz życie, by pokonać Niszczyciela, by uczynić wszystko pełnym, dobrym i słusznym?

- Tak - szepnął chłopiec.

- Więc powiadam ci, zgodnie z treścią twojej przysięgi, że musisz się uleczyć.

Alvin chwycił Bajarza za rękę.

- Jak? - wyszeptał.

- Tego nie wiem, chłopcze. Musisz we własnym wnętrzu poszukać sposobu użycia swej mocy. Mogę ci tylko powiedzieć, że musisz próbować. Inaczej nieprzyjaciół zwycięży, a ja będę musiał zakończyć twoją historię opisem ciała opuszczonego do grobu.

Bajarz ze zdumieniem zauważył, że Alvin się uśmiecha. Dopiero po chwili Bajarz zrozumiał dowcip: jego historia skończy się pogrzebem niezależnie od tego, co się dzisiaj wydarzy.

- Masz rację, mały. Ale wolałbym zapisać jeszcze kilka stron, zanim położę finis na Księdze Alvina.

- Spróbuję.

Jeśli spróbuje, to na pewno mu się uda. Jego protektor nie po to ochraniał go przez tyle lat, by teraz pozwolić umrzeć. Bajarz nie wątpił, że Alvin posiada moc, by się uleczyć, jeśli tylko potrafi znaleźć właściwy sposób. Organizm człowieka jest rzeczą o wiele bardziej skomplikowaną od kamienia. Ale jeśli Alvin ma przeżyć, musi poznać ścieżki własnego ciała, musi złączyć pęknięte kości.

W dużym pokoju przygotowali dla Bajarza łóżko. Chciał spać na podłodze przy Alvinie, ale Miller pokręcił głową.

- To moje miejsce - powiedział.

Bajarz nie mógł zasnąć. W środku nocy poddał się w końcu, wyjętym z ognia patyczkiem zapalił latarnię, narzucił płaszcz i wyszedł z domu.

Wiał silny wiatr. Nadchodziła burza, a sądząc po zapachu powietrza, miał spaść śnieg. Zwierzęta w stajni były niespokojne. Bajarz pomyślał, że może nie jest tu sam. W mroku mogą się kryć Czerwoni, mogą nawet przemykać wśród budynków farmy i obserwować go. Zadrżał, ale szybko stłumił lęk. Noc była zbyt zimna. Nawet najbardziej żądni krwi, nienawidzący Białych Choc-Tawowie i Cree-Ekowie z południa są za sprytni, by wychodzić na zwiady, gdy zbliża się taka burza.

Niedługo spadnie śnieg, pierwszy tej zimy. I nie będzie go mało. Jutro będzie sypać przez cały dzień; Bajarz wyczuwał, że powietrze za frontem burzy jest jeszcze zimniejsze niż teraz, tak zimne, że śnieg spadnie suchy i puszysty. Godzina po godzinie coraz grubszą warstwą pokryje ziemię. Gdyby Alvin nie doprowadził ich do domu w ciągu jednego dnia, musieliby pchać sanie w samym środku śnieżycy. Byłoby ślisko. Mogłoby się przytrafić coś jeszcze gorszego.

Bajarz dotarł aż do młyna. Przyjrzał się kamieniowi. Wydawał się tak trwały, że trudno było sobie wyobrazić, by ktoś zdołał go poruszyć. Ostrożnie, żeby się nie skaleczyć, Bajarz dotknął jednego z płytkich nacięć obciążu. Tu będzie się zbierać mąka, gdy wielkie koło wodne poruszy wałem i zakręci się żarno na młyńskim kamieniu; jednostajnie, jak ziemia kręci się wokół słońca, rok po roku, mieląc czas na pył, jak młyn miele ziarno na mąkę.

Bajarz spojrzał w miejsce, gdzie ziemia ustąpiła lekko pod ciężarem, przewracając kamień i niemal zabijając chłopca. Dno zagłębienia lśniło w blasku latarni. Bajarz przyklęknął i zanurzył palec w głębokiej na półtora centymetra wodzie. Musiała się tu gromadzić, osłabiając i podmywając grunt. Nie tak, by ktokolwiek zauważył wilgoć. Tyle tylko, że kiedy położono wielki ciężar, ziemia ustąpiła.

Niszczycielu, pomyślał Bajarz. Pokaż mi się, a wybuduję takie mury, że zostaniesz w nich uwięziony już na zawsze.

Lecz nie mógł sprawić, by oczy dostrzegły migotanie powietrza, jakie objawiało się siódmemu synowi Alvina Millera. W końcu podniósł latarnię i wyszedł z młyna. Opadały już pierwsze płatki śniegu. Wiatr niemal ucichł. Śnieg padał coraz gęściej, a płatki tańczyły w świetle latarni. Zanim Bajarz dotarł do domu, puszcza zniknęła, a ziemia była już szara od śniegu. Wszedł do środka, nie zdejmując butów położył się na podłodze i zasnął.

Rozdział 12

Książka

Wrzucili do paleniska trzy grube kłocę, więc kamienie w ścianie płonęły żarem, a powietrze w pokoju było całkiem suche. Alvin leżał nieruchomo. Ciężka od łupków i bandaży prawa noga jak kotwica trzymała w łóżku resztę ciała, lekkiego, unoszącego się, kołyszącego i rzucanego na boki. Miał zawroty głowy i lekkie mdłości.

Nie dostrzegał jednak ciężaru nogi ani zawrotów. Ból był jego wrogiem. Uderzenia i ukłucia odwracały uwagę od zadania, jakie postawił Bajarz: uleczyć się.

A jednak ból był także przyjacielem. Wzniósł dookoła mur i Alvin, właściwie nie zdawał sobie sprawy, że jest w domu, w pokoju, w łóżku. Świat zewnętrzny mógłby spłonąć na popiół, a on nawet by nie zauważył. Teraz badał jedynie świat wewnętrzny.

Bajarz nie wiedział, o czym mówi. To nie była kwestia tworzenia obrazów w umyśle. Noga się nie zagoi od udawania, że jest już zdrowa. Ale Bajarz podsunął właściwą ideę. Jeżeli Alvin potrafił wyczuć skałę, znaleźć jej silne i słabe punkty, nauczyć je, gdzie mają pękać, a gdzie trzymać mocno, to czemu nie miałyby zrobić tego samego z własną skórą i kośćmi?

Problem w tym, że skóra i kości były strasznie skomplikowane. Skała jest wszędzie prawie taka sama, ale skóra zmieniała się z każdą warstwą i wcale niełatwo jest odgadnąć, jak to wszystko działa. Alvin leżał z zamkniętymi oczami i po raz pierwszy w życiu spoglądał we własne ciało. Z początku próbował podążać za bólem, ale niczego nie osiągnął. Dotarł do miejsca, gdzie wszystko było połamane, pocięte i pomieszane, aż w końcu nie wiedział, gdzie jest góra a gdzie dół. Po pewnym czasie spróbował czegoś innego. Wsłuchiwał się w bicie serca. Ból go rozpraszał, ale po chwili skoncentrował się na odgłosie tętna. Jeśli z zewnętrznego świata dobiegały jakieś hałasy, Alvin tego nie wiedział, ponieważ ból odciął wszelkie bodźce. A rytm pulsu odciął ból, przynajmniej w większej części.

Podążał szlakami krwi: wielkim, silnym strumieniem i małymi strumykami. Czasem gubił trop, czasem ukłucie w nodze przełamywało się i żądało, by je usłyszeć. Ale pomału znalazł drogę do zdrowej skóry i kości w lewej nodze. Struga krwi była tutaj słabsza, ale doprowadziła go do celu. Odszukał wszystkie warstwy podobne do łupiny cebuli. Zbadał ich porządek, zobaczył, jak powiązany jest mięsień i jak się łączą malutkie żyłki, jak rozciąga się skóra i jaka jest szczelna.

Dopiero wtedy poszukał szlaku do złamanej nogi. Przyszyta przez mamę łata skóry właściwie już obumarła i zaczynała gnić. Alvin Junior wiedział jednak, czego jej trzeba, jeśli choć cząstka ma przeżyć. Odnalazł zmiażdżone końce żył wokół rany i zaczął je pobudzać, by rosły - tak, jak kierował pęknięciami w skale. Ale skała była łatwa w porównaniu z tym tutaj; by powstało pęknięcie, musiała po prostu ustąpić, nic więcej. Żywe ciało wolniej spełniało jego życzenia, więc wkrótce zrezygnował ze wszystkich z wyjątkiem najsilniejszej arterii.

Zaczynał dostrzegać, jak tkanka wykorzystuje do budowy różne kawałki. Sporo z tego, co się tam działo, było zbyt małe, szybkie i złożone, by Alvin mógł to pojąć. Ale mógł skłonić swe ciało, by uwolniło wszystko, czego arteria potrzebowała do wzrostu. Potrafił wysłać to tam, gdzie należało. Po chwili arteria sięgnęła gnijącej tkanki. Musiał się trochę pomęczyć, ale w końcu odszukał koniec martwej tętnicy, połączył je razem i posłał do przyszytej skóry strumień krwi.

Za szybko i za dużo. Poczuł ciepło krwi, dziesiątkami szczelin wyciekającej z martwego ciała. Skóra nie mogła zatrzymać wszystkiego, co tam pompował. Wolniej, wolniej, wolniej. Podążał za krwią, sączącą się raczej niż płynącą. Znowu łączył naczynia, tętnice i żyły. Starał się - jak najdokładniej naśladować układ w zdrowej nodze.

Wreszcie skończył, chociaż tylko prowizorycznie. Mógł uruchomić normalny obieg. A kiedy popłynęła krew, wiele części przyszytej skóry wróciło do życia. Inne pozostały martwe. Alvin obmywał je krwią, ograniczał, rozbijał na składniki i elementy tak małe, że nie mógł ich już rozpoznać. Za to żywe części rozpoznawały je bez trudu, przechwytywały i zmuszały do pracy. Gdziekolwiek przeszedł Alvin, tam rosło żywe ciało.

Wreszcie był tak zmęczony ciężką pracą i myśleniem o małych rzeczach, że zasnął wbrew własnej woli.

- Nie chcę go budzić.
- Musisz go ruszyć, żeby zmienić bandaż.
- No, dobrze. Och, Alvinie, ostrożnie. Nie, ja to zrobię.
- Przecież robiłem już takie rzeczy.
- Ale przy krowach, Alvinie, nie przy małych chłopcach.

Alvin Junior poczuł ucisk na nodze. Coś ciągnęło za skórę. Nie bolało już tak jak wczoraj. Był za bardzo zmęczony, żeby otworzyć oczy. Albo choćby zamruczeć, dając znak, że już nie śpi i słyszy, co mówią.

- Wielkie nieba, Faith, musiał strasznie krwawić.
- Mamo, Mary powiedziała, że mam...
- Cicho bądź i uciekaj stąd, Cally! Nie widzisz, że mama martwi się o...

- Nie krzycz na niego, Alvinie. Ma dopiero siedem lat.
- Siedem lat wystarczy, żeby siedział cicho i nie przeszkadzał dorosłym, kiedy...
popatrz tylko.

- Nie do wiary!
- Myślałem, że ropa będzie płynąć jak mleko z krowiego wymienia.
- Zupełnie czysto.
- I skóra odrasta. Zobacz. Twoje szwy chyba złapały.
- Nie liczyłam, że skóra zostanie żywa.
- Nawet nie widać kości.
- Pan nas pobłogosławił. Modliłam się całą noc, Alvinie, i spójrz tylko, czego Bóg dokonał.

- Powinnaś modlić się bardziej gorąco, żeby wyleczyć go do końca. Chłopak jest mi potrzebny w gospodarstwie.

- Nie bluźnij w mojej obecności, Alvinie Millerze.
- Kolki dostaję kiedy pomyślę, że Bóg zawsze się wśliznie, by przypisać sobie zasługę. Może na Alvinie rany po prostu szybko się goją. Pomyślałaś o tym?

- Popatrz, te twoje herezje go zbudziły.
- Sprawdź, czy nie chce się napić.
- Dostanie pić, chce czy nie.

Alwinowi bardzo chciało się pić. Wyszło mu całe ciało, nie tylko usta. Musiał odzyskać to, co utracił we krwi. Przełknął jak najwięcej z przytkniętego do warg blaszanego kubka. Dużo pociekło mu na twarz i szyję, ale ledwie to zauważył. Liczyła się tylko woda, która spłynęła do żołądka.

Chciał sprawdzić, co się dzieje w ranie. Ale powrót był za trudny. Nie mógł się skoncentrować. Zrezygnował, zanim dotarł do połowy drogi.

Przebudził się znowu. Pomyślał, że znów jest noc albo ktoś zaciągnął zasłony. Nie mógł sprawdzić, ponieważ wysiłek otwarcia oczu okazał się zbyt duży. Powrócił ostry ból i coś może jeszcze gorszego: noga tak łaskotała, że z trudem hamował odruch drapania. Po chwili jednak znowu odnalazł ranę i znowu pomógł narastać warstwom ciała. Usypiając, pozostawił cienką, kompletną skórę. Pod spodem ciało nadal odnawiało poszarpane mięśnie i zrastały się kości. Ale nie będzie już strat krwi, nie będzie otwartej rany, która może spowodować zakażenie.

- Popatrzcie, Bajarzu. Widzieliście kiedyś coś podobnego?
- Skóra jak u niemowlęcia.

- Może zwariowałem, ale gdyby nie łupki, to chyba nie trzeba by obwiązywać tej nogi.

- Ani śladu rany. Macie rację, bandaż nie jest już potrzebny.

- Może żona miała rację. Może Bóg spojrzał na nas łaskawie i sprawił cud.

- Trudno przesądzać. Kiedy chłopak się zbudzi, może będzie mógł coś o tym opowiedzieć.

- Nie ma mowy. Przez cały czas nawet nie otworzył oczu.

- Jedno jest pewne, panie Miller. On już nie umrze. To więcej, niż można było wczoraj oczekiwać.

- Miałem już składać mu skrzynię do grobu. Tak było. Nie miałem nadziei. Spójrzcie tylko, jak zdrowo wygląda. Chcę wiedzieć, co go chroni. Albo kto.

- Cokolwiek by to było, panie Miller, chłopiec jest silniejszy. Warto o tym pomyśleć. Jego opiekun rozbił kamień, ale Al Junior złożył go z powrotem i ten opiekun nic nie mógł na to poradzić.

- Sądzicie, że wiedział, co robi?

- Musi mieć jakieś pojęcie o swojej mocy. Wiedział, co może zrobić z kamieniem.

- Powiem wam szczerze, że nigdy nie słyszałem o takim talencie. Opowiedziałem Faith, jak to było z kamieniem, jak obciągnął go nie dotykając nawet dłutem tylnej strony. A ona zaczęła czytać z Księgi Daniela i krzyczeć o spełnieniu prorocstwa. Chciała tu przybiec i uprzedzić chłopaka o glinianych stopach. Czy to już nie przesada? Religia doprowadza je do obłądu. Jeszcze nie spotkałem kobiety, która nie byłaby obłąkana religią.

Otworzyły się drzwi.

- Wynoś się stąd! Taki jesteś tępy, Cally, że muszę ci powtarzać dwadzieścia razy? Gdzie jego matka? Nie potrafi dopilnować siedmioletniego chłopca, żeby nie włąził...

- Nie złości się na niego, Miller. Zresztą i tak już poszedł.

- Nie wiem, co się z nim dzieje. Jak tylko Al Junior zachorował, gdziekolwiek spojrzę, widzę Cally'ego. Jak grabarza, który liczy na zarobek.

- Może to dla niego niezwykle. Że Alvin jest ranny.

- Przecież tyle razy Alvin był o włos od śmierci... - Ale nigdy nic mu się nie stało.

Cisza.

- Bajarzu.

- Tak, panie Miller?

- Byliście nam przyjacielem, często wbrew nam samym. Ale myślę, że ciągle jesteście wędrowcem.

- Jestem, panie Miller.

- Nie mówię po to, żeby was popędzać... Ale gdybyście mieli wkrótce wyruszyć i gdybyście szli mniej więcej na wschód, czy moglibyście zabrać list?

- Z przyjemnością. Bez opłaty od nadawcy ani adresata.

- To bardzo uprzejme z waszej strony. Myślałem o tym, co mi poradziliście. O tym, że chłopca trzeba odesłać dalej od niebezpieczeństwa. I zastanawiałem się, czy są gdzieś w świecie ludzie, którym mógłbym powierzyć dziecko. W Nowej Anglii nie zostawiliśmy żadnych krewnych, o których warto wspominać. Zresztą nie chciałbym, żeby chłopak został purytaninem żyjącym na krawędzi Piekła.

- Z radością tego słucham, panie Miller, bo też nie marzę o powrocie do Nowej Anglii.

- Gdybyście ruszyli szlakiem, którym przybyliśmy jadąc na zachód, prędzej czy później trafilibyście w pewne miejsce nad rzeką Hatrack, jakieś trzydzieści mil na północ od Hio, trochę poniżej Fortu Dekane. Stoi tam zajazd, w każdym razie stał, a na tyłach jest cmentarz i kamień z napisem "Vigor zginął, by ratować brata".

- Chcecie, żebym zabrał chłopca?

- Nie, nie. Teraz, kiedy spadł śnieg, nigdzie go nie puszcę. Woda...

- Rozumiem.

- Żyje tam kowal. Pomyślałem, że może szuka terminatora. Alvin jest młody, ale silny jak na swój wiek. Chyba przydałby się w kuźni.

- Do terminu?

- Przecież nie oddam go w niewolę, prawda? A nie mam pieniędzy na szkoły.

- Wezmę list. Ale mam nadzieję, że pozwolicie mi zostać, aż się obudzi. Chciałem się pożegnać.

- Nie miałem zamiaru wysłać was dziś w nocy. Ani jutro. Śnieg leży tak głęboko, że mógłby podusić króliki.

- Nie byłem pewien, czy zauważyliście, jaka jest pogoda.

- Zawsze zauważam, kiedy mam wodę pod nogami. - Gospodarz roześmiał się z goryczą. Potem wyszli obaj.

Alvin Junior leżał i zastanawiał się, dlaczego tato chce go gdzieś wysłać. Przez całe życie był grzeczny, w każdym razie starał się jak potrafił. Czy nie pomagał, kiedy tylko wiedział jak? Czy nie chodził do szkoły wielebnego Throwera, chociaż pastor uparł się, żeby doprowadzić go do szaleństwa albo całkiem ogłupić? A przede wszystkim, czy nie sprowadził

z gór idealnego kamienia, nie pilnował go przez całą drogę i nie uczył, jak ma się przesuwać? Zaryzykował własną nogę, żeby ten kamień nie pękł. A teraz chcą go odesłać.

Terminator! U kowala! Nigdy w życiu nawet nie widział kowala. Do najbliższej kuźni były trzy dni jazdy i tato nigdy go nie zabierał. Zresztą nie zdarzyło się jeszcze, by Alvin oddalił się od domu dalej niż na milę.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był zły. Tyle razy błagał mamę i tatę, żeby pozwolili mu iść samemu do lasu, a oni nie pozwalali; Zawsze ktoś musiał z nim chodzić, jakby był więźniem albo niewolnikiem, który chce uciec. Jeśli spóźnił się gdzieś o pięć minut, zaczynali go szukać. Nigdy nie był daleko; najdalsza podróż to te kilka wypraw do kamieniołomu. A teraz, kiedy tyle lat trzymali go zamkniętego jak świąteczną gęś, postanowili wysłać go na sam koniec świata.

Była to tak rażąca niesprawiedliwość, że łzy stanęły chłopcu w oczach, przecisnęły się przez powieki i pociekły po policzkach prosto do uszu. Wrażenie było tak zabawne, że aż się roześmiał.

- Z czego się śmiesz? - zapytał Cally.

Alvin nie słyszał, kiedy wszedł.

- Lepiej się czujesz? Krew ci już nigdzie nie leci, Al.

Cally dotknął jego policzka.

- Płaczesz, bo tak strasznie cię boli?

Alvin mógłby mu pewnie odpowiedzieć, ale miał wrażenie, że otwieranie ust okaże się zbyt trudne. Pokręcił więc tylko głową, wolno i delikatnie.

- Czy ty umrzesz, Alvinie? - zapytał Cally.

Znowu pokręcił głową.

- Aha.

Cally był tak rozczarowany, że Alvin trochę się zezłościł. Wystarczająco, żeby jednak otworzyć usta.

- Przykro mi - wychrypiał.

- To i tak niesprawiedliwie - oświadczył Cally. - Nie chciałem, żebyś umarł, ale oni wszyscy mówili, że nie przeżyjesz. A ja zacząłem myśleć, jakby było, gdyby to mną wszyscy się zajmowali. Przez cały czas wszyscy uważają tylko na ciebie, a kiedy ja się odezwę, od razu mówią: Wyjdź stąd, Cally, Zamknij buzię, Cally, Nikt cię nie pytał, Cally, Cally, czy nie powinienes już leżeć w łóżku? Nie obchodzi ich co robię. Chyba że zacznę się bić akurat z tobą. Wtedy mówią: Cally, nie powinienes się bić.

- Jak na mysz polną, to niezły z ciebie zapaśnik. - Alvin chciał to powiedzieć, ale nie był pewien, czy w ogóle poruszył wargami.

- Wiesz, co zrobiłem, kiedy miałem sześć lat? Wyszedłem i zgubiłem się w lesie. Szedłem i szedłem. Czasami zamykałem oczy i obracałem się parę razy, żeby na pewno nie wiedzieć gdzie jestem. Nie było mnie przynajmniej pół dnia. I czy ktoś zaczął mnie szukać? W końcu musiałem zawrócić i sam znaleźć drogę do domu. Nikt nie zapytał: Gdzie byłeś przez cały dzień, Cally? Mama powiedziała tylko: Masz ręce brudne jak tylna strona chorego konia. Idź się umyć.

Alvin zaśmiał się znowu, niemal bezgłośnie. Pierś zafalowała.

- Dla ciebie to śmieszne. Ciebie wszyscy pilnują.

Alvin bardzo się starał, by wydać z siebie jakiś głos.

- Chcesz, żeby mnie nie było?

Cally długo nie odpowiadał.

- Nie. Kto by się ze mną bawił? Tylko ci tępi kuzyni. Nie ma wśród nich ani jednego dobrego zapaśnika.

- Odchodzę - wyszeptał Alvin.

- Wcale nie. Jesteś siódmym synem i nigdzie cię nie puszczą.

- Odejdę.

- Oczywiście, według moich obliczeń to ja mam numer siódmy. David, Calm, Measure, Wastenot i Wantnot, Alvin Junior czyli ty, a potem ja. Razem siedem.

- Vigor.

- On nie żyje. Już bardzo dawno nie żyje. Ktoś powinien o tym powiedzieć tacie i mamie.

Kilka wyszeptanych słów niemal doszczętnie wyczerpało Alvina. Cally też się więcej nie odzywał. Siedział tylko w absolutnej ciszy, ściskając mocno dłoń brata. Wkrótce potem Alvin zaczął tracić świadomość, więc nie był całkiem pewny, czy Cally naprawdę przemówił, czy to był tylko sen. Ale słyszał słowa: "Nigdy bym nie chciał, żebyś umarł". A potem Cally mógł jeszcze dodać: "Chciałbym być tobą". W każdym razie Alvin zasnął, a kiedy się obudził, nikogo przy nim nie było. W domu panowała cisza, jeśli nie liczyć zwykłych nocnych odgłosów: uderzeń wiatru o okiennice, skrzypienia kurczących się od mrozu belek, trzaskania drew na palenisku.

Jeszcze raz Alvin zszedł do własnego wnętrza i przedostał się aż do rany. Przy skórze i mięśniach niewiele zostało do zrobienia. Teraz zajął się kośćmi. Był zaskoczony, jakie są

nierówne i nakrapiane małymi otworkami. Wcale nie pełne i masywne jak młyński kamień. Ale dość szybko je zrozumiał i wtedy składanie poszło już łatwo.

Mimo to coś było z kością nie w porządku. Coś w chorej nodze nie chciało się ułożyć tak, jak w zdrowej. Ale było tak małe, że nie mógł się dobrze przyjrzeć. Wiedział tylko, że cokolwiek to jest, zaraża wnętrze. Taka mała plamka choroby, ale nie potrafił jej wyleczyć. Zupełnie jakby próbował podnosić z ziemi płatki śniegu: kiedy już myślał, że coś złapał, okazywało się, że to nic, albo że jest za małe, żeby to zauważyć.

Może samo przejdzie, pomyślał. Może jeśli wszystko dookoła wyzdrowieje, to chore miejsce w kości samo się wyleczy.

Eleanor późno wróciła od matki. Armor uważał, że żona powinna dbać o więzy rodzinne, ale wracanie do domu po zmroku jest niebezpieczne.

- Chodzą słuchy o dzikich Czerwonych nadciągających z południa - oświadczył. - A ty włączysz się po ciemku.

- Spieszyłam się - odparła. - Znam drogę do domu.

- Nie chodzi o drogę - zauważył surowo. - Francuzi za skalpy Białych zaczęli płacić karabinami. Nie skusi to ludzi Proroka, ale jest wielu Choc-Tawów, którzy chętnie wyruszą do Fort Detroit, zbierając skalpy po drodze.

- Alvin nie umrze - oznajmiła Eleanor.

Armor-of-God nie znosił, kiedy w ten sposób zmieniała temat. Ale wiadomość była tak niezwykła, że musiał zapytać o szczegóły.

- Postanowili amputować nogę?

- Widziałam tę nogę. Goi się. Po południu Alvin Junior odzyskał przytomność. Rozmawiałam z nim chwilę.

- Cieszę się, że był przytomny, Elly. Naprawdę. Ale mam nadzieję, że nie liczysz na poprawę jego stanu. Taka rana wygląda czasem, jakby się goiła, ale niedługo zacznie gnić.

- Chyba nie tym razem - stwierdziła. - Chcesz kolację?

- Pogryzłem już dwa bochenki chleba, chodząc tam i z powrotem. Nie byłem pewien, czy w ogóle wrócisz do domu.

- Niedobrze, kiedy mężczyźnie rośnie brzuch.

- Ja już mam brzuch i on woła jeść, jak u każdego człowieka.

- Mama dała mi sera. - Położyła paczkę na stole.

Armor miał pewne wątpliwości. Uważał, że Faith Miller robi jakieś czary z mlekiem i tylko dlatego jej sery mają taki znakomity smak. A z drugiej strony, nie było lepszego sera po obu brzegach Wobbish ani nad Chybotliwym Canoe.

Kiedy przyłapywał się na kompromisowej postawie wobec magii, robił się drażliwy. A kiedy był drażliwy, niczego nie zostawiał w spokoju. Dlatego zapytał, choć widział, że Elly nie chce o tym mówić.

- Dlaczego sądzisz, że ta noga nie zgnije?

- Goi się szybko - odpowiedziała.

- Jak szybko?

- Jest już prawie zdrowa.

- Co to znaczy: prawie?

Odwróciła się, wzniosła oczy do góry i znowu stanęła tyłem do męża. Zaczęła kroić jabłko, które miało być dodatkiem do sera.

- Pytałem, co to znaczy: prawie, Elly. Co oznacza: prawie zdrowa?

- Zdrowa.

- Dwa dni temu kamień młyński wyrwał mu przednią połowę goleni, a noga już wyzdrowiała?

- Tylko dwa dni? - zdziwiła się. - Miałam wrażenie, że minął co najmniej tydzień.

- Tylko dwa dni, zgodnie z kalendarzem. A to znaczy, że działały jakieś czary.

- O ile znam pismo, ten, który uzdrawiał, nie był żadnym czarownikiem.

- Kto to zrobił? Nie mów mi tylko, że twoja matka albo ojciec wymyślili coś tak potężnego. Czy przywołali diabła?

Odwróciła się gwałtownie. W rękę trzymała wzniesiony do cięcia nóż.

- Tato nie chodzi może do kościoła, ale diabeł nigdy nie postawił nogi w naszym domu.

Wielebny Thrower mówił co innego, lecz Armor wiedział, że w tej dyskusji nie należy się na niego powoływać.

- W takim razie ten żebrak.

- Pracuje na swoje wyżywienie i nocleg. Równie ciężko jak wszyscy.

- Podobno znał tego starego czarownika Bena Franklina. I tego ateistę z Appalachów, Toma Jeffersona.

- Opowiada ciekawe historie. Zresztą, to nie on wyleczył Alvina.

- Ktoś to zrobił.

- Może sam się wyleczył. Poza tym noga ciągle jest złamana. Więc to nie żaden cud ani nic. Po prostu na Alyinie wszystko szybko się goi.

- Może szybko się goi dlatego, że diabeł dba o swoich.

Widząc wyraz jej twarzy, Armor pożałował tych słów. Ale, do licha, przecież sam wielbny Thrower mówił, że chłopiec jest pełen zła jak Bestia Apokalipsy.

Jednak, bestia czy chłopiec, był przecież bratem Elly. A Elly, chociaż zwykle taka spokojna, kiedy już wpadła w złość, budziła przerażenie.

- Cofnij to - rozkazała.

- W życiu nie słyszałem głupszego gadania. Jak mogę cofnąć to, co już powiedziałem?

- Mówiąc, że wiesz, że to nieprawda.

- Nie wiem, czy to prawda, czy nie. Powiedziałem "może", a jeśli mężczyźni nie wolno zwierzyć się żonie z takich "może", to chyba lepiej, żeby umarł.

- Tu masz rację - przyznała. - Jeśli tego nie cofniesz, to pożałujesz, że nie umarłeś.

Ruszyła na niego, trzymając w rękach po kawałku jabłka.

Na ogół kiedy tak mu groziła, nawet gdy była naprawdę zła, uciekał przed nią dookoła domu i zwykle w końcu wybuchała śmiechem. Ale nie tym razem. Jedną część jabłka rozgniotła mu we włosach, drugą w niego rzuciła, a potem zamknęła się w sypialni na górze i wypłakiwała sobie oczy.

Rzadko płakała, więc Armor uznał, że cała sprawa wymknęła się spod kontroli.

- Cofam to, Elly - oświadczył. - Wiem, że to dobry chłopak.

- Nie obchodzi mnie, co sobie myślisz. I tak nie masz o niczym pojęcia.

Niewielu było mężów, którzy pozwoliliby żonie wygadywać takie rzeczy i nie dali jej po buzi. Armor żałował czasem, że Elly nie docenia korzyści płynących z jego głębokiej wiary w chrześcijańskie zasady.

- Wiem to i owo.

- Chcą go wyprawić - wyjaśniła. - Kiedy przyjdzie wiosna, chcą go posłać do terminu. Widzę, że nie jest zachwycony, ale nie kłóci się. Leży tylko w łóżku i rozmawia cicho, ale na mnie i wszystkich patrzy tak, jakby się zegnał.

- Po co chcą go wyprawić?

- Mówiłam ci przecież: do terminu.

- Tak go pilnowali... Aż trudno uwierzyć, że zechcą go spuścić z oczu.

- I to wcale nie blisko. Ma jechać na wschodni kraniec terytorium Hio, niedaleko Fortu Dekane. Przecież to w połowie drogi do oceanu.

- Wiesz, kiedy się zastanowić, jest w tym pewien sens.
- Naprawdę?
- Czerwoni zaczynają sprawiać kłopoty, więc chcą wysłać chłopaka w bezpieczne miejsce. Reszta może zostać i skończyć ze strzałą w czoło. Byle nie Alvin Junior.

Spojrzała na niego z miażdżącą pogardą.

- Jesteś czasem tak podejrzliwy, że niedobrze mi się robi, Armorze-of-God.
- To nie podejrzliwość mówić, co się naprawdę dzieje.
- Nie odróżniłbyś prawdy od brukwi.
- Zmyjesz mi z włosów to jabłko, czy mam cię zmusić, żebyś je zliziała?
- Coś muszę z nim zrobić, bo zabrudzisz całą pościel.

Bajarz zabierał tyle rzeczy, że czuł się jak złodziej. Dwie pary grubych pończoch. Nowy koc. Kurtę z łosiowej skóry. Suszone mięso i ser. Dobrą oselkę.

I jeszcze takie rzeczy, których nawet się nie domyślali. Wypoczęte ciało, bez bólów i zadrapań. Rażny krok. Wspomnienia serdecznych twarzy. I historie. Historie zapisane w zamkniętej części książki, gdzie sam je zanotował. I prawdziwe historie z wysiłkiem zapisane ich własnymi rękami.

Odwdziczył się im jak należy, a przynajmniej próbował. Uszczelnił dachy na zimę, tu i tam wykonał inne prace. A co ważniejsze, pokazał im książkę z własnoręcznym wpisem Bena Franklina, ze zdaniami zanotowanymi przez Toma Jeffersona, Bena Arnolda, Pata Henry'ego, Johna Adamsa, Alexa Hamiltona... nawet Aarona Burra sprzed pojedynku i Daniela Boone'a po. Zanim ich odwiedził, należeli tylko do własnej rodziny i okręgu Wobbish. Teraz stali się elementami wspanialszych opowieści. Wojny o Niepodległość Appalachów. Konwencji Amerykańskiej. Własną wędrówkę przez pustkowia widzieli jako jedną nitkę z wielu podobnych i poczuli moc utkanego z tych nici gobelinu. Właściwie nawet nie gobelinu. Dywanu. Solidnego, grubego, trwałego dywanu, po którym będą stąpać całe pokolenia Amerykanów. Była w tym poezja; kiedyś napisze o tym wiersz.

Zostawiał im także inne rzeczy. Ukochanego syna, wyciągniętego spod młyńskiego kamienia. Ojca, który miał teraz dość siły, by odesłać syna, zanim go zabije. Imię dla koszmara chłopca, by ten lepiej zrozumiał, że wróg istnieje naprawdę. I wyszeptaną dziecku zachętę, by spróbowało się uzdrowić.

I rycinę, wypaloną czubkiem gorącego noża na gładkiej, dębowej desce. Wolałby pracować woskiem i kwasem na metalowej płycie, ale w tej okolicy nie były osiągalne. Wypalił więc linie w drewnie i starał się jak mógł. Obraz przedstawiał młodego człowieka

porwanego z prądem, zaplątanego w korzenie płynącego drzewa, walczącego o oddech. Oczy bez trwogi spoglądały w twarz nadchodzącej śmierci. W Akademii Sztuk Lorda Protektora wyśmiano by jego dzieło jako zbyt prymitywne. Lecz pani Faith zapłakała na jego widok, przycisnęła je do piersi, a łzy kapały na deskę niby ostatnie krople deszczu ściekające z okapu.

Alvin ojciec pokiwał tylko głową i powiedział:

- To wasza wizja, Bajarzu. Dokładnie uchwyciliście podobieństwo, a przecież nigdy go nie widzieliście. To Vigor. To mój syn.

A potem też się rozpłakał.

Ustawili rycinę na kominku. Może nie była dziełem sztuki, myślał Bajarz, ale była prawdziwa. Więcej znaczyła dla tych ludzi niż jakikolwiek portret dla grubego, starego lorda albo posła do parlamentu w Londynie, Camelocie, Paryżu czy Wiedniu.

- Piękny poranek - oznajmiła pani Faith. - Do wieczora daleko zajdziecie.

- Nie miejcie pretensji, że nie chcę stąd odchodzić. Choć dumny jestem, że powierzyliście mi to zadanie. Nie zawiodę was. - Poklepał się po kieszeni, gdzie spoczywał list do kowala znad Hatrack.

- Nie możecie odejść bez pożegnania z Alvinem - oświadczył Miller.

Bajarz jak mógł odkładał tę sprawę, ale dłużej już się nie dało. Skinął głową, podniósł się z wygodnego krzesła przy ogniu i ruszył do pokoju, gdzie przespał najlepsze noce swego życia. Przyjemnie było zobaczyć ożywioną twarz chłopca, nie tak zapadniętą i wykrzywioną z bólu, jak jeszcze całkiem niedawno. Bajarz wiedział jednak, że ból nie zniknął.

- Odchodzicie? - zapytał chłopiec.

- Już mnie nie ma. Chciałem się tylko pożegnać. Alvin trochę się zirytował.

- Więc nie pozwolicie mi się nawet wpisać do swojej książki?

- Wiesz przecież, że nie wszystkim pozwalam.

- Tato się wpisał. I mama.

- Cally też.

- Na pewno ładnie to wygląda - stwierdził Alvin. - Cally pisze jak...jak...

- Jak siedmiolatek. - To była wymówka, ale Alvin wcale się nie speszył.

- A dlaczego nie ja? Czemu Cally, a ja nie?

- Bo pozwalam ludziom zapisywać najważniejszą rzecz, jakiej dokonali albo oglądali na własne oczy. O czym byś napisał?

- Sam nie wiem. Może o kamieniu.

Bajarz skrzywił się.

- To może o mojej wizji. Sami mówiliście, że jest ważna.
- I została zapisana w innym miejscu, Alvinie.
- Chcę się wpisać do książki - upierał się chłopiec. - Chcę, żeby było w niej moje zdanie, obok zdania Stwórcy Bena.

- Jeszcze nie.
- A kiedy?
- Kiedy złoisz skórę temu Niszczycielowi, mój chłopcze. Wtedy pozwolę ci zapisać to w mojej książce.

- A jeśli nigdy z nim nie wygram?
- To i książka nie będzie już ważna.

Łzy stanęły chłopcu w oczach.

- A jeśli umrę?

Bajarz poczuł ukłucie lęku.

- Co z nogą?

Alvin wzruszył ramionami. Zamrugał i łzy zniknęły.

- To żadna odpowiedź.

- Nie przestaje boleć.

- Tak już będzie, póki kości się nie zrosną.

- Już się zrosły - uśmiechnął się blado Alvin.

- To dlaczego nie chodzisz?

- Boli mnie, Bajarzu. Nigdy nie przestaje. W kości jest takie złe miejsce i nie wiem, jak je naprawić.

- Znajdziesz sposób.

- Jeszcze nie znalazłem.

- Kiedyś powiedział mi jeden stary traper: "Nieważne, czy zaczniesz od zadu czy od mostka; każdy sposób jest dobry, żeby ściągnąć skórę z pantery".

- Czy to przysłowie?

- Prawie. Znajdziesz sposób, choć może całkiem inny, niż się spodziewasz.

- Wszystko jest inne, niż się spodziewam - odparł chłopiec. - Nic nie jest takie, jak myślałem.

- Masz dopiero dziesięć lat. Już jesteś zmęczony światem?

Alvin pocierał palcami fałdę koca.

- Bajarzu, ja umieram.

Starzec studiował jego twarz, szukając w niej oznak śmierci. Nie było ich.

- Nie przypuszczam.

- To złe miejsce w nodze... ono rośnie. Wolno, ale bez przerwy. Jest niewidzialne, ale pochłania twarde części kości. Potem zaczną rosnąć szybciej, jeszcze szybciej i...

- I cię zniszczy.

Tym razem Alvin rozplakał się naprawdę. Ręce mu drżały.

- Boję się śmierci, Bajarzu, ale to we mnie weszło i nie mogę tego usunąć.

Bajarz położył mu dłoń na rękę, by uciszyć drżenie.

- Znajdziesz sposób. Za wiele masz pracy na tym świecie, żeby teraz umrzeć.

Alvin spojrzał ponuro.

- To najgłupsza rzecz, jaką słyszałem w tym roku. Jeśli ktoś ma dużo do zrobienia, to jeszcze wcale nie znaczy, że nie umrze.

- Ale znaczy, że nie chce umrzeć.

- Ja nie chcę.

- Właśnie dlatego znajdziesz sposób, by przeżyć.

Alvin zamyślił się na chwilę.

- Zastanawiałem się nad tym, co będę robił, jeśli przeżyję. Choćby to, co zrobiłem z nogą. Jest prawie zdrowa. Mogłbym tak samo leczyć innych. Kładłbym na nich ręce, szukał drogi we wnętrzu i naprawiał. Dobrze wymyśliłem?

- Uwielbialiby cię za to. Ci wszyscy, których byś wyleczył.

- Pierwszy raz jest chyba najtrudniejszy. Zresztą, nie miałem siły, kiedy próbowałem. Na pewno z innymi wszystko pójdzie szybciej.

- Może i tak. Ale choćbyś codziennie uzdrowił stu ludzi, przeszedł w inne miejsce i uzdrowił następnych stu, dziesięć tysięcy umrze za tobą i drugie dziesięć tysięcy przed tobą. A zanim sam umrzesz, nawet ci wyleczeni będą już prawie wszyscy martwi.

Alvin odwrócił głowę.

- Jeśli wiem, jak im pomóc, Bajarzu, to muszę im pomóc.

- Musisz tym, którym zdołasz - odparł starzec. - Ale nie to jest dziełem twego życia. Cegły w murze, Alvinie. Tym są oni wszyscy. Nic nie osiągniesz naprawiając pokruszone cegły. Ulecz tych, którzy do ciebie trafiają. Ale praca twojego życia jest o wiele poważniejsza.

- Wiem jak leczyć ludzi. Ale nie wiem, jak pokonać tego... Niszczyciela. Nie wiem nawet, czym on jest.

- Póki ty jeden potrafisz go zobaczyć, ty jeden masz szansę go pokonać.

- Może.

Milczeli przez chwilę. Bajarz wiedział, że przyszła pora rozstania.

- Czekajcie.

- Muszę już iść.

Alvin złapał go za rękaw.

- Jeszcze nie!

- Już pora.

- Przynajmniej... przynajmniej dajcie mi przeczytać, co napisali inni.

Bajarz sięgnął do worka i wyjął sakwę z książką.

- Nie mogę ci obiecać, że wytłumaczę, co mieli na myśli - uprzedził, wyjmując książkę z wodoszczelnej osłony.

Alvin szybko odnalazł ostatnie, najnowsze zapisy.

Ręką mamy: "Vigor odepchnął belkę i nie umar aż chłopiec się urodził".

Ręką Davida: "Młyński kamień pęk na połowy i zrus się bes śladu".

Ręką Cally'ego: "Siudmy synn".

Alvin podniósł głowę.

- Jemu nie chodzi o mnie, wiecie?

- Wiem - potwierdził Bajarz.

Alvin wrócił do książki.

Ręka taty wpisała: "Nie zabił chłopca bo pszybysz zjawiał się na czas".

- O czym tato tu napisał?

Bajarz wyjął mu książkę z dłoni. Zamknął ją.

- Znajdź sposób, by wyleczyć nogę - powiedział. - Wiele dusz, nie tylko twoja, potrzebuje jej siły.

Pochylił się i ucałował chłopca w czoło. Alvin objął go za szyję i przytulił się tak mocno, że gdyby Bajarz wstał, podniósłby go z łóżka. W końcu musiał sięgnąć za głowę i oderwać dłonie chłopca. Policzek miał mokry od łez Alvina. Nie wycierał ich. Pozwolił, by wyschły na wietrze, gdy człapał ścieżką między polami topniejącego śniegu.

Przystanął na drugim zadaszonym moście. Tylko na chwilę, by pomyśleć, czy wróci tu jeszcze kiedyś albo przynajmniej zobaczy ich znowu. I czy Alvin Junior wpisze do książki własne zdanie. Gdyby był prorokiem, pewnie by wiedział. Ale nie miał najmniejszego pojęcia.

Ruszył dalej, kierując swe stopy w stronę poranka.

Rozdział 13

Operacja

Przybysz siedział swobodnie na ołtarzu. Pochylony beztrosko, podpierał się lekko lewą ręką. Wielebny Thrower widział dokładnie taką samą pozę u pewnego dandysa z Camelotu, szatańskiego pomiotu mającego w pogardzie wszystkie wartości, o jakie walczyły purytańskie kościoły Anglii i Szkocji. Poczuł niepokój widząc u Przybysza taką demonstrację lekceważenia.

- Dlaczego? - zapytał Przybysz. - To, że nie potrafisz zapanować nad odruchami ciała inaczej niż siedząc prosto na krześle, nogi razem, dłonie na kolanach, palce splecione, nie oznacza jeszcze, że ja mam się zachowywać tak samo.

- niesprawiedliwie jest karać mnie za same myśli - odparł zakłopotany Thrower.

- Sprawiedliwie, jeśli te myśli karzą mnie za moje działania. Strzeż się pychy, przyjacielu. Nie sądz, że tak jesteś cnotliwy, by sądzić czyny aniołów.

Po raz pierwszy Przybysz nazwał siebie aniołem.

- Niczym się nie nazwałem. Naucz się panować nad myślami, Thrower. Zbyt łatwo wyciągasz wnioski.

- Dlaczego przyszedłeś?

- W sprawie twórcy tego ołtarza. - Przybysz poklepał jeden z krzyży, wypalonych w drewnie przez Alvina.

- Robiłem co mogłem, ale chłopak jest niepoprawny. Wątpi we wszystko; atakuje każdą tezę teologii, jak gdyby musiała spełnić te same wymagania logiki i spójności, które obowiązują w świecie nauki.

- Innymi słowy, oczekuje, by twoje doktryny miały sens.

- Nie chce się pogodzić z tym, że pewne sprawy pozostają tajemnicą zrozumiałą tylko dla umysłu Boga. Dwuznaczności go drażnią, a paradoksy wywołują otwarty bunt.

- Nieznośny dzieciak.

- Najgorszy, jakiego znam.

Oczy Przybysza błysnęły. Thrower poczuł ukłucie w sercu.

- Próbowałem - zapewnił. - Starłem się uczynić go sługą Pana. Ale wpływ ojca...

- Słabym jest człowiek, który własne porażki tłumaczy cudzą siłą - oświadczył Przybysz.

- Jeszcze nie przegrałem. Powiedziałeś przecież, że mam czas do jego czternastych urodzin...

- Nie. Powiedziałem, że ja mam czas do jego czternastych urodzin. Ty masz go tyle, ile chłopiec będzie tu mieszkał.

- Nie słyszałem, żeby Millerowie mieli się wynieść. Sprowadzili wreszcie młyński kamień, a na wiosnę uruchomią młyn. Nie odjadą bez...

Przybysz wstał.

- Przedstawię ci pewien przypadek, wielbny. Czysto hipotetyczny. Przypuśćmy, że znalazłeś się w jednym pokoju z największym wrogiem wszystkiego, co reprezentuję. Przypuśćmy, że on choruje i leży bezbronny w łóżu bóleści. Jeśli wróci do zdrowia, znajdzie się poza twoim zasięgiem i będzie nadal niszczył wszystko, co ty i ja kochamy na tym świecie. Ale jeśli umrze, zwycięstwo naszej sprawy jest pewne. Przypuśćmy dalej, że ktoś włożył ci w dłoń nóż i błaga, byś wykonał na chłopcu delikatną operację. I przypuśćmy, że jeśli ześliznie się ostrze, choćby odrobinę, nóż może przeciąć ważną arterię. A jeśli będziesz zwlekał, jego krew wypłynie tak szybko, że umrze w jednej chwili. W takim przypadku, wielbny, co byłoby twoim obowiązkiem?

Thrower czuł przerażenie. Przez całe życie przygotowywał się, by nauczać, przekonywać, napominać i objaśniać. Nigdy do tego, by popełnić czyn tak krwawy jak ten, który sugerował Przybysz.

- Nie nadaję się do takich rzeczy - odpowiedział.

- A nadajesz się do Królestwa Bożego?

- Ale Pan nakazał: "Nie będziesz zabijał".

- Doprawdy? Czy tak właśnie powiedział Jozuemu, kiedy posyłał go do ziemi obiecanej? Czy tak powiedział Saulowi, gdy go wysłał przeciw Amalekitom?

Thrower wspominał te mroczne wersy Starego Testamentu i zadrżał z trwogi, że sam ma dokonać podobnego dzieła. Przybysz jednak był nieubłagany.

- Najwyższy kapłan Samuel rozkazał królowi Saulowi, by zabił wszystkich Amalekitów: każdego mężczyznę i kobietę, każde dziecko. Ale Saul nie miał dość odwagi. Oszczędził króla Amalekitów i przywiózł go żywego. Za tę zbrodnię nieposłuszeństwa, jak ukarał go Pan?

- Wybrał Dawida, by został królem zamiast Saula - szepnął Thrower.

Przybysz stał tuż obok Throwera, a jego oczy oślepiały blaskiem.

- A co zrobił wtedy Samuel, najwyższy kapłan, łagodny sługa Boży?

- Rozkazał przyprowadzić do siebie Agaga, króla Amalekitów.

Przybysz naciskał dalej.

- I co zrobił Samuel?

- Zabił go - wyszeptał Thrower.

- Co mówi pismo? - ryknął Przybysz.

Ściany kościoła zadygotały, a szyby zadzwoniły w oknach.

Thrower zapłakał ze strachu, ale przytoczył słowa, których żądał Przybysz:

- Kazał stracić Agaga przed Panem.

Wśród zapadłej ciszy jedynym dźwiękiem był urywany oddech Throwera, który starał się opanować histeryczny szloch. Przybysz uśmiechnął się, a w jego oczach pojawiło się wybaczenie i miłość. Potem zniknął.

Thrower padł na kolana i modlił się. O Panie, umrę dla ciebie, ale nie każ mi zabijać. Oddał ode mnie ten kielich goryczy. Jestem słaby, jestem niegodny, zdejmij to brzemię z moich ramion.

Łzy padły na ołtarz. Thrower usłyszał syk i odskoczył przestraszony. Łzy podskakiwały na ołtarzu jak woda na rozpalonej blasze. Wreszcie wyparowały.

Pan mnie odepchnął, pomyślał Thrower. Ślubowałem służyć Mu w każdej potrzebie, a kiedy zażądał czegoś trudnego, kiedy rozkazał mi być silnym jak wielcy prorocy dawnych dni, okazałem się pękniętym dzbanem w jego rękach. Nie mogłem zawrzeć przeznaczenia, które chciał wlać we mnie.

Drzwi kościoła otworzyły się nagle, wpuszczając falę mroźnego powietrza, które popłynęło nad podłogą. Kapłan poczuł dreszcze. Podniósł głowę zalekniony, że to anioł, wysłany by go ukarać.

Ale to nie był anioł. Tylko Armor-of-God Weaver.

- Nie chciałem przeszkadzać wam w modlitwie.

- Wejdźcie - zaprosił go Thrower. - Zamknijcie drzwi. W czym mogę wam pomóc?

- Nie mnie.

- Wejdźcie. Siadajcie i mówcie.

Thrower miał nadzieję, że to znak boży, to nagle przybycie Armora właśnie w tej chwili. Członek kongregacji z prośbą o pomoc zaraz po modlitwie... z pewnością Pan chciał pokazać, że nie odepchnął Throwera.

- Chodzi o brata mojej żony - oświadczył Armor. - Tego chłopca, Alvina Juniora.

Lodowaty dreszcz grozy przebiegł Throwerowi po plecach i przemroził aż do kości.

- Znam go. O co chodzi?

- Wiecie, że zgmiotło mu nogę.

- Słyszałem.
 - Nie odwiedziliście go przypadkiem, zanim wyzdrowiał?
 - Dano mi do zrozumienia, że nie jestem tam mile widziany.
 - Możecie mi wierzyć, że źle z nim było. Zerwana cała skóra. Złamane kości. Ale po dwóch dniach wszystko się zagoiło. Nie ma nawet blizny. Trzy dni potem już chodził.
 - Widocznie rana nie była tak ciężka, jak sądziliście.
 - Powtarzam wam, że miał złamaną nogę i fatalną ranę. Cała rodzina była przekonana, że umrze. Chcieli dostać u mnie gwoździe do trumny. A z żalu tak zmarnieli, że pomyślałem, czy nie trzeba będzie pochować też matki i ojca małego.
 - W takim razie nie mogła się całkiem wygoić.
 - Nie jest całkiem zdrowa i właśnie dlatego przychodzę. Wiem, że nie wierzycie w takie rzeczy, ale mówię wam, że musieli nogę chłopaka jakoś zaczarować. Elly twierdzi, że on sam rzucił urok. Chodził nawet przez parę dni bez żadnych łupków. Ale ból nie ustępował, a teraz Alvin uważa, że w kości jest chore miejsce. Ma gorączkę.
 - Wszystko da się wytłumaczyć w naturalny sposób - orzekł Thrower.
 - Jak tam chcecie. Ale moim zdaniem chłopak swoimi czarami sprowadził diabła, a teraz ten diabeł pożera go żywcem od środka. Jesteście wyświęconym sługą bożym. Pomyślałem, że moglibyście przepędzić diabła w imię Pana Jezusa.
- Przesady i czary to oczywiście bzdura, ale obecność diabła w ciele chłopca była całkiem prawdopodobna. Zgadzała się z tym, co mówił Przybysz. Może Pan pragnął, by egzorcyzmować to dziecko i oczyścić je ze zła, ale nie zabijać? To była szansa, by odkupić upadek woli sprzed kilku minut.
- Pójdę - oznajmił. Narzucił na ramiona gruby płaszcz.
 - Muszę was uprzedzić, że nikt w tym domu mnie nie prosił, by was sprowadzić.
 - Gotów jestem stawiać czoło gniewowi niewiernych - odparł Thrower. - Tylko ofiara diabelskich sztuczek budzi moją troskę, nie jego głupia i przesadna rodzina.

Alvin płonął gorączką. Teraz, za dnia, zamykali okiennice, żeby światło nie raziło go w oczy. Nocą jednak prosił, by otworzyli okna i wpuścili trochę chłodnego powietrza. Oddychał wtedy z ulgą. Przez te kilka dni, kiedy mógł chodzić, widział pokryte śniegiem łąki. Próbował sobie wyobrazić, jakby to było: leżeć teraz pod warstwą śniegu, poczuć ulgę od spalającego ciało gorąca.

Nie potrafił dostrzec małych rzeczy wewnątrz ciała. To, co zrobił z kośćmi, mięśniami i warstwami skóry, było o wiele trudniejsze niż szukanie pęknięć w skale. Ale

umiał odnaleźć drogę przez labirynt własnego ciała, odszukać większe rany, pomóc im się goić. Jednak wszystko, co się tam działo, było za małe i za szybkie, by to pojąć. Widział rezultaty, ale nie zauważał elementów; nie rozumiał, jak wszystko się odbywa.

Tak samo było z tym złym miejscem w kości. Jej kawałek słabł, rozkładał się i rozpadał. Alvin widział różnicę między złym miejscem a zdrową kością, umiał określić granice choroby. Ale nie potrafił zobaczyć, co się naprawdę dzieje. Nie umiał temu zapobiec. Dlatego umierał.

Widział, że nie jest w pokoju sam. Zawsze ktoś przy nim siedział. Jeśli otworzy oczy, zobaczy mamę, tatę albo jedną z dziewcząt. Czasem nawet któregoś z braci, choć musiał wtedy zostawiać żonę i obowiązki. Dla Alvina było to pocieszeniem, ale i ciężarem. Wciąż miał wrażenie, że powinien pospieszyć się z umieraniem, by wszyscy mogli wrócić do normalnego życia.

Dzisiaj siedział przy nim Measure. Alvin przywitał się, ale właściwie nie mieli o czym mówić. Co słyszeć? Dziękuję, właśnie umieram; a u ciebie? Trochę ciężko tak rozmawiać. Measure opowiedział, jak razem z bliźniakami próbowali wyciosać żarno. Wybrali kamień bardziej miękki niż ten, z którym pracował Alvin, ale i tak namęczyli się strasznie.

- W końcu daliśmy spokój - stwierdził Measure. - Trzeba poczekać, aż będziesz mógł pójść w góry i sam to zrobić.

Alvin nie odpowiedział, a później żaden z nich nie odezwał się już ani słowem. Alvin leżał spocony i czuł, jak wolno i nieubłaganie rozszerza się zgnilizna w kości. Measure siedział obok i trzymał go za rękę. Potem zaczął gwizdać.

Dźwięk zaskoczył Alvina. Był tak zafascynowany we wnętrzu swego ciała, że odniósł wrażenie, jakby muzyka dobiegała z wielkiej odległości. Musiał wrócić do świata zewnętrznego, by się przekonać, co jest jej źródłem

- Measure - chciał krzyknąć, ale z ust wydobył się tylko szept.

Gwizdanie ucichło.

- Przepraszam - odezwał się Measure. - Przeszkadzam ci?

- Nie.

Measure znów zaczął gwizdać jakąś dziwną melodię. Alvin nigdy jej chyba nie słyszał. Właściwie nie przypominała żadnej melodii. Nie powtarzała się, tylko wciąż rozbrzmiewała w nowych tonach, jak gdyby Measure wymyślał ją na bieżąco. Alvin słuchał, a melodia wydała mu się mapą, prowadzącą go przez pustkowia. Podążył za nią. Niczego nie widział, w przeciwieństwie do wędrowki z prawdziwą mapą. Melodia po prostu ukazywała

mu samo centrum zdarzeń, i kiedy o czymś pomyślał, miał wrażenie, że tam właśnie stoi. Jak gdyby spoglądał na wszystkie swoje poprzednie myśli, kiedy szukał sposobu, by wyleczyć złe miejsce w kości. Tylko że teraz widział je z daleka, może z wysoka, ze szczytu góry czy z polany. Widział więcej.

Pomyślał o czymś, co dotąd nie przyszło mu do głowy. Kiedy noga była złamana ze zdartą skórą, wszyscy widzieli ranę, ale nikt nie mógł mu pomóc. Tylko on sam. Musiał naprawić wszystko od środka. A teraz nikt nie widział, co go zabija. On sam widział, ale nie mógł zrobić.

Więc może tym razem ktoś inny powinien go leczyć. Bez korzystania z ukrytych mocy. Niech wykona zwyczajną, normalną, krwawą operację.

- Measure - szepnął Alvin.
- Jestem tu.
- Znam sposób wyleczenia nogi.

Measure pochylił się. Alvin nie otwierał oczu, ale czuł na policzku oddech brata.

- To złe miejsce w nodze ciągle rośnie, ale jeszcze nie objęło całej kości. Nie mogę nic poradzić, ale myślę, że gdyby ktoś wyciął ten kawałek kości i wyjął go z nogi, resztę bym jakoś ponaprawiał.

- Wyciął?
- Ta piła, której używa tato do cięcia mięsa. Powinna się nadać.
- Ale na trzysta mil dookoła nie ma żadnego chirurga.
- To lepiej niech ktoś się szybko nauczy. Inaczej jestem trupem.

Measure oddychał szybciej.

- Sądzisz, że wycięcie kości uratuje ci życie?
- Nic lepszego nie wymyśliłem.
- Ale będziesz miał zupełnie poharataną nogę.
- Jeśli umrę, nie będzie mi to przeszkadzać. A życie warto jest poharatanej nogi.
- Sprowadzę tatę. - Measure odsunął krzesło i wybiegł z pokoju.

Thrower wszedł za Armorem na werandę Millerów. Nie mogą przecież odpędzić własnego zięcia, pomyślał. Niepokój okazał się bezpodstawny. Pani Faith otworzyła im drzwi, nie jej mąż-poganin.

- Wielebny Thrower! Jak to miło, że nas odwiedzacie - zawołała. Lecz ta radość była oszustwem, jeśli prawdę zdradzała wycieńczona twarz. W tym domu ostatnio nie sypiało się zbyt dobrze.

- Ja go przyprowadziłem, matko Faith - wyjaśnił Armor. - Przyszedł tylko dlatego, że go prosiłem.

- Pastor naszego kościoła jest miłym gościem w moim domu, kiedy tylko przyjdzie mu ochota tu zajrzeć.

Wprowadziła ich do dużego pokoju. Przy kominku grupa dziewcząt zszywała kwadraty na kołdrę. Podniosły głowy i spojrzały na Throwera. Najmłodszy syn, Cally, kawałkiem węgla drzewnego kreślił litery na desce.

- Cieszę się, że ćwiczysz pisanie - pochwalił Thrower.

Cally spojrzał tylko w milczeniu. W jego wzroku był cień wrogości. Najwyraźniej chłopiec był urażony, że nauczyciel widzi jego pracę w domu, który przecież powinien być sanktuarium.

- Dobrze ci idzie - pochwalił Thrower, by mały przestał się denerwować.

Cally nie odpowiedział. Pochylił się nad zaimprovizowaną tabliczką i wrócił do pracy.

Armor od razu przeszedł do rzeczy.

- Matko Faith, przyszliśmy z powodu Alvina. Wiecie, co myślę o czarach, ale nigdy dotąd nie powiedziałem nawet słowa na to, co robicie we własnym domu. Zawsze uważałem, że to wasza sprawa, nie moja. Ale chłopiec płaci za podążanie drogami zła. Rzucił urok na swoją nogę i teraz wszedł w nią diabeł, który go zabija. Dlatego sprowadziłem wielbnego Throwera, żeby wypędził z Alvina diabła.

Pani Faith była zaskoczona.

- W tym domu nie ma żadnego diabła.

Biedna kobieto, pomyślał Thrower. Gdybyś tylko wiedziała, jak dawno diabeł tu zamieszkał...

- Można się tak przyzwyczaić do obecności diabła, że w ogóle przestaje się ją zauważać.

Drzwi obok schodów otworzyły się nagle. Stanął w nich odwrócony tyłem Miller.

- Nie ja - oświadczył temu, kto został w pokoju. - Nie dotknę chłopca nożem.

Cally podskoczył na dźwięk głosu ojca. Podbiegł do niego.

- Armor sprowadził tu Throwera - zawołał. - Żeby zabił diabła.

Miller odwrócił się. Wykrzywiona twarz zdradzała jakieś trudne do określenia emocje. Spojrzał na gości, jakby ich nie poznawał.

- Dobrze, mocne heksagramy chronią ten dom - oświadczyła pani Faith.

- Te heksagramy przyzywają diabła - odparł Armor. - Sądziecie, że osłaniają dom, a one odpędzają stąd Pana.

- Żaden diabeł tu nie wszedł - upierała się.

- Nie z własnej inicjatywy. Wezwaliście go swoją magią. Czarami i bałwochwalstwem zmusiliście Ducha Świętego, by opuścił wasze domostwo. A kiedy odchodzi dobro, w naturalny sposób zjawiają się diabły. Zawsze przybywają tam, gdzie mogą siać niezgodę.

Thrower zaniepokoił się: Armor za dużo mówił o sprawach, których naprawdę nie rozumiał. Lepiej, żeby po prostu zapytał, czy Thrower może się pomodlić przy łożu boleści chłopca. Tymczasem Armor wyznaczał linie bitwy, która wcale nie powinna się zacząć.

A jakiegokolwiek myśli krążyły po głowie Millera, było jasne, że nie należy go prowokować. Wolnym krokiem podszedł do Armora.

- Więc mówicie, że to, co przychodzi do domu by siać niezgodę, to diabeł?

- Daję świadectwo jako człowiek miłujący Pana naszego, Jezusa... - zaczął Armor, ale nie zdołał dokończyć swego kazania. Miller chwycił go za kołnierz kurtki i pasek spodni, po czym ustawił przodem do wyjścia.

- Niech ktoś lepiej otworzy te drzwi! - ryknął. - Jeśli nie chcecie, żebym w nich wybił dziurę!

- Co ty wyprawiasz, Alvinie Millerze? - krzyknęła jego żona.

- Wypędzam diabła!

Cally otworzył drzwi, a Miller wyprowadził zięcia za próg i pchnął nocno. Warstwa śniegu stłumiła gniewny wrzask Armora. Potem nie było go już słychać, ponieważ Miller zamknął i zaryglował drzwi.

- Doprawdy, bohaterski wyczyn - stwierdziła pani Faith. - Wyrzucić z domu męża własnej córki.

- Zrobiłem tylko to, czego według jego własnych słów żąda od nas Dan. - Miller spojrzał groźnie na pastora.

- Armor wypowiadał jedynie własne opinie - rzekł łagodnie Thrower.

- Jeśli tkniesz palcem duchownego - zagroziła pani Faith - do końca swych dni będziesz spał w chłodnym łożu.

- Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby go dotknąć - odparł Miller. - Ale moim zdaniem, jeśli ja trzymam się z daleka od jego domu, to i on powinien omijać mój.

- Nie wierzycie w siłę modlitwy - stwierdził Thrower.

- Wszystko zależy od tego, kto się modli, a kto słucha.

- W każdym razie wasza żona wyznaje religię Jezusa Chrystusa, a ja zostałem powołany i wyświęcony na kapłana tej religii. Ona i ja wierzymy, że moja modlitwa u łóża chłopca może pomóc przy jego rekonwalescencji.

- Jeśli w modlitwie używacie takich słów, to naprawdę cud, że Bóg rozumie, o co wam chodzi.

- Wolno wam nie wierzyć, że modlitwa pomoże - przekonywał Thrower. - Ale przecież na pewno nie zaszkodzi.

Miller spoglądał na przemian na pastora i na żonę. Thrower był pewien, że gdyby nie było tu Faith, gryzłby już śnieg obok Armora. Ale Faith była i wypowiedziała groźbę Lizystraty. Mężczyzna nie płodzi czternaściorga dzieci, jeśli nie pociąga go łóżo małżeńskie.

Miller poddał się.

- Wejdźcie - przyzwolił. - Ale nie męczcie chłopca zbyt długo.

- Nie dłużej niż parę godzin - zgodził się wdzięczny Thrower.

- Minut! - nie ustępował Miller.

Lecz Thrower zmierzał już do drzwi obok schodów, a Miller nie próbował go zatrzymać. Pastor był zadowolony. Jeśli będzie trzeba, może na długie godziny pozostać przy łóżu chłopca. Zamknął drzwi; ci poganie nie powinni mu przeszkadzać.

- Alvinie - zaczął.

Chory leżał sztywno pod kocem. Krople potu lśniły mu na czole. Oczy miał zamknięte. Po chwili jednak poruszył lekko wargami.

- Wielebny Thrower - szepnął.

- Ten sam, Alvinie. Przyszedłem się modlić, by Pan nasz uwolnił twoje ciało od diabła, który sprowadził chorobę.

Znów cisza, jakby słowa pastora docierały do chłopca z opóźnieniem, i z takim samym opóźnieniem wydobywała się odpowiedź.

- Nie ma żadnego diabła.

- Trudno od dziecka oczekiwać biegłości w kwestiach religijnych. Ale musisz wiedzieć, że ci tylko zostaną uzdrowieni, którzy mają dość wiary w uzdrowienie.

Poświęcił kilka minut na przypomnienie chłopcu historii córki setnika i opowieści o kobiecie z chorobą krwi, która tylko dotknęła szaty Zbawiciela.

- Wspomnij, co jej powiedział: Wiara cię uzdrowiła. Właśnie tak, Alvinie Millerze. Musisz mocno wierzyć, nim Pan da ci zdrowie.

Chłopiec milczał. Thrower użył całej swej elokwencji, więc byłby urażony, gdyby Alvin zasnął. Wyciągnął rękę i długim palcem szturchnął chorego w ramię.

Alvin odsunął się.

- Słyszałem was - wymruczał.

Niedobrze, że chłopiec wciąż był posepny. Przecież wysłuchał słowa bożego, które zsyła światło.

- I co? - zapytał. - Wierzysz?

- W co?

- W pismo. W Boga, który cię uzdrowi, jeśli tylko zmięknie twoje serce.

- Wierzę - szepnął Alvin. - W Boga.

To powinno wystarczyć. Ale Thrower za dobrze znał historię religii, by nie pytać o szczegóły. Wyznanie wiary w bóstwo to za mało. Wiele istnieje bóstw, a wszystkie prócz jednego są fałszywe.

- W którego Boga wierzysz, Alu Juniorze?

- W Boga.

- Nawet pogański Maur modli się do czarnego kamienia Mekki i nazywa go Bogiem! Czy wierzysz w Boga prawdziwego i czy wierzysz właściwie? Nie; rozumiem, że jesteś zbyt słaby i trawiony gorączką, by wyjaśnić zasady swej wiary. Będę zadawał ci pytania, a ty odpowiesz, czy wierzysz. Tak albo nie.

Alvin leżał nieruchomo i czekał.

- Alvinie Millerze, czy wierzysz w Boga bezcielesnego, niepodzielnego i nie znającego pasji? Wielkiego Stwórcę, który nie został Stworzony, który przebywa wszędzie, ale którego granic nie da się odnaleźć?

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

- To przecież zupełnie bez sensu.

- Nie musi mieć sensu dla umysłu przykutego do ciała materialnego - wyjaśnił Thrower. - Pytam jedynie, czy wierzysz? Wierzysz w Jedyne, co siedzi na szczycie nieskończonego tronu? W Istotę tak ogromną, że wypełnia wszechświat cały, a tak przenikliwą, że mieszka w twoim sercu?

- Jak może siedzieć na szczycie czegoś, co nie ma szczytu? - zapytał Alvin. - Jak coś tak wielkiego może się zmieścić w moim sercu?

Chłopiec był zbyt niewykształcony i prostoduszny, by pojąć złożony paradoks teologii. Jednak gra szła nie tylko o jego życie czy nawet duszę. Toczyła się o wszystkie

dusze, które - jak mówił Przybysz - ten chłopiec doprowadzi do zguby, jeśli nie zostanie nawrócony na prawdziwą wiarę.

- W tym tkwi piękno. - W głosie Throwera zagrały głębokie emocje. - Bóg przekracza granice naszego rozumienia; a jednak w swej nieskończonej miłości zniża się do nas, by nas zbawić mimo naszej głupoty i ignorancji.

- Czy miłość nie jest pasją?

- Widzę, że masz kłopot z ideą Boga - stwierdził Thrower. - Postawię zatem kolejne pytanie, może nawet ważniejsze. Czy wierzysz w bezdenną otchłań piekła, gdzie niegodziwcy wiją się w płomieniach i nigdy się nie spalą? Czy wierzysz w Szatana, wroga Pana naszego, który pragnie porwać twą duszę i na zawsze uwięzić w swym królestwie, by tam torturować przez całą wieczność?

Alvin uniósł się nieco i pochylił głowę w stronę Throwera, choć nadal nie otwierał oczu.

- W coś takiego mógłbym uwierzyć - odparł.

Więc to tak, pomyślał kapłan. Chłopak ma jakieś doświadczenia z diabłem.

- Czy go widziałeś, moje dziecko?

- A jak wygląda wasz diabeł?

- Nie jest mój. A gdybyś słuchał kazań, wiedziałbyś, bo opisywałem go po wielokroć. Tam, gdzie człowiek ma włosy na głowie, diabeł ma rogi bawołu. Gdzie człowiek ma ręce, diabeł ma szpony niedźwiedzia. Ma kopyta kozła, a głos jego jest rykiem głodnego lwa.

Ku zdumieniu Throwera, chory uśmiechnął się, a jego pierś zadrgała od bezgłośnego chichotu.

- I wy nas uważacie za przesądnych - powiedział.

Gdyby Thrower nie widział na własne oczy, że chłopiec śmieje się radośnie słuchając opisu potwornego Lucyfera, nie uwierzyłby, że diabeł tak mocno pochwycił duszę dziecka. Musiał uciszyć ten śmiech. To przecież obraza Pana!

Cisnął Biblię na pierś chorego, Alvin głośno wypuścił powietrze. Thrower przycisnął dłońią świętą księgę i poczuł, jak umysł wypełniają mu natchnione słowa. Wykrzyknął z pasją, jakiej nie doznał jeszcze nigdy:

- Szatanie, odpędzam cię w imię Pana! Nakazuję ci opuścić tego chłopca, ten pokój, ten dom i nie wracać już nigdy! Nigdy już nie próbuj opanować duszy w tym domostwie; inaczej gniew boży zniszczy piekło po jego najdalsze granice!

Cisza. Słyszeć było tylko ciężki oddech chłopca. Panował taki spokój, a w sercu pastora taka prawda, że nie miał wątpliwości, iż diabeł wysłuchał oracji i wycofał się natychmiast.

- Wielebny pastorze - odezwał się Alvin.

- Tak, synu?

- Czy możecie już zdjąć mi z piersi Biblię? Jeśli były we mnie jakieś diabły, to chyba wszystkie już uciekły.

Znowu zaczął się śmiać. Biblia podskakiwała pod dłonią Throwera.

W jednej chwili radość kapłana zmieniła się w gorzkie rozczarowanie. Chłopiec potrafił śmiać się z diabelską złośliwością, gdy sama Biblia spoczywała mu na piersi, a zatem żadna potęga nie zdoła oczyścić go ze zła. Przybysz miał rację. Thrower nie powinien odmawiać udziału w wielkim dziele, do którego został powołany. Mógł zabić tę Bestię Apokalipsy, ale był zbyt słaby, zbyt sentymentalny, by odpowiedzieć na boskie wezwanie. Mogłem zostać Samuelem, który zarabiał na śmierć nieprzyjaciela Pana. A zostałem Saulem, słabeuszem, co nie umie zabić tego, kto ma zginąć zgodnie z wolą Boga. Teraz, kiedy chłopiec powstanie z łoża obdarzony mocą Szatana, będę wiedział, że zwycięża, ponieważ byłem za słaby.

Poczuł, że w pokoju jest straszliwie gorąco i duszno. Pot przesiąkał mu ubranie. Oddychał z trudem. Ale cóż w tym dziwnego? Wyczuwał przecież płomienny oddech piekła. Dysząc pochwycił Biblię i wzniosł ją między sobą a chichoczącym dzieckiem Szatana. I uciekł.

Za drzwiami przystanął zdyszany. Przerwał jakąś rozmowę, ale niemal tego nie zauważył. Cóż znaczyły rozmowy ciemnych ludzi w porównaniu z tym, czego właśnie doświadczył? Przebywałem w obecności sługi Szatana, skrywającego się pod postacią chłopca. Lecz jego szyderstwa zdradziły go. Powinienem rozpoznać go już dawno, kiedy stwierdziłem, że ma tak idealnie przeciętną głowę. Tylko imitacja może być równie doskonała. To dziecko nigdy nie było prawdziwe. Ach, gdybym miał moc dawnych proroków, by pokonać wroga i zanieść trofeum Panu!

Ktoś ciągnął go za rękaw.

- Źle się poczułicie, wielebny?

To pani Faith... Wielebny Thrower nie myślał jej odpowiadać. Szarpnięcie odwróciło go przodem do kominka. Na półce dostrzegł jakąś rycinę, lecz w podnieceniu nie od razu rozpoznał, co przedstawia. Wydawało mu się, że to twarz duszy potępionej, otoczonej wijącymi się mackami. Płomienie, pomyślał. Tak, na pewno. A to dusza tonąca w siarce,

gorejąca w piekielnym ogniu. Obraz sprawiał cierpienie, ale i satysfakcję. Dowodził bowiem, jak bliskie więzy łączą tę rodzinę z piekłem. Thrower stał oto wśród nieprzyjaciół. Wspomniał wersy psalmisty: osaczają mnie byki Baszanu; policzyć mogę wszystkie moje kości; Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?

- Tutaj - powiedziała pani Faith. - Usiądźcie.

- Jak się czuje Alvin? - chciał wiedzieć Miller.

- Alvin? - powtórzył Thrower. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. Chłopiec jest potworem z Szeolu, a wy pytacie, jak się czuje? - Tak dobrze, jak można by się spodziewać.

Przestali zwracać na niego uwagę i wrócili do rozmowy. Powoli zaczynał rozumieć, o czym mówią. Alvin chciał chyba, żeby ktoś wyciął chorą część kości. Measure przyniósł nawet z szopy piłę o drobnych zębach. Trwał spór między Faith a Measure'em, bo Faith nie życzyła sobie, by ktoś ciął piłą jej syna. I drugi, między Millerem a tamtą dwójką, gdyż Miller nie chciał tego zrobić, a Faith zgodziłaby się tylko wtedy, gdyby ojciec Alvina przeprowadził operację.

- Jeżeli uważasz, że trzeba to zrobić - powiedziała Faith - to nie rozumiem, jak możesz komu innemu pozwolić ciąć własnego syna.

- Nie mogę - upierał się Miller.

Thrower pomyślał, że Miller się boi. Boi się dotknąć nożem swego syna.

- Prosił, żebyś ty to zrobił, tato. Powiedział, że narysuje, gdzie ciąć. Zaznaczy na nodze. Ty tylko natniesz kawałek skóry i odciągniesz na bok. Pod spodem będzie kość. Wytniesz w niej klin i usuniesz chore miejsce.

- Nigdy nie zemdlałam - wtrąciła Faith. - Ale teraz słabo mi się robi.

- Jeśli Al Junior mówi, że tak trzeba zrobić, to róbcie! - zawołał Miller.

- Ale ja nie mogę.

Wtedy właśnie na wielbnego Throwera niby światło w mroku spłynęła łaska. Dostrzegł sposób, by odpokutować swą słabość. Najwyraźniej Pan stworzył mu dokładnie taką okazję, jaką zapowiedział Przybysz. Okazję, by chwycić nóż, rozciąć nogę chłopca, a potem przypadkiem, tylko przypadkiem przebić arterię i pozwolić, by wraz z krwią uszło życie. W kościele cofnął się przed tym czynem, gdyż sądził, że Alvin jest zwykłym chłopcem. Teraz robi to chętnie wiedząc, że to czyste zło ukryte pod postacią dziecka.

- Ja pomogę - oznajmił.

Spojrzeli na niego zaskoczeni.

- Nie jestem chirurgiem - mówił dalej. - Ale mam pewną wiedzę z anatomii. Jestem uczonym.

- Guzy na głowie - burknął Miller.

- Zarzynaliście kiedyś bydło albo świnię? - zapytał Measure.

- Measure! - Faith była wstrząśnięta. - Twój brat nie jest zwierzęciem!

- Chciałem tylko wiedzieć, czy zwymiotuje na widok krwi.

- Widywałem już krew - odparł Thrower. - I nie żywię lęku, skoro operacja ma przynieść ocalenie.

- Wielebny, nie możemy cię prosić o tak wiele - oświadczyła pani Faith.

- Teraz widzę, że to chyba natchnienie sprowadziło mnie dzisiaj w to miejsce, choć przez wiele lat omijałem ten dom.

- To mój tępogłowy zięć was sprowadził - rzucił zaczepnie Miller.

- No cóż, tak tylko pomyślałem. Widzę przecież, że nie chcecie powierzyć mi operacji. Nie mam pretensji. Wprawdzie chodzi o życie waszego syna, ale to niebezpieczna rzecz, gdy obcy rozcina nożem ciało dziecka.

- Nie jesteście obcy - upierała się Faith.

- A jeśli coś się nie uda? Jeśli popełnię błąd? Poprzedni uraz mógł zmienić bieg niektórych naczyń krwionośnych. Mogę rozciąć arterię, a chłopiec w kilka chwil wykrwawi się na śmierć. Wtedy będę miał jego życie na sumieniu.

- Pastorze - oświadczyła Faith. - Nie możemy obwiniać was o przypadek. Możemy tylko spróbować.

- Jeśli czegoś nie zrobimy, on umrze - wtrącił Measure. - Mówi, że trzeba operować natychmiast, zanim choroba się rozszerzy i dokona spustoszeń.

- Może któryś z waszych starszych synów? - zaproponował Thrower.

- Nie ma czasu, żeby ich sprowadzić! - krzyknęła Faith. - Alvinie, daleś chłopcu własne imię. A teraz chcesz, by umarł, bo nie możesz znieść w domu kaznodziei?

Miller pokręcił głową.

- Zróbcie to zatem - zgodził się przygnębiony.

- Alvin wołałby ciebie, tato - zauważył Measure.

- Nie! - krzyknął gniewnie Miller. - Ktokolwiek inny będzie lepszy. Lepszy nawet on niż ja.

Thrower dostrzegł zawód, wręcz pogardę na twarzy syna. Wstał i podszedł do Measure'a, który siedział, trzymając w rękach nóż i piłę do kości.

- Młody człowieku - powiedział. - Nie posądzaj bliźniego o tchórzostwo. Nie wiesz, jakie powody skrywa w swoim sercu.

Obejrzał się. Miller był zaskoczony, ale patrzył na niego z wdzięcznością.

- Daj mu narzędzia - polecił.

Measure podał nóż i piłę. Thrower wyjął chusteczkę i starannie zawinął instrumenty.

To nie było trudne. Wystarczyło kilka chwil, a sami go prosili, by chwycił nóż, z góry wybacząc wszystkie wypadki, jakie mogą się zdarzyć. Nawet Alvin Miller po raz pierwszy okazał mu przychylność. Oszukałem was wszystkich, myślał. Jestem godnym przeciwnikiem waszego piekielnego władcy. Okłamałem wielkiego kłamcę. Nim minie godzina, odeślę do piekła jego grzeszny pomiot.

- Kto przytrzyma chłopca? - zapytał. - Nawet napojony winem podskoczy z bólu, jeśli ktoś nie będzie go trzymał.

- Ja go przytrzymam - zgodził się Measure.

- Nie zechce wina - dodała Faith. - Mówi, że musi zachować jasny umysł.

- Ma dopiero dziesięć lat - zdziwił się Thrower. - Musi posłuchać, jeśli każecie mu wypić.

Faith pokręciła głową.

- Sam wie, co dla niego najlepsze. Dzielnie znosi ból. Nie widzieliście jeszcze takiego dzielnego chłopca.

Oczywiście, że nie widziałem, pomyślał Thrower. Diabeł w jego ciele rozkoszuje się bólem i nie chce wina, które zmniejszyłoby tę rozkosz.

- Nie zwlekajmy. - Wszedł do pokoju Alvina i odrzucił koc. Chłopiec zadrzał z zimna, choć nadal pocił się od gorączki. - Mówiliście, że zaznaczył miejsce, gdzie trzeba ciąć.

- Al - odezwał się Measure. - Wielebny Thrower przeprowadzi operację.

- Tata - szepnął Alvin.

- Nie warto go prosić. Nie chce i już.

- Na pewno nie chcesz wina? - upewniła się Faith.

- Nie. - Alvin zaszlochał. - Nic się nie stanie, jeśli tato będzie mnie trzymał.

- Już moja w tym głowa, żeby tak zrobił. Nie musi ciąć, ale będzie tutaj, przy dziecku, albo skończy zaklinowany w kominie.

Wybiegła.

- Chłopiec miał zaznaczyć miejsce - przypomniał Thrower.

- Al, posadzę cię. Mam tu kawałek węgla. Narysuj na nodze, gdzie trzeba naciąć skórę.

Alvin jęknął, gdy Measure uniósł go do pozycji siedzącej. Jednak ręka mu nie drżała, gdy wyrysował na goleni duży prostokąt.

- Tnijcie od dołu. Górny bok ma zostać złączony. - Mówił powoli i chrapliwie, jakby każde słowo wymagało wysiłku. - Measure, przytrzymasz skórę, kiedy pastor będzie ciął kość.

- Mama musi się tym zająć. Ja będę cię trzymał, żebyś się nie ruszył.

- Nie ruszę się - zapewnił Alvin. - Jeśli będzie przy mnie tato. Miller wszedł wolno, prowadzony przez żonę.

- Przytrzymam cię - powiedział. Stał na miejscu Measure'a, za Alvinem. Objął go ramionami. - Trzymam cię - powtórzył.

- Dobrze więc - rzekł Thrower.

Czekał, co dalej. Czekał tak długą chwilę.

- Nie zapomnieliście o czymś, wielbny? - zapytał Measure.

- O czym? - nie zrozumiał pastor.

- O nożu i pile.

Thrower spojrzał na zwiniętą w lewej dłoni chustkę. Pusta.

- Przecież były tutaj.

- Po drodze odłożyliście je na stół - wyjaśnił Measure.

- Przyniosę - zawołała pani Faith. Wybiegła z pokoju. Czekali na nią, czekali i czekali. Wreszcie Measure miał tego dość.

- Nie rozumiem, co ją zatrzymało.

Thrower wyszedł wraz z nim. Pani Faith z córkami zszywała kwadraty kołdry.

- Mamo - zawołał Measure. - Co z nożem i piłą?

- Wielkie nieba. Nie mam pojęcia, co się ze mną stało. Zupełnie zapomniałam, po co tu przysłam.

Chwyciła narzędzia i pomaszerowała do pokoju chorego. Measure skinął na pastora i ruszył za nią. Teraz, pomyślał Thrower. Teraz uczynię to, czego zażądał ode mnie Pan. Przybysz się przekona, że jestem prawdziwym sługą Zbawiciela. Zapewnię sobie niejsce w niebie. Nie tak, jak ten nieszczęsny grzesznik, cierpiący w ogniu piekielnym.

- Wielbny - zapytał Measure. - Co tu robicie?

- Ten obraz - odparł Thrower.

- Co z nim?

Thrower dokładniej obejrzał rycinę nad kominkiem. To wcale nie była dusza potępiona. Obraz przedstawiał śmierć najstarszego syna Millerów, Vigora. Przynajmniej z

dziesięć razy słyszał tę historię. Ale dlaczego stał teraz i przyglądał się, kiedy w sąsiednim pokoju miał o spełnienia wielką i straszną misję?

- Wszystko w porządku?

- W doskonałym porządku - zapewnił Thrower. - Chciałem tylko pomodlić się w ciszy przez chwilę i pomedytować, zanim przystąpię o operacji.

Wszedł dumnym krokiem i usiadł na krześle przy łóżku, gdzie drżące dziecię Szatana oczekiwało na ostrze noża. Rozejrzał się, szukając narzędzi tego błogosławionego mordu. Nigdzie ich nie widział.

- Gdzie nóż? - zapytał.

Faith spojrzała na Measure'a.

- Nie przyniosłeś go?

- Przecież to ty miałaś narzędzia, mamó.

- Ale zabrałeś je, kiedy wyszedłeś po pastora.

- Naprawdę? - zmieszał się Measure. - Musiałem je gdzieś odłożyć.

Wstał i wyszedł.

Thrower zaczynał pojmować, że dzieje się coś dziwnego, choć nie rozumiał dokładnie, co właściwie. Podeszedł do drzwi i czekał na powrót Measure'a.

Cally stanął przy nim. Trzymał w ręku swoją tabliczkę.

- Chcecie zabić mojego brata? - zapytał.

- Nawet nie myśl o takich rzeczach - odparł pastor.

Measure z zakłopotaniem wręczył kapłanowi instrumenty.

- Trudno w to uwierzyć, ale zwyczajnie położyłem je nad kominkiem - wyjaśnił.

Wyminął Throwera i wszedł do pokoju.

W chwilę później pastor wszedł także i zajął miejsce przy odsłoniętej nodze, na której Alvin dokładnie wyrysował czarny czworobok.

- Gdzie je zostawiliście? - zdziwiła się Faith.

Thrower spostrzegł, że nie ma w ręku noża ani piły. Nie mógł tego zrozumieć. Przecież Measure wręczył mu je przed drzwiami. Więc gdzie zginęły?

W drzwiach stanął Cally.

- Po co mi je daliście? - zapytał.

Rzeczywiście, trzymał narzędzia.

- Dobrze pytanie. - Measure zmarszczył czoło i spojrzał podejrzliwie na kapłana. - Dlaczego daliście je Cally'emu?

- Nie dałem. To ty musiałeś dać je chłopcu.

- Włożyłem je wam prosto w ręce - przypomniał Measure.
- Pastor mi je dał - oświadczył Cally.
- Przynieś tutaj - poleciła matka.

Chłopiec wszedł posłusznie, niosąc narzędzia jak łupy wojenne. Jak przy ataku wielkiej armii. A tak, wielkiej armii, jak armia Izraelitów, którą Jozue prowadził do ziemi obiecanej. Tak nieśli broń, wysoko nad głowami, gdy maszerowali wokół murów Jerycha. Maszerowali i maszerowali. I maszerowali. A siódmego dnia stanęli, dmuchnęli w trąby i krzyknęli głośno, mury runęły, a oni wzniesli nad głowami miecze i noże, by wpaść do miasta i zabijać mężczyzn, kobiety i dzieci. Zabijać nieprzyjaciół Pana, by oczyścić z zepsucia ziemię obiecaną. By przygotować ją na przyjęcie ludu bożego. Gdy minął dzień, wszyscy byli złani krwią. Jozue, wielki prorok Boga, stanął wśród nich z zakrwawionym mieczem nad głową i zakrzyknął. Co zakrzyknął?

Nie pamiętam. Gdybym tylko sobie przypomniał, zrozumiałbym, czemu stoję na drodze między ośnieżonymi drzewami.

Wielebny Thrower spojrzał na swoje dłonie. Potem na drzewa. W jakiś sposób znalazł się o pół mili od domu Millerów. Nie włożył nawet płaszcza.

I wtedy doznał oświecenia. Wcale nie oszukał diabła. Szatan przeniósł go tutaj w mgnieniu oka, by nie pozwolić na zabicie Bestii. Thrower nie wykorzystał swej szansy na wielkość. Oparł się o zimny, czarny pień i zapłakał gorzko.

Cally wszedł do pokoju, wnosząc narzędzia nad głową. Measure był gotów, by mocno pochwycić nogę, gdy nagle Thrower wstał i wyszedł tak prędko, jakby spieszył się do wygodki. Mama spojrzała zaniepokojona.

- Pastorze! - krzyknęła. - Dokąd idziecie?

Ale Measure zrozumiał wszystko.

- Nie zatrzymuj go, mamo - powiedział.

Słyszeli, jak otwierają się frontowe drzwi. Ciężkie kroki kapłana zadudniły na deskach werandy.

- Cally, idź zamknąć drzwi - polecił Measure.

Przynajmniej raz Cally posłuchał bez protestów. Mama spojrzała na Measure'a, potem na tatę, potem znów na Measure'a.

- Nie rozumiem, dlaczego wyszedł tak nagle.

Measure posłał jej krótki półuśmiech.

- Ty rozumiesz, tato. Prawda?

- Może.
- Te noże i ten pastor nie mogą być równocześnie w jednym pokoju z Alem Juniorem
- wytłumaczył matce Measure.

- Ale dlaczego? Przecież miał operować!

- Teraz już na pewno nie będzie.

Nóż i piła leżały na posłaniu.

- Tato?

- Ja nie.

- Mamo?

- Nie mogę - jęknęła Faith.

- No tak - westchnął Measure. - Rozumiem, że właśnie zostałem chirurgiem.

Alvin był trupio blady. Wyglądał jeszcze gorzej, niż z wypiekami gorączki. Zdobył się jednak na uśmiech.

- Chyba tak - wyszeptał.

- Mamo, przytrzymasz ten płat skóry.

Przytaknęła.

Measure chwycił nóż i przycisnął ostrze do dolnego boku czworokąta.

- Measure - szepnął Al Junior.

- Słucham, Alvinie?

- Wytrzymam ból i nie ruszę się, jeśli będziesz gwizdał.

- Nie zapamiętam melodii, jeśli mam przy tym ciąć prosto.

- Nie potrzebuję melodii.

Measure spojrzał mu w oczy. Nie miał wyboru; musiał spełnić prośbę brata. Przecież to jego noga. Jeśli Alvin życzył sobie pogwizdującego chirurga, będzie go miał. Measure zaczerpnął tchu i zaczął gwizdać. Żadną melodię, same pojedyncze nuty. Przyłożył ostrze do czarnej linii i naciął. Najpierw płytko, gdyż Al jęknął cicho.

- Gwiżdż dalej - wyszeptał. - Tnij do kości.

Measure zagwizdał znowu. Tym razem cięcie było mocne i szybkie. Aż do kości w samym środku kreski. I głębokie nacięcia po bokach. Potem wcisnął ostrze pod oba rogi i uniósł warstwę skóry i mięśni. Z początku rana krwawiła dość silnie, ale zaraz przestała. Measure domyślił się, że Alvin zrobił coś ze swoim ciałem i zatrzymał krew.

- Faith - rzucił tato.

Mama przytrzymała krwawy płat skóry. Alvin wyciągnął drżącą dłoń i palcem nakreślił klin na poplamionej czerwienią kości własnej nogi. Measure odłożył nóż i ujął pilę.

Cięła zgrzytając obrzydliwie, lecz Measure tylko gwizdał i ciął, ciął i gwizdał. Po chwili trzymał w ręku kawałek krwawego klina. Niczym się nie różnił od pozostałej części.

- Jesteś pewien, że to właściwe miejsce? Al wolno skinął głową.

- Wyciąłem wszystko?

Al siedział przez chwilę nieruchomo. Wreszcie przytaknął.

- Chcesz, żeby mama zaszyła ranę? Al nie odpowiedział.

- Zemdlął - oznajmił tato.

Krew popłynęła znowu, tylko trochę. Sączyła się do rany. Mama miała igłę z nitką w małej poduszczonej zawieszanej na szyi. W jednej chwili zakryła ranę płatem skóry i zaczęła zszywać drobnym, ciasnym ścięgiem.

- Gwizdź dalej, Measure - poprosiła.

Gwizdał więc, a ona szyła. Gwizdał, gdy bandażowali nogę. Alvin spał jak niemowlę. Potem wszyscy troje stanęli obok łóżka. Tato bardzo delikatnie położył dłoń na czole chorego.

- Gorączka chyba minęła - oznajmił.

Measure pogwizdywał skocznie, kiedy cała trójka wychodziła cicho z pokoju.

Rozdział 14

Kara

Kiedy wrócił do domu, Elly była słodka jak miód. Otrzeпаła go ze śniegu, zdjęła kurtkę i nawet nie zapytała, jak to się stało.

Ale to bez znaczenia, czy była dla niego grzeczna. Został skompromitowany przed własną żoną, ponieważ prędzej czy później któreś z dzieci opowie jej o wszystkim. Historia stanie się znana w całej dolinie Wobbish. Historia o tym, jak Armor-of-God Weaver, kupiec z terytoriów zachodnich, przyszły gubernator, został zrzuty w śnieg przez własnego teścia. Będą się z niego śmiali. Na pewno. Nigdy w twarz, bo przecież aż po jezioro Canada nie znajdzie się chyba człowieka, który nie byłby jego dłużnikiem albo nie potrzebował jego map, by ustalić granice swojej posiadłości. A kiedy Wobbish będzie pełnoprawnym stanem, opowiedzą tę historię w każdym punkcie wyborczym. Mogą nawet lubić człowieka, z którego się śmieją, ale nie będą go szanować ani na niego głosować.

Miller zrujnował mu karierę, a żona pochodziła przecież z Millerów. Była ładna jak na kobietę z pogranicza, ale w tej chwili Armor nie dbał o jej urodę. Nie dbał o słodkie noce i spokojne ranki. Nie dbał o jej pracę u swego boku. Myślał tylko o poniżeniu i gniewie.

- Nie dotykaj mnie.

- Musisz zdjąć tę mokrą koszulę. W jaki sposób nasypałeś pod nią śniegu?

- Powiedziałem, żebyś mnie nie dotykała!

Cofnęła się zaskoczona.

- Chciałam tylko...

- Dobrze wiem, co chciałaś. Biedny Armor, trzeba go pogłodzić jak dzidziusia, a od razu poczuje się lepiej.

- Możesz się przeziębć na śmierć...

- Powiedz to swojemu tatusiowi! Kiedy wypłuję płuca, opowiesz mu, co to znaczy cisnąć człowieka w śnieg!

- Nie! - krzyknęła. - Nie mogę uwierzyć, że tato zrobiłby...

- Widzisz? Nie wierzysz własnemu mężowi.

- Wierzę ci, ale to niepodobne do ojca...

- Nie. To podobne do samego diabła. To właśnie wypełnia cały ten wasz dom. Duch zła! A kiedy ktoś próbuje głosić tam słowo boże, wrzucają go w śnieg!

- Co tam robiłeś?
- Chciałem ratować twojego brata. Teraz już pewnie nie żyje.
- Ty? Chciałeś go ratować?

Może nie chciała, by zabrzmiało to pogardliwie, ale Armor dobrze siedział, o co jej chodzi. O to, że nie ma żadnych tajemnych zdolności w niczym nie może nikomu pomóc. Po tylu latach małżeństwa wciąż pokładała wiarę w magię, dokładnie tak, jak jej rodzina. Nic się nie zmieniła.

- Jesteś taka sama - oświadczył. - Zło tkwi w tobie tak głęboko, że nie mogę go z ciebie wytłumaczyć, nie mogę wymodlić, nie mogę wykochać i nie mogę wykrzyczeć!

Kiedy powiedział "wytłumaczyć", pchnął ją lekko, by zaakcentować to słowo. Gdy powiedział "wymodlić", pchnął silniej. Mówiąc "wykochać" ujął ją za ramiona i potrząsnął tak mocno, że rozwiązał się jej kok, a włosy pofrunęły dookoła głowy. A kiedy rzekł "wykrzyczeć", popchnął ją tak, że potknęła się i upadła.

Zanim jeszcze dotknęła podłogi, ogarnął go wstyd większy niż wtedy, kiedy jej ojciec wyrzucił go na śnieg. Silny mężczyzna budzi we mnie poczucie słabości, więc wracam do domu i biję żonę. Doprawdy, wspaniały ze mnie mąż. Byłem chrześcijaninem, który nigdy nie zranił i nie uderzył żadnego mężczyzny ani kobiety, a teraz własną żonę, ciało z mego ciała, przewracam na podłogę. Tak myślał. Miał zamiar paść przy niej na kolana, płakać jak dziecko i błagać o wybaczenie. I zrobiłby to, ale ona spojrzała na jego twarz wykrzywioną ze wstydu i gniewu, i nie wiedziała, że jest wściekły na siebie. Wiedziała tylko, że ją uderzył, więc zareagowała sposób naturalny dla kogoś wychowanego tak jak ona. Skrzyżowała palce w znak ochronny i wyszeptała jakieś słowo, które miało go nie dopuszczać.

Nie mógł upaść na kolana obok niej. Nie mógł zrobić nawet kroku w jej stronę. Nie mógł choćby pomyśleć o zrobieniu tego kroku. Czar ochronny był tak silny, że Armor zatoczył się, otworzył drzwi i wybiegł w samej koszuli. Dziś spełniły się wszystkie jego lęki. Kariera polityczna legła w gruzach, ale to drobiazg w porównaniu z czymś o wiele gorszym: jego własna żona odprawiała czary pod jego dachem. Użyła magii przeciw niemu, a on nie potrafił się obronić. Była czarownicą. Była czarownicą, a dom był nieczysty.

Marzył. Nie miał kurtki ani nawet kamizelki. Mokra koszula lepiała się do ciała i mroziła aż do kości. Musiał się gdzieś schronić, ale nie mógł znieść myśli o tym, że w takim stanie zapuka do cudzych drzwi. Znał tylko jedno miejsce, gdzie mógłby pójść: na górę, do kościoła. Thrower ma tam drewno, więc będzie ciepło. W kościele może się modlić i próbować zrozumieć, dlaczego Pan mu nie pomógł. Czy nie służyłem Ci, Panie?

Wielebny Thrower otworzył drzwi kościoła i wolno, lękliwie wszedł do wnętrza. Bał się spotkania z Przybyszem. Wiedział, że zawiódł. Wiedział, że sam jest winien swej klęski. Szatan nie powinien mieć takiej władzy, by przepędzić go z tego domu. Wyświęcony kapłan działający w imieniu Pana, wypełniający instrukcje przekazane przez anioła... A Szatan odepchnął go, zanim jeszcze Thrower zrozumiał, co się dzieje.

Zrzucił okrycie. W kościele było gorąco. Ogień w piecu musiał płonąć dłużej, niż się spodziewał. A może dręczyła go gorączka wstydu?

Szatan nie mógł być silniejszy od Pana. A zatem to Thrower był za słaby. To jego wiara okazała się nie dość silna.

Ukląkł przed ołtarzem i wykrzyczał imię Pana.

- Wybacz mi moją niewiarę! - płakał. - Trzymałem nóż, ale Szatan stanął przeciwko mnie i brakło mi sił.

Wyrecytował litanie samoegzorcyzmującą, wymienił wszystkie swoje dzisiejsze klęski. Wreszcie umilkł wyczerpany.

Dopiero kiedy oczy miał czerwone od płaczu, a głos słaby i zachrypnięty, pojął, w którym momencie zachwiała się jego wiara. To było wtedy, kiedy zażądał od Alvina wyznania wiary, a chłopiec kpił z tajemnic boskich. "Jak może siedzieć na szczycie czegoś, co nie ma szczytu?" Thrower uznał pytanie za dowód ignorancji i zepsucia, ale ono przemknęło aż do serca i przebiło jądro wiary. Pewniki, które były podporą życia, rozpadły się nagle pod ciosami pytań niewykształconego dziecka.

- Ukradł mi wiarę - załkał Thrower. - Wszedłem do niego jako sługa boży, a wyszedłem jako człowiek wątpiący.

- Istotnie - potwierdził ktoś za plecami. Thrower znał ten głos. Głos, którego w chwili klęski lękał się i pragnął jednocześnie. Wybacz mi i pociesz mnie, Przybyszu, mój przyjacielu! Ale nie zapomnij też ukarać mnie straszliwym gniewem zazdrosnego Boga.

- Ukarać? - powtórzył Przybysz. - Jak mógłbym karać tak wspaniały okaz człowieczeństwa?

- Nie jestem wspaniały - odparł żałośnie Thrower.

- Trudno nawet nazwać cię człowiekiem - stwierdził Przybysz. - Na czyj obraz zostałeś stworzony? Posłałem cię, żebyś niósł słowo moje do tego domu, a tymczasem to oni prawie cię nawrócili. Jak mam cię teraz nazywać? Heretykiem? Czy tylko sceptykiem? Odpowiedz mi.

- Chrześcijaninem! - zapłakał Thrower. - Wybacz mi i znowu nazwij chrześcijaninem.

- Trzymałeś nóż, ale odrzuciłeś go.

- Nie chciałem tego!

- Słaby, słaby, słaby, słaby, słaby... - Za każdym powtórzeniem Przybysz przeciągał to słowo coraz bardziej, aż samo w sobie stało się pieśnią. Śpiewając, ruszył wokół kościoła. Nie biegał, ale chodził szybko, o wiele szybciej, niż potrafiłby człowiek. - Słaby, słaby...

Pędził tak prędko, że Thrower musiał kręcić się w kółko, by nie tracić go z oczu. Przybysz nie szedł już po podłodze. Przemykał po ścianach płynnie i szybko jak karaluch, potem jeszcze szybciej, aż stał się tylko rozmazaną plamą, a Thrower nie nadążał za nim spojrzeniem. Oparł się o ołtarz i zwrócony twarzą do pustych ławek patrzył, jak Przybysz przebiega raz za razem.

Stopniowo dostrzegał, że Przybysz zmienia kształt, wydłuża się jak smukła bestia, jaszczurka, aligator okryty lśniąca łuską i coraz dłuższy. Wreszcie ciało Przybysza obejmowało całą salę. Był jak ogromny wąż, chwytający zębami własny ogon.

Thrower pojął, że wobec tej cudownej istoty iskrzącej się wszystkimi kolorami, płonącej wewnętrznym ogniem i oddychającej światłem jest czymś nieskończenie małym. Wielbię cię! wykrzyknął w głębi serca. Ciebie tylko pragnę! Ucałuj mnie z miłością, bym poznał smak twej chwały!

Przybysz zatrzymał się nagle i ogromna paszcza podpłynęła do kapłana. Nie po to, by go pochłoniąć, gdyż - Thrower wiedział to dobrze - niegodny był nawet pożarcia. Zrozumiał straszne położenie człowieka, jak pająk wiszącego na cieniutkiej nici nad otchłanią piekła. Bóg nie dawał mu spaść tylko dlatego, że nie był nawet wart zniszczenia. Bóg go nie nienawidził. Dla tak podłej istoty Bóg odczuwał tylko pogardę.

Thrower spojrzał w oczy Przybysza i ogarnęła go rozpacz. Nie dojrzał w nich miłości, przebaczenia, gniewu ani wzgardy. Te oczy były absolutnie puste. Łuski oślepiały, ciskając promienie światła wewnętrznego ognia. Ale ogień nie odbijał się w oczach. Oczy nie były nawet czarne. Po prostu nie było ich wcale; były straszliwą pustką, która drżała, która nie zatrzymywała się ani na chwilę. Thrower wiedział, że to właśnie jego odbicie, że jest niczym. Jego istnienie to tylko strata cennej przestrzeni. Powinien się unicestwić, zniszczyć, przywrócić chwałę, którą świat utracił w chwili, gdy urodził się Philadelphia Thrower.

Modlitwa Throwera przebudziła Armora. Leżał skulony przy piecyku Franklina. Może trochę za mocno napalił, ale musiał się rozgrzać. Zanim dotarł do kościoła, koszula zamarzła na lód. Nie szkodzi. Z nawiązką odda zużyte drewno.

Chciał od razu się odezwać i pokazać Throwerowi, ale potem usłyszał słowa modlitwy. Nie wiedział, co powinien zrobić. Pastor mówił o nożach i arteriach, i że powinien

ciąć nieprzyjaciół Pana. Po chwili wszystko stało się jasne: Thrower nie poszedł do Millerów, by ratować chłopca. Poszedł, by go zabić! Co się tu dzieje, myślał Armor. Chrześcijański mąż bije żonę, chrześcijańska żona rzuca urok na męża, a chrześcijański kapłan planuje morderstwo i modli się o wybaczenie, gdyż nie popełnił zbrodni!

Nagle Thrower przerwał modlitwę. Mówił chrapliwie, a twarz miał tak czerwoną, aż Armor przestraszył się, że dostanie apopleksji. Ale nie; pastor podniósł głowę, jakby z kimś rozmawiał. Armor też zaczął nasłuchiwać. Usłyszał dźwięk podobny do głosu człowieka mówiącego cicho wśród ulewy, tak że nie można zrozumieć słów.

Wiem, co to jest, pomyślał Armor. Wielebny Thrower ma wizję. I rzeczywiście: kapłan mówił, niewyraźny głos odpowiadał, a potem Thrower zaczął kręcić się w kółko coraz szybciej, jakby oglądał coś na ścianach. Armor próbował to dostrzec, ale nie potrafił. Było jak cień przesłaniający słońce: nie widać ani cienia, ani słońca, tylko przez jedną chwilę robi się zimniej i ciemniej. Tyle widział Armor.

Potem to zniknęło. Armor dostrzegł migotanie w powietrzu, jakiś błysk tu i tam, jak wtedy, gdy szklana szyba odbija słoneczne promienie. Czy Thrower oglądał chwałę Pana, jak Mojżesz? Raczej nie, jeśli sądzić po jego twarzy. Armor nie widział jeszcze takiej twarzy. Tak mógłby wyglądać człowiek, który musi patrzeć, jak mordują mu dziecko.

Migotanie i błyski odpłynęły. W kościele zapadła cisza. Armor chciał podbiec do Throwera i zapytać: Co widziałeś? Jaką przeżyłeś wizję? Czy to było proroctwo?

Ale odniósł wrażenie, że kapłan nie ma nastroju do rozmów. Na twarzy pozostało pragnienie śmierci. Odwrócił się i odszedł wolno od ołtarza. Szedł między ławkami, czasem na którąś wpadał, nie patrząc ani nie dbając o to, gdzie idzie. Wreszcie stanął pod oknem i spojrzał w szybę. Armor wiedział, że niczego w niej nie widzi. Stoi po prostu z otwartymi oczami i wygląda jak sama śmierć.

Wielebny Thrower podniósł prawą rękę, rozprostował palce i położył dłoń na szybie. Nacisnął. Naciskał i pchał tak mocno, że Armor widział, jak wygina się szkło.

- Przestańcie! - krzyknął. - Pokaleczycie się!

Thrower nie dał znaku, że coś usłyszał. Naciskał dalej. Armor uszył ku niemu. Musi go powstrzymać, zanim pokaleczy sobie rękę. Szkło pękło z trzaskiem, a ręka Throwera aż po ramię zagłębiła się w otworze. Pastor uśmiechnął się. Cofnął nieco rękę, po czym zaczął ją przesuwając po ramie, nabijając na odłamki szkła tkwiące jeszcze w warstwie kitu.

Armor próbował go odciągnąć, ale kapłan zaskoczył go swoją siłą. Wreszcie kupiec musiał się rozpędzić i przewrócić szaleńca na podłogę. Chwycił za rękę, z której lała się krew. Thrower próbował się wyrwać i Armor nie miał wyboru. Po raz pierwszy od dnia, gdy stał się

chrześcijaninem, zacisnął dłoń w pięść i uderzył kapłana w podbródek. Thrower huknął głową o podłogę i stracił przytomność.

Muszę zatamować krwotok, pomyślał Armor. Ale najpierw trzeba wyjąć szkło z rany. Niektóre większe kawałki wbiły się płytko i mógł je zwyczajnie strzepnąć. Ale inne, niektóre całkiem małe, siedziały głęboko. Tylko krawędzie wystawały z rany, a te były śliskie od krwi i trudno było je złapać. W końcu jednak wyciągnął wszystkie, które znalazł. Na szczęście nigdzie krew nie tryskała silną strugą, więc nie została rozcięta żadna z głównych żył.

Armor ściągnął koszulę. Choć był do pasa nagi, prawie nie odczuwał podmuchu zimna z wybitego okna. Podarł koszulę na pasy, opatrzył rany i zatamował krwotok. Potem usiadł i czekał, aż Thrower odzyska przytomność.

Thrower ze zdumieniem stwierdził, że wciąż żyje. Przykryty płaszczem, leżał na wznak na twardej podłodze. Głowa go bolała. Ręka dokuczała jeszcze bardziej. Pamiętał, że starał się rozciąć ją o szybę i wiedział, że powinien spróbować jeszcze raz. Ale nie potrafił przywołać tego pragnienia śmierci, jakie odczuwał poprzednio. Nawet wspominając Przybysza w postaci wielkiej jaszczurki, wspominając te puste oczy, Thrower nie mógł sobie przypomnieć, co wtedy czuł. Wiedział tylko, że było to najgorsze z możliwych uczuć.

Rękę miał zabandażowaną. Kto go opatrzył?

Usłyszał chłopot wody. Potem kłapnięcia mokrej szmaty o drewno. W zimowym zmierzchu dostrzegł jakąś postać zmywającą ścianę. Jedna z ram w oknie została zakryta kawałkiem deski.

- Kto to? - zapytał Thrower. - Kim jesteś?

- To ja.

- Armor-of-God?

- Zmywam ściany. To kościół, nie rzeźnia.

Oczywiście, wszystko przecież zachlapał krwią.

- Przepraszam.

- Chętnie posprzątam - zapewnił Armor. - Mam nadzieję, że wydostałem z waszej ręki wszystkie kawałki szkła.

- Jesteście nadzy.

- Wasze ramię nosi teraz moją koszulę.

- Na pewno wam zimno.

- Było, ale zasłoniłem okno i dołożyłem do pieca. Za to wy macie twarz błądą, jakbyście od tygodnia byli trupem.

Thrower spróbował usiąść, ale nie udało mu się. Był za słaby. Ręka za bardzo go bolała.

Armor przytrzymał go w pozycji leżącej.

- Nie. Leżcie spokojnie, wielobny. Nie ruszajcie się. Wiele przeszliście.

- To prawda.

- Mam nadzieję, że nie weźmiecie mi tego za złe, ale byłem tu, kiedy przyszliście.

Spałem przy piecu. Żona wyrzuciła mnie z domu. Dwa razy mnie dziś wyrzucali. - Roześmiał się bez radości. - Zobaczyłem was.

- Zobaczyliście?

- Mieliście wizję, prawda?

- Widzieliście go?

- Niewiele. Głównie was widziałem, ale dostrzegłem jakieś cienie. Wiecie, o co mi chodzi. Biegały po ścianach.

- Widzieliście - westchnął Thrower. - Och, Armorze, to było straszne, było piękne.

- Zobaczyliście Boga?

- Boga? Bóg nie ma ciała, na które można patrzeć. Nie, Armorze, widziałem anioła, anioła kary. Faraon widział na pewno takiego samego: anioła śmierci, który leciał ponad miastami Egiptu i zbierał wszystkich pierworodnych.

- Aha... - Armor zmieszał się nieco. - Czy to znaczy, że miałem wam pozwolić umrzeć?

- Gdybym miał umrzeć, nie zdołalibyście mnie uratować. Ale uratowaliście, byliście tu w chwili mojej rozpacz. To pewny znak, że mam żyć dalej. Zostałem ukarany, ale nie unicestwiony. Armorze-of-God, otrzymałem jeszcze jedną szansę.

Armor pokiwał głową, lecz Thrower widział, że coś go niepokoi.

- O co chodzi? O co chcielibyście mnie zapytać?

Armor otworzył szeroko oczy.

- Słyszycie moje myśli?

- Gdybym słyszał, nie musiałbym pytać.

- To prawda - uśmiechnął się kupiec.

- Jeśli zdołam, powiem wam, co chcecie wiedzieć.

- Słyszałem waszą modlitwę - oświadczył Armor. Czekał, jakby jego słowa były pytaniem.

Ale Thrower nie zrozumiał tego pytania, więc nie wiedział też, co odpowiedzieć.

- Byłem w rozpacz, ponieważ zawiodłem Pana. Dano mi do spełnienia misję, ale w decydującej chwili wątpliwości wkradły się w moje serce. - Wyciągnął zdrową rękę, by dotknąć Armora. Chwycił tylko materiał spodni klęczącego obok mężczyzny. - Armorze - powiedział. - Nigdy nie pozwólcie sobie na zwątpienie. Nigdy nie kwestionujcie tego, o czym wiecie, że jest prawdą. To brama, przez którą Szatan chwyta was w swoją sieć.

Ale to nie była odpowiedź na pytanie Armora.

- Mówcie, co chcecie wiedzieć - poprosił Thrower. - Jeśli zdołam, powiem wam prawdę.

- W modlitwie wspominaliście o zabójstwie.

Thrower nie myślał nikomu opowiadać o brzemieniu, które Pan włożył na jego barki. Ale gdyby Pan chciał zachować tajemnicę przed Armorem, nie pozwoliłby, by ten człowiek znalazł się w kościele i wszystko słyszał.

- Wierzę - rzekł Thrower - że Pan Bóg was do mnie sprowadził. Jestem słaby, Armorze, i nie dopełniłem tego, czego żądał. Lecz teraz widzę, że wy, człowiek głębokiej wiary, zostaliście przeznaczeni na mego przyjaciela i pomocnika.

- Czego żądał Pan?

- Nie mord, bracie. Pan nigdy mnie nie prosił, bym zabił człowieka. To diabła miałem zabić. Diabła w ludzkiej postaci. Żyjącego w tamtym domu.

Armor zacisnął wargi i zamyślił się.

- Chłopiec nie jest zwyczajnie opętany, chcecie powiedzieć? - zapytał. - To nie coś, co moglibyście odpędzić?

- Próbowałem, ale on naśmiewał się z Biblii i drwił ze słów egzorcyzmu. On nie jest opętany, Armorze. On należy do diabelskiej rodziny.

Armor pokręcił głową.

- Moja żona nie jest diabłem, a jest jego siostrą.

- Odrzuciła czary, a zatem została oczyszczona.

Armor zaśmiał się gorzko.

- Też tak myślałem.

Thrower zrozumiał, dlaczego Armor szukał ucieczki w kościele, w domu bożym: jego własny dom został skalany.

- Armorze-of-God, czy pomożesz mi w dziele oczyszczenia tej krainy, tego miasta, tamtego domu i tamtej rodziny ze złego wpływu, który niszczy ich dusze?

- Czy ocalę swoją żonę? Czy to odmieni jej miłość do czarów?

- Może. Może Pan złączył nas razem, byśmy oczyścili oba nasze domy.

- Jeśli tylko się przydam - odparł Armor - jestem z wami przeciwko piekłu.

Rozdział 15

Obietnice

Kowal słuchał uważnie, gdy Bajarz czytał list od początku do końca.

- Pamiętacie tę rodzinę? - zapytał Bajarz.

- Pamiętam - potwierdził Makepeace Smith. - Grób ich najstarszego był jednym z pierwszych na naszym cmentarzu. Własnymi rękami wyciągałem z wody jego ciało.

- To co, weźmiecie chłopca do terminu?

Młody chłopak, może szesnastoletni, wszedł do kuźni, niosąc wiadro śniegu. Spojrzał na gościa, schylił głowę i podszedł do beczki chłodniczej, ustawionej obok paleniska.

- Widzicie, że mam terminatora - rzekł kowal.

- Duży już jest.

- Kończy naukę - przyznał Smith. - Zgadza się, Bosey? Gotów jesteś iść na swoje?

Bosey uśmiechnął się lekko, ale natychmiast spoważniał i kiwnął głową.

- Tak, proszę pana.

- Nie jestem łatwym majstrem - dodał kowal.

- Alvin to porządny chłopak. Potrafi ciężko pracować.

- A czy będzie posłuszny? Lubie, kiedy mnie słuchają.

Bajarz spojrzał na Boseya. Chłopak wygarniał śnieg do beczki.

- Mówiłem, że to porządny chłopiec. Jeśli będziecie sprawiedliwi, posłucha was.

Kowal spojrzał mu w oczy.

- Wszystko mierzę uczciwie. Nie biję swoich uczniów. Bosey, uderzyłem cię kiedy?

- Nigdy, proszę pana.

- Widzicie, Bajarzu, terminator może słuchać ze strachu albo z chciwości. Ale jeśli będę dobrym majstrem, będzie mnie słuchał, bo wie, że tak najlepiej się nauczy.

Bajarz uśmiechnął się do rozmówcy.

- Nie ma zapłaty - oświadczył. - Chłopiec ją odpracuje. I będzie pobierał nauki.

- O ile wiem, kowale nie potrzebują liter.

- Już niedługo Hio stanie się częścią Stanów Zjednoczonych. Chłopak będzie głosował. Musi też czytać gazety. Kto nie umie czytać, wie tylko to, co mu powiedzą inni.

Makepeace Smith spojrzał na Bajarza z lekkim uśmieszkiem.

- Tak? Tak mówicie? To przecież wiem o tym tylko dlatego, że inni, a dokładnie wy, tak mi powiedzieliście?

Bajarz roześmiał się i przytaknął. Kowal trafił w sedno.

- Radzę sobie w tym świecie opowiadając historie - przyznał Bajarz. - Wiem, że wiele można osiągnąć tylko dźwiękiem ludzkiego głosu. Alvin czyta już lepiej od rówieśników, więc nie będzie tragedii, jeśli straci trochę szkoły. Ale jego matka chce, żeby pisał i liczył jak uczony. Obiecacie, że nie będziecie mu przeszkadzać, jeśli zechce się uczyć. To wystarczy.

- Macie moje słowo - odrzekł Makepeace Smith. - I nie musicie tego pisać. Człowiek, który dotrzymuje słowa, nie potrzebuje czytania i pisania. Ale jeśli ktoś musi zapisywać własne obietnice, trzeba stale mieć go na oku. Wiem o tym dobrze. Mamy już w Hatrack prawników.

- Przekleństwo ludzi cywilizowanych - zgodził się Bajarz. - Kiedy kto nie może już skłonić ludzi, żeby wierzyli w jego kłamstwa, wynajmuje zawodowca, żeby kłamał w jego imieniu.

Roześmiali się obaj. Siedzieli na dwóch pniakach ustawionych tuż za wrotami kuźni. Z tyłu, na ceglanym palenisku żarzył się ogień, a na dworze błyszczał w słońcu topniejący śnieg. Gil przeleciał nad placem przed kuźnią, trawiastym, zdeptanym kopytami, pokrytym końskim nawozem. Na chwilę oślepił Bajarza - tak niezwykłym był widokiem wśród bieli, szarości i brązów zimy.

W owej chwili zachwycenia lotem gila, Bajarz wiedział z całą pewnością, choć nie mógłby powiedzieć skąd, że minie jeszcze sporo czasu, zanim Niszczyciel pozwoli młodemu Alwinowi dotrzeć do tego miejsca. A kiedy przybędzie, porazi miejscowych jak Bajarza ten gil, obecny poza właściwym sobie czasem. Uznają go za rzecz tak naturalną, jak lot ptaka, nie wiedząc, jakim cudem natury jest każda minuta w powietrzu.

Bajarz otrząsnął się. Chwila wizji minęła.

- Więc umowa stoi. Napiszę do nich, żeby przysłali chłopca.

- Czekam na niego pierwszego kwietnia. Nie później!

- Nie spodziewacie się chyba, że chłopak zapanuje nad pogodą. Lepiej nie bądźcie tacy twardzi co do daty.

Kowal burknął coś i machnął ręką. Ogólnie rzecz biorąc, udane spotkanie. Bajarz czuł się lekko, wypełniwszy zlecone sobie zadanie. Nietrudno będzie posłać list jakimś wozem jadącym na zachód. Każdego tygodnia przez miasteczko Hatrack przejeżdżało kilka taborów.

Wiele czasu minęło od jego poprzedniej wizyty, ale wciąż pamiętał drogę z kuźni do gospody. Była często używana i niedługa. Gospoda była większa niż poprzednio, a kawałek

dalej wyrosło kilka warsztatów: krawiec, rymarz, szewc. Usługi potrzebne ludziom w podróży.

Ledwie stanął na werandzie, gdy otworzyły się drzwi i szeroko rozkładając ramiona wybiegła Stara Peg Guester.

- Ach, Bajarzu, to już tak długo! Wejdź, na co czekasz!

- Miło cię znowu widzieć, Peg.

Horacy Guester huknął do niego zza baru w głównej sali, gdzie obsługiwał kilku spragnionych gości.

- Tego tylko było nam trzeba! Jeszcze jeden niepijący!

- Dobre wieści, Horacy! - odparł wesoło Bajarz. - Zrezygnowałem też z herbaty.

- To co teraz pijasz? Wodę?

- Wodę i krew tłustych staruchów.

Horacy zamachał rękami.

- Trzymaj tego człowieka z daleka ode mnie, Peg! Słyszysz? Stara Peg pomagała Bajarzowi zdejmować kolejne warstwy ubrania.

- Niech ci się przyjrzę. - Zmierzyła go wzrokiem. - Nie masz na kościach nawet tyle mięsa, żeby zrobić gulasz.

- Niedźwiedzie i pantery omijają mnie nocą, szukając tłusciejszych kąsków.

- Chodź, poopowiadasz mi, a ja tymczasem przygotuję kolację dla całego towarzystwa.

Nastąpiły opowieści i ploteczki, zwłaszcza kiedy Dziadunio zszedł na pomoc. Tracił już siły, ale wciąż rządził kuchnią, z korzyścią dla wszystkich, którzy się tu stołowali. Stara Peg chciała jak najlepiej i starała się, ale nie każdy ma talent do gotowania. Zresztą, Bajarz nie przyszedł tu jeść ani rozmawiać. Po chwili zrozumiał, że musi zapytać wprost.

- Gdzie twoja córka?

Zdziwił się trochę, bo Stara Peg zeszywniała.

- Nie jest już małą dziewczynką - stwierdziła zimno i z niechęcią, - Ma własny rozum i pilnuje, żeby każdy się o tym dowiedział.

A tobie wcale się to nie podoba, pomyślał Bajarz. Ale miał do córki sprawę ważniejszą niż rodzinne sprzeczki.

- Czy wciąż jest...

- Żagwią? Tak; spełnia swoje obowiązki, ale to żadna przyjemność dla ludzi, którzy do niej przychodzą. Złośliwa i zimna. Znana z ostrego języka. - Twarz Starej Peg złagodniała.

- A miała kiedyś takie miękkie serduszko.

- Nie znam przypadku, by miękkie serce stwardniało - stwierdził Bajarz. -
Przynajmniej bez ważnego powodu.

- Nie wiem, czy miała powody, ale jej serce okryło się skorupą jak woda w wiadrze
podczas zimowej nocy.

Bajarz powstrzymał swój język i nie prawił kazań. Nie powiedział, że jeśli rozbija się
lód, woda po chwili zamarza znowu, ale jeśli wnieść wiadro do domu, woda ogrzeje się i
stopnieje. Nie warto się wtrącać do rodzinnych kłótni. Znał ludzi, więc ten spór uznał za rzecz
tak naturalną, jak chłodne wiatry i krótkie dni jesienia, jak huk gromu następujący po
błyskawicy. Rzadko panuje zgoda między rodzicami a prawie dorosłym dzieckiem.

- Muszę z nią porozmawiać. Zaryzykuję odgryzienie głowy.

Znalazł ją w gabinecie lekarza, doktora Whitleya. Sprawdzala rachunki.

- Nie wiedziałem, że zostałeś księgową - zażartował.

- A ja nie wiedziałam, że potrzebujecie leczenia. A może przyszłście obejrzyć cud:
dziewczynę, która potrafi liczyć?

Rzeczywiście, złośliwa. Bajarz rozumiał, czemu taki dowcip peszy ludzi, którzy
oczekują, by młoda dama spuszczała oczy, odzywała się cichym głosem i tylko z rzadka
podnosiła wzrok, spoglądając spod opuszczonych powiek. Peggy nie miała żadnej z cech
młodej damy. Patrzyła Bajarzowi prosto w oczy.

- Nie przyszedłem się leczyć - odparł. - Ani pytać o przyszłość. Ani nawet po to, żeby
podsumować rachunki.

W tym rzecz. Kiedy, zamiast się rozgniewać, odpowiedział jej wprost, posłała mu
uśmiech zdolny oczarować nawet kurzajki ropuchy.

- Nie przypominam sobie, żebyście mieli wiele do sumowania czy odejmowania -
stwierdziła. - Zero plus zero to i tak tylko zero.

- Wszystko pomyliłaś, Peggy - upomniał ją Bajarz. - Mam cały świat, tylko ludzie
spóźniają się z płatnościami.

Uśmiechnęła się znowu i odsunęła książkę obrachunkową doktora.

- Raz w miesiącu zajmuję się jego rachunkami, a on przywozi mi książki z Dekane.

Opowiedziała mu o lekturach i Bajarz zrozumiał, że tęskni do miejsc leżących daleko
od Hatrack. Pojął także, że jako żagiew zbyt dobrze zna ludzi z okolicy. I sądzi, że daleko
stąd znajdzie innych, z duszami czystymi jak klejnoty. Z duszami, które nie sprawią zawodu
dziewczynie, potrafiącej zajrzeć prosto do ludzkich serc.

Jest młoda, to wszystko. Za kilka lat nauczy się kochać dobro, jakie znajdzie, i
wybaczać całą resztę.

Zjawił się doktor i porozmawiali trochę. Dopiero późnym popołudniem Bajarz znowu został z Peggy sam i mógł ją zapytać o to, co było celem wizyty.

- Jak daleko potrafisz widzieć, Peggy?

Nieufność przesłoniła jej oczy niby gruba, pluszowa kotara.

- Nie pytacie chyba, czy muszę nosić okulary - odparła.

- Myślałem o dziewczynce, która zapisała w mojej książce "Narodził się Stwórca". I myślałem, czy od czasu do czasu patrzy na tego stwórcę i sprawdza, jak mu się wiedzie.

Odwrociła głowę i ponad zasłoną spojrzała w okno. Słońce opadło nisko i niebo było szare, lecz jej twarz jaśniała blaskiem. Bajarz wiedział to dokładnie. Nie zawsze trzeba być żagwią, by zajrzeć do czyjegóż serca.

- Zastanawiam się, czy ta żagiew nie dostrzegła kiedyś spadającej kalenicy - powiedział Bajarz.

- Może - odparła.

- Albo młyńskiego kamienia.

- Też możliwe.

- I nie wiem, czy nie zna jakiegoś sposobu, żeby tę kalenicę rozciąć na dwie części i skruszyć skałę tak, że pewien stary bajarz widział przez kamień światło latarni.

Łzy błysnęły jej w oczach, ale nie tak, jakby miała się rozpląkać; raczej jakby patrzyła prosto w słońce.

- Strzęp jego porodowego czepek potarty o ziemię pozwala użyć własnej mocy chłopca i sprawić kilka prostych cudów - szepnęła.

- Ale teraz on poznał już swój talent i odwrócił to, co dla niego uczyniłaś.

Przytaknęła.

Musisz być bardzo samotna, pilnując go z daleka.

Pokręciła głową.

- Wcale nie. Bez przerwy mam jakieś towarzystwo. - Uśmiechnęła się blado. - To niemal ulga spędzić chwilę z chłopcem, który niczego ode mnie nie chce, bo nie wie nawet, że istnieję.

- Ale ja wiem. I też niczego od ciebie nie chcę.

Zaśmiała się.

- Stary oszust.

- No dobrze, chcę czegoś, ale nie dla siebie. Spotkałem tego chłopca i chociaż nie mogę zajrzeć mu w serce, jak ty, to chyba go znam. Wiem, kim może się stać i czego

dokonać. Pamiętaj, że gdybyś kiedykolwiek potrzebowała mojej pomocy, prześlij wiadomość, powiedz co robić, a jeśli tylko będzie to w mojej mocy, zrobię to.

Nie patrzyła na niego i nie odpowiadała.

- Do tej pory pomoc nie była ci potrzebna - wyjaśnił Bajarz. - Ale teraz on ma już własny rozum i nie zawsze potrafisz dla niego zrobić to, co konieczne. Zagrożeniem są nie tylko rzeczy, które spadają na niego czy ranią ciało. Równie groźne jest to, co sam zechce ze sobą zrobić. Gdybyś dostrzegła takie niebezpieczeństwo i uznała, że przydam się na coś, przybędę na twoje wezwanie.

- To wielka pociecha.

Była szczera, ale nie mówiła wszystkiego, co czuła.

- Chciałem cię też zawiadomić, że wybiera się tutaj. Od pierwszego kwietnia będzie terminował u kowala.

- Wiem, że przybędzie - odparła. - Ale nie pierwszego kwietnia.

- Nie?

- Może nawet nie w tym roku.

Bajarz poczuł w sercu ukłucie lęku.

- Chyba jednak poproszę cię o przepowiednię. Co go czeka? Co się z nim stanie?

- Wszystko może się zdarzyć. Nie warto nawet zgadywać. Jego przyszłość to tysiąc możliwych ścieżek. Ale tylko nieliczne ścieżki doprowadzą go tutaj przed kwietniem. Na bardzo wielu skończy z toporem Czerwonego w czasie.

Bajarz pochylił się nad biurkiem doktora i chwycił jej dłoń.

- Czy przeżyje?

- Póki oddycham.

- I ja.

Siedzieli w milczeniu, ręka w rękę, patrząc sobie w oczy. Wreszcie Peggy wybuchnęła śmiechem i odwróciła głowę.

- Kiedy ludzie się śmieją, to zwykle z moich żartów - zauważył Bajarz.

- Myślałam tylko, jak marne tworzymy przymierze: my dwoje przeciw wszystkim wrogom tego chłopca.

- To prawda - przyznał. - Ale nasza sprawa jest słuszna i cała natura stanie po naszej stronie. Nie sądzisz?

- I Bóg także - dodała stanowczo.

- Tego nie wiem. Kaznodzieje i kapłani tak ogrodzili go doktrynami, że biedny stary Ojciec niewiele może już zrobić. Wy tłumaczyli całą Biblię i najbardziej się boją, by nie przemówił na nowo albo nie ukazał swej mocy.

- Kilka lat temu widziałam, jak ukazał swą potęgę przy narodzinach siódmego syna siódmego syna - odparła. - Jeśli chcecie, nazwijcie to naturą. Kształciliście się przecież u filozofów i magów. Ja wiem tylko, że nasze życia są powiązane tak mocno, jakbyśmy oboje wyszli z tego samego łona.

Następne pytanie samo wyrwało mu się z ust, choć Bazarz nie chciał go zadawać.

- Cieszy cię to?

Spojrzała przeraźliwie smutno.

- Niezbyt często - wyznała. Wydawała się tak zmęczona, że Bazarz nie mógł się powstrzymać. Obszedł biurko, stanął przy niej i przytulił mocno, jak ojciec córkę. Nie wiedział, czy płacze. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Wreszcie Peggy puściła go i wróciła do rachunków. Bazarz wyszedł, nie przerywając milczenia.

Wrócił do gospody na kolację. Miał historie do opowiedzenia i prace do wykonania. Musiał przecież zarobić na utrzymanie. Lecz wszystkie historie bladły wobec tej jednej, której opowiedzieć nie mógł - tej, której zakończenia jeszcze nie znał.

Przed młynem czekało pół tuzina wozów. Siedzieli na nich farmerzy, którzy z daleka przyjechali po dobrą mąkę. Ich żony nie męczyły się już z móżdżem i tłuczkiem, by utrzeć grubą mąkę do wypieku twardego, grudkowego chleba. Młyn pracował i wszyscy w okolicy zwozili ziarno do miasteczka Vigor Kościół.

Woda lała się młynówką i obracała wielkie koło. Przenoszona systemem trybów energia koła poruszała żarnem spoczywającym na młyńskim kamieniu z obciążeniem kwartowym.

Młynarz sypał pszenicę. Żarno ścierało ją na mąkę. Po drugim obrocie młynarz zmiatał mąkę do kosza, który trzymał jego dziesięcioletni syn. Chłopiec wysypywał zawartość kosza do sita i dobrą mąkę wytrząsał do worka. To, co zostało, wrzucał do beczki z pośladem. Potem wracał do ojca po następną porcję.

Pracowali w milczeniu, a ich myśli dziwnie były podobne. To właśnie chciałbym robić już zawsze, myśleli obaj. Wstać rano, iść do młyna i cały dzień pracować razem z nim. Nieważne, że pragnienie nie mogło się spełnić. Nieważne, że kiedy chłopiec pójdzie do terminu w miejscu swych narodzin, mogą się już więcej nie zobaczyć. To tylko dodawało słodczy tej chwili, która wkrótce miała się stać wspomnieniem. I marzeniem.

Koniec części pierwszej

Nazwa pliku: Card Orson Scott - Alvin Stwórca 01 - Siódmy syn
Katalog: E:\Fantastyka 02\Card Orson Scott\Card Orson Scott -
Opowiesci o Alvinie Stwórcy
Szablon: C:\Documents and Settings\Zygmunt\Dane
aplikacji\Microsoft\Szablony\Normal.dot
Tytuł: SCAN-dal.prv.pl
Temat: SCAN-dal.prv.pl
Autor: SCAN-dal.prv.pl
Słowa kluczowe: SCAN-dal.prv.pl
Komentarze: SCAN-dal.prv.pl
Data utworzenia: 2002-06-17 19:57:00
Numer edycji: 42
Ostatnio zapisany: 2008-06-21 17:44:00
Ostatnio zapisany przez: Zygmunt
Całkowity czas edycji: 304 minut
Ostatnio drukowany: 2008-06-21 17:46:00
Po ostatnim całkowitym wydruku
Liczba stron: 198
Liczba wyrazów: 59 174 (około)
Liczba znaków: 355 047 (około)